

Jak schłodzić upały

Prokreacja według rządu | Baronkowie z PiS
Długi cień Rywina | Piękne lata 80.
2 mln pustostanów | Z ciałem za ścianą

POLITYKA

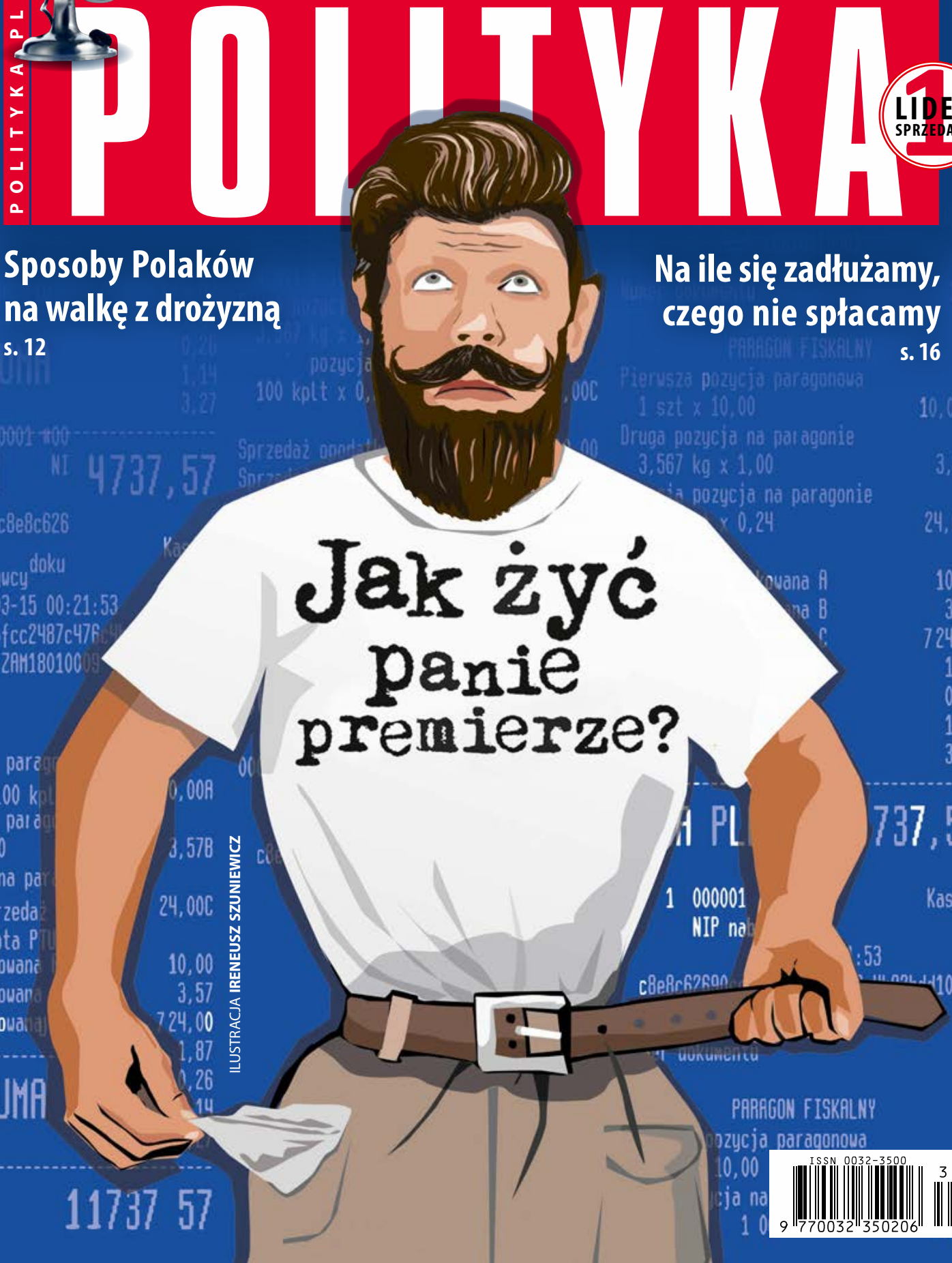
LIDER SPRZEDAŻY

Sposoby Polaków na walkę z drożyzną
s. 12

Na ile się zadłużamy, czego nie splotamy
s. 16

Jak żyć panie premierze?

ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUNIEWICZ



ISSN 0032-3500
9 770032 350206
3 0>

Cena 9,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

TYGODNIK, nr 30 (3373), 20.07-26.07.2022

USA 4,60 USD, KANADA 4,69 CAD, WIELKA BRYANIA 2,50 GBP, SZWECJA 30 SEK, CZECHY 75 CZK, KRAJE STREFY EURO 3,70 EURO

SKI team®

REKLAMUJEMY SIĘ
TYLKO W WOLNYCH
MEDIACH



Kupuj bezpiecznie na
www.skiteam.pl



Kolekcja 2022 dostępna od ręki!!!

10 RAT RRSO 0%

NA SPORTOWO-ROWEROWO
TYLKO Z CUBE!

Rowery Hybrydowe, MTB, Full Suspension, Gravel, Turystyczne,
Trekkingowe, Szosowe, Miejskie, Damskie, Męskie, Dziecięce

ZAPRASZAMY 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek – Sobota **10:00 – 21:00**

Wszystkie Niedziele **11:00 – 18:00**



WARSZAWA: ul. Komitetu Obrony Robotników 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b
POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a | **WROCŁAW:** CH Arkady Wrocławskie | **KATOWICE:** CH 3 Stawy

CUBE



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów



18 **Fatum Rywina: 20 lat po**



21 **Jak schłodzić upał**



48 **Co się stało z Miedwiediewem**

Tematy tygodnia

- 12 Katarzyna Kaczorowska **Polaków strategie przetrwania**
 16 Adam Grzeszak **W pułapce długów**
 18 Rafał Kalukin **Matka wszystkich afer**
 21 Barbara Milne **Klimatyzacja to już nie luksus**



Polityka

- 24 Wojciech Szacki **Baronowie Kaczyńskiego**
 27 ROZMOWA POLITYKI **Timothy Garton Ash**, brytyjski historyk, o tym, jak muszą się zmienić liberałowie, aby pokonać populistów

Społeczeństwo

- 30 Agata Szczerbiak **Kuriozalny program prokreacyjny PiS**



- 34 Norbert Frątczak **Z ciałem za ścianą**
 36 Jak Wielka Powódź sprzed 25 lat wpłynęła na Polaków, mówi psycholog **Bogdan Zawadzki**
 39 Zbigniew Borek **Aleksandr Repetiło – ocalony z piekła**

Rynek

- 42 Joanna Solska **Stan pustostanów**
 45 Cezary Kowanda **Jak nazwać kielbasę bez mięsa**

Świat

- 48 Paweł Reszka ROSJA **Dmitrij Miedwiediew – od liberała do złego pluszaka**
 51 Marek Orzechowski HOLANDIA **Krowy mają zniknąć**
 54 Maciej Pletnia JAPONIA **Bardzo japońskie zabójstwo premiera**



Nauka/projektpulsar.pl

- 56 Jędrzej Winięcki **Cenne dziuple**
 59 Karol Jałochowski **Maryna Wiązowska – laureatka matematycznego odpowiednika Nobla**
 62 Łukasz Tychoniec **Odległe wszechświaty w teleskopie Webba**

Historia

- 64 Łukasz Wójcik **Ching Shih – legendarna chińska piratka**

- 67 O Władysławie Gomułce opowiada **Józef Tejchma**, typowany na jego następcę, w niepublikowanym dotąd wywiadzie, jakiego udzielił przed śmiercią

Kultura

- 74 Jakub Demiańczuk **Moda na lata 80.**
 77 Janusz Wróblewski **Mroczne wizje Davida Cronenberga**
 80 Mirosław Pęczak **„Historia i teraźniejszość 1945–1979”, czyli podręcznikowa indoktrynacja**
 82 Aneta Kyzioł **TR Warszawa: koniec epoki Grzegorza Jarzyny**
 85 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Na własne oczy

- 92 Juliusz Ćwieluch fotografie Maga Ćwieluch **Temelin – elektrownia jądrowa po czesku**



Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Przypisy
- 7 Ludzie i wydarzenia • 70 Afisz
- 86 Żulczyk • 87 Chutnik i Plebanek
- 88 Hartman • 89 Tym
- 90 Mizerski na bis • 91 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Czy Niemcy zażądają reparacji

Mamy fale upałów na przemian z gwałtownymi ochłodzeniami, co powoduje, że politycy tracą nad sobą panowanie. Spokojny dotąd poseł Siemoniak z PO grozi zatrudnieniem „silnych panów” do przekonania Adama Glapińskiego, że nie jest szefem NBP i powinien opuścić gabinet; poseł Lewicy Krzysztof Śmiszek zapowiada „siłowe wyprowadzenie trzech dublerów z Trybunału Konstytucyjnego”, a Donald Tusk sygnalizuje konieczność „odkucia” pani Przyłębskiej od fotela prezesa TK (inni przedstawiciele opozycji mówią o odpawaniu lub odśrubowaniu). W nieciekawej sytuacji znalazła się Rosja, której kilka tygodni temu wiceminister spraw zagranicznych Marcin Przydacz otwarcie zagroził, że jak się nie uspokoi, to się doigra. „Zadamy ci takie straty, że mówiąc kolokwialnie, nie pozbierasz się” – ostrzegł Rosję bardzo bojowo usposobiony Przydacz. Zapewnił, że przy przygniatającej przewadze, jaką NATO – najpotężniejszy sojusz na świecie – ma nad Rosją, „z naszych przeciwników nie pozostałby kamień na kamieniu”. Rozumiem, że Przydacz ma chęć przyłożyć Rosji i jestem za, ale nie wiem, czy dobrze, że mówi o tym otwarcie i bez ogródek. To mało dyplomatyczne; teraz Rosja będzie miała Przydacza na oku, w dodatku niektórzy mogą mu zarzucić, że zgrywa odważnego, bo wie, że Rosja nic mu nie zrobi. Bić słabszego to nie

sztuka, każdy może się popisać, a słabszy silniejszemu nie odda, bo się będzie bał.

Jarosław Kaczyński także stracił nad sobą panowanie i zapowiedział Unii, że „koniec tego dobrego”, a Niemcom zagroził, że się z nimi rozliczy. Nie jest wprawdzie tak wojowniczy jak Przydacz i nie deklaruje, że dołoży Niemcom tak, że się nie pozbierają, ale na ich miejscu bym uważał. „Niemcy się z nami nie rozliczyły i my tego nie popuścimy” – ostrzega prezes, a media zastanawiają się, co to może dla Niemiec oznaczać?

W ostatnich latach politycy PiS prowadzili konsekwentną politykę zamęczania Niemiec przypomnianiem im, że 80 lat temu napadły na Polskę i muszą zapłacić reparacje z tego tytułu. Żaden normalny kraj takiej straszliwej presji by nie wytrzymał i dla świętego spokoju by zapłacił, ale Niemcy udają, że nie rozumieją po polsku i odmawiają rozliczenia się. Teraz się doigrały; w ramach zapowiedzianych rozliczeń prezes i inni politycy PiS z pewnością będą jeszcze ostrzeż wypominać Niemcom, że napadły na Polskę i się nie rozliczyły, co spowoduje, że doprowadzone do ostateczności Niemcy w najbliższych latach zrozumieją, że dalszy opór nie ma sensu, poddadzą się i zapłacą za wszystko wraz z odsetkami. Jeśli nie, być może prezes będzie musiał przywołać je do porządku, nakazując natychmiastowy powrót pracującym w Niemczech polskim lekarzom i pielęgniarkom, a w zamian wysyłając posła Suskiego na nieobsadzone stanowisko ambasadora. Nie wiem tylko, czy nie będzie to dla Niemiec takim ciosem, że zamiast wypłacić nam reparacje, zażądają reparacji od nas.



Uzbekistan - na Jedwabnym Szlaku

Tajemniczy świat wschodu i pustyne piaski, którymi przez wieki ciągnęły karawany, zatrzymując się we wspaniałych miastach jak Buchara czy Samarkanda.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Polski do Uzbekistanu. **Dz. 2** Przylot do Taszkontu. Zwiedzanie miasta oraz polskiego kościoła. **Dz. 3** Taszkont – Chiwa. Przelot do Urgencz, miejsca narodzin Anny German oraz zwiedzanie starówki Chiwy, Ichan Kala. Czas wolny. **Dz. 4** Chiwa – Buchara. Przejazd szybką koleją i zwiedzanie miasta, występy wieczorne i stara, miejska medresa. **Dz. 5** Buchara. Zwiedzania miasta, twierdza Ark, Minaret Śmierci i bazar Toqi Sarrofon. **Dz. 6** Buchara. Wycieczka do Bahouddin Nakshbandi i mauzoleum Chor-Bakr oraz pałacu letniego Sitorai-Mokhi-Hossa. **Dz. 7** Buchara – Shakrisabz - Samarkanda. Miejsce narodzin Timura Lenka - Shakrisabz i przyjazd do Samarkandy. **Dz. 8** Samarkanda. Zwiedzanie miasta oraz placu Registan, Grobowca Emira i meczetu Bibi Khanum. **Dz. 9** Przelot Taszkont – Warszawa.

9 dni | Wyloty z Warszawy
19/09 2022, 25/04, 03/10 2023

7.998,-



Zimowa przygoda na Grenlandii z zorzą w tle

Psie zaprzęgi, woły piżmowe w grenlandzkiej tundrze oraz fascynująca zorza polarna nad niekończącą się pokrywą lodową w zimowych krajobrazach Kangerlussuaq.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa- Kopenhaga, zwiedzanie miasta i wspólna kolacja. **Dz. 2** Przelot Kopenhaga - Kangerlussuaq. Wycieczka po mieście. **Dz. 3** Kangerlussuaq. Wycieczka do lodowca Russell Glacier. Wieczorem pierwsze polowanie na zorzę polarną. **Dz. 4** Kangerlussuaq. Przejazdka psimi zaprzęgami (zapewniona dodatkowa ciepła odzież). **Dz. 5** Poszukiwania wołów piżmowych w grenlandzkiej tundrze. **Dz. 6** Przelot Kangerlussuaq - Kopenhaga, zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 7** Przelot Kopenhaga - Warszawa.

7 dni | Wyloty z Warszawy 26/02, 05/03 2023 | 9.998,-

Sycylia w klasycznej odświeżeniu

Urokliwe miasta, antyczne świątynie, pomarańczowe gaje i majestatyczny wulkan Etna.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot z Warszawy do Katanii. Przejazd do Syrakuz na zakwaterowanie. **Dz. 2** Syrakuzy – Caltagirone – Agrigento. Wycieczka po starożytnych Syrakuzach, przejazd do miasta ceramiki – Caltagirone, a następnie do doliny świątyń w Agrigento. **Dz. 3** Agrigento – Palermo. Spacer po stolicy Sycylii – Palermo. **Dz. 4** Czas do własnej dyspozycji w Palermo. Cefalu i Enna. **Dz. 5** Enna – Piazza Armerina – Giardini Naxos. **Dz. 6** Wulkan Etna oraz Taormina. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Powrót do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 28/09 2022 | 5.198,-

Dobry Duda



Mariusz Janicki

W dwulecie swojej drugiej kadencji prezydent Andrzej Duda staje przed wielką próbą. W piątek weszła w życie ustawa likwidująca Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego i powołująca Izbę Odpowiedzialności Zawodowej. Wkrótce wśród sędziów SN zostaną wylosowane 33 osoby, z których prezydent wybierze 11 członków nowej izby. Obecny skład SN jest taki, że wśród wyłonionych losowo sędziów prezydent może wybrać grupę, gdzie większość (jeśli nie całość) będą mieć tzw. neosędziowie, których desygnowała zdominowana już przez PiS neo-KRS. Wszak prezydent, mimo dwóch wet w 2017 r., z zapałem wspierał „reformy” Ziobry, podpisał wiele ustaw rujnących nie tylko SN, ale także Trybunał Konstytucyjny, zgodził się również na tzw. ustawę kagańcową i podporządkowanie prokuratury Ziobrze. Duda może jednak wskazać również tzw. starych sędziów, mianowanych jeszcze przez dawną KRS, do której nie ma prawnych zastrzeżeń, także ze strony Komisji Europejskiej i TSUE.

Dylemat Dudy zdaje się być zero-jedynkowy, ale prezydentowi udaje się wymykać takim kryteriom. Jeśli wybierze wariant propisowski, może powiedzieć, że przecież umowa z Komisją Europejską (jeśli taka była, a tak twierdził on sam) dotyczyła wyłącznie treści ustawy, a nie tego, jak on z niej skorzysta, nawet jeśli stałoby się jasne, że była to zmyłka, zmiana po to, aby nic nie zmienić. Za to jedno jest pewne: jeśli Duda postawi na sędziów mianowanych przez dawną, niepisowską KRS, rozlegną się fanfary, symetryści wylegną z tańcami na ulice, prezydent będzie wychwalany jako mąż stanu, ponad podziałami, ustrojowy bezpiecznik – te teksty już się piszą.

A jeśli Duda zdecyduje inaczej, bardziej po myśli Ziobry? Spokojnie, nic wielkiego się nie stanie. Pojawia się opinie, że jednak nie mógł zupełnie zaprzeczyć swoim poglądom, nie można wymagać rzeczy niemożliwych, trzeba dać mu kolejną szansę. Bo przecież w sprawie lex TVN czy lex Czarnek pokazał pazur, a przecież mógł się zgodzić na zamknięcie prywatnej stacji telewizyjnej pochodzącej z kraju największego militarnego sojusznika Polski czy wprowadzić kuriozalne prawo oświatowe. Jednak Duda, podejmując decyzje oczywiste, wobec których nie było przyzwoitej alternatywy, stał się bohaterem.

Istnieje jeszcze taka wersja: prezydent mianuje większość „starych” sędziów, ale też część neosędziów. Wtedy ci pierwsi mogą nie chcieć rozstrzygać spraw wspólnie z tymi drugimi, których za sędziów – na podstawie wyroków europejskich trybunałów – nie uznają. Ani też nie zechcą przed taką izbą stawać sędziowie szykanowani przez PiS. W istocie jedyna decyzja, za którą Duda powinien zebrać pochwały demokratycznej opinii publicznej, byłaby taka, że prezydent mianuje do nowej Izby tylko legalnych sędziów. To byłby prawdziwy przełom. Ale wymagania wobec głowy państwa są znacznie mniejsze.

Taryfa ulgowa wobec prezydenta Dudy, dawana mu po obu stronach politycznego konfliktu, jest dzisiaj największym fenomenem polskiej polityki. Jeden z publicystów napisał, że w czasach dwóch „wielkich drapieżników”, Kaczyńskiego i Tuska, Duda może się wydawać po prostu „dobrym człowiekiem”. Nieważne zatem, o co chodzi jednemu drapieżnikowi, a o co drugiemu, bo Duda jest lepszy od nich obu. Rzecz w tym, że taka zabawna opinia zdaje się mieć duży zasięg. Nie wiadomo, jak to Duda robi, może działa podprogowo, działa sam sobą, bo doradców nie ma genialnych, ale jego „urokowi” ulega także duża część niepisowskiej publiczności. Duda nie leczy, ale znieczula i pozwala PiS-owi na wszystkie operacje. Ta magia prezydenta trwa od 2015 r. i nie słabnie mimo ustrojowej destrukcji państwa, która bez podpisów prezydenta nie byłaby możliwa.

Duda to dla PiS znacznie większy atut niż Morawiecki, Kaczyński i inni razem wzięci, bo zapewnia wpływy w najcenniejszym politycznie centrum, pacyfikuje nastroje, łagodzi sprzeciw wobec władzy, także w czasach obecnej inflacji (o jej skutkach więcej na s. 12). Bronią go dziennikarze wszystkich opcji, nawet ci, którzy nie jeździli z nim wyborczym autobusem, gdzie rozdawano słynne pączki. Dudzie nie szkodzi nic: ani mianowania kolejnych sędziów wbrew stanowisku instytucji europejskich, ani występy na imprezach ojca Rydyka, ani 2 mld zł na TVP, ani wypowiedzi w rodzaju „LGBT to ideologia” czy zachęty dla obywateli, aby „zaczisnęli zęby” i przeczekali trudne czasy. Skłonność do wybaczenia głowie państwa, zdumiewająca pobłażliwość, niezliczone dawanie szans, stała gotowość do jego obrony osiągają poziom niedostępny dla innych polityków, także – a może zwłaszcza – opozycyjnych.

A ntypisowi” trudno będzie wygrać z obozem rządzącym, jeśli nie zdemitologizuje obecnego prezydenta, również w oczach swoich wyborców. A opozycja jest zachęcana do czegoś przeciwnego – do pogodzenia się z Dudą, wręcz do postawienia na niego, wygrywania go przeciwko Kaczyńskiemu. Bo przecież od 2023 r. jeszcze przez dwa lata trzeba będzie się z nim dogadywać. Tyle że opozycja, aby się później ewentualnie porozumiewać z Pałacem, najpierw musi wygrać wybory, a Duda pełni w wyborczej strategii PiS kluczową rolę: bez niego Kaczyński nie da rady.

Prezydent Duda jest najcenniejszym aktywem obozu PiS, przyjacielem Zełenskiego, łącznikiem Bidena, mistrzem pisowskiej prowincji, mówcą, który śmieszy jednych, tych odpornych na jego skomplikowaną charyzmę, ale wzruszającym i rozbrajającym dla innych. Jest nadal na plusie. Bardziej zachodzi na polityczny środek niż – z drugiej strony – Trzaskowski; w ostatnim sondażu 52 proc. pozytywnie ocenia pracę prezydenta. To też jakiś rodzaj większości, która idzie na konto rządzących, jakby powtórzenie wyniku wyborów prezydenckich z 2020 r. Tamten pojedynek wciąż trwa i Duda nic na razie nie stracił.

Donald Tusk walczy z Kaczyńskim, Morawieckim, Kurskim, Glapińskim i innymi. Ale głównym przeciwnikiem jego partii jest „dobry” Duda, który spiłowuje wizerunkowe kanty prawnicy, czaruje dziennikarzy i dorysowuje słoneczko na pisowskim niebie. Nie zużywa się w inflacji, zyskuje na wojnie, demobilizuje wyborców opozycji, bo jest „dobrym PiS-em”; ciągną do niego różne środowiska w nadziei, że „postawi tamę największym szaleństwom władzy”. W decydującym momencie kampanii wyborczej zostanie wykorzystany jako argument za normalnością PiS i może znowu dorzucić brakujący milion głosów. Wyłączenie Dudy z obozu władzy i specjalne traktowanie byłoby przejawem dużej naiwności liberalno-demokratycznej strony.



Żonglerka prawem

Trybunał Konstytucyjny nie spełnia już wymogu niezawisłego i bezstronnego sądu ustanowionego uprzednio na mocy prawa” – stwierdza Komisja Europejska po ujawnieniu „maila Dworczyka”, w którym minister raportuje premierowi, że widział się z „p. Julią P.” i że trzy sprawy w TK, których osądzenie będzie miało negatywne skutki dla budżetu, na razie są wstrzymane. KE przeszła do drugiego etapu procedury przeciwnaruszeniowej. Chodzi o wyroki, w których Trybunał **Julii Przyłębskiej** uznał orzeczenia TSUE wobec Polski za sprzeczne z polską konstytucją, a także o naruszenie polskiego prawa przy powołaniu Przyłębskiej na funkcję prezesa TK oraz powołanie do TK trzech sędziów dublerów. Komisja poleca rządowi

te sprawy uporządkować, inaczej skieruje skargę do TSUE. Wygląda na to, że Komisja – podobnie jak większość opinii publicznej w Polsce – potraktowała wspomniany mail jako kolejny dowód, że władza ugaduje orzeczenia Trybunału (pod względem treści i terminów).

Przedstawiciele rządu nie chcą komentować treści maili ze skrzynki Michała Dworczyka. Ale jest oświadczenie wiceprezesa TK, dublera **Mariusza Muszyńskiego**. Na swojej stronie internetowej napisał, że jeśli zostanie zwolniony z tajemnicy służbowej, to powie „więcej na temat procedowania w tych sprawach i ew. prób wpływów”. A więc złożył doniesienie, że wpływno w tych sprawach na skład sądu. Podejrzanie przestępstwa. I co? Nic! Prokuratura nie ogłasza, że wszczęła postępowanie wyjaśniające. Nie reaguje też na kolejny wpis Muszyńskiego, w którym ten przyznaje, że napisał

do premiera mail z prośbą o przystąpienie do Rady Legislacyjnej znajomego. Nie widzi w tym zagrożenia „korupcją sądowno-polityczną” – jak w 2016 r., gdy z TK jeszcze pod wodzą prof. Andrzeja Rzeplińskiego wyciekł projekt ważnego wyroku.

W tym samym czasie KE opublikowała doroczny raport o stanie praworządności w krajach UE. Uznaje m.in. za zagrożenie skomasowanie władzy nad prokuraturą i sądami w rękach Zbigniewa Ziobry i zauważa „wybiórcze stosowanie prawa i bezkarność spowodowaną nierównym traktowaniem” ludzi związanych z władzą i z opozycją. Przy takiej prokuraturze „p. Julia P.” nie ma się czego obawiać.

Wiceprezes Muszyński musiał swoje oświadczenie opublikować na własnej stronie internetowej. Na stronie TK znalazło się natomiast oświadczenie innego dublera, Jarosława Wyrembaka. To poetyckie larum zainspirowane dyskusją o konieczności usunięcia ze stanowisk osób powołanych z naruszeniem prawa. Zaniepokojony tym Wyrembak pisze o „wystrojonych w europejskie krawaty wojowników”, którzy uprawiają „żonglerkę sierpem i młotem”. I dalej: „Tylko ostrzegam, że widmo nadciągą (...). Zanim zwiążą nam ręce i zakleją usta – może znowu odwołując się do wiary w nagle odnalezionego Boga”.

Fakt, umieszczenie tej poezji na oficjalnej stronie TK dopełnia obrazu polskiego trybunału i każe się zastanowić nad poważnym traktowaniem jego orzecznictwa od 2017 r. (ES)

Człowiek z cienia Nowogrodzkiej

Ostatnie zmiany personalne w PiS przyniosły awans osobie mało znanej, ale w strukturach partyjnych dość znaczącej. „Podjęto decyzję o powołaniu funkcji zastępcy sekretarza generalnego partii” – poinformował Radosław Fogiel. Od teraz Krzysztof Sobolewski ma więc swojego zastępcę: **Piotra Milowańskiego**.

Jak uzasadniał rzecznik PiS, awans jest „w ramach uznania dotychczasowej pracy i opieki nad strukturami” oraz po to, „aby sprawniej zarządzać nową strukturą”. Bo w czerwcu władze PiS dokonały zmian w partyjnej strukturze: powołano 94 pełnomocników okręgowych (wcześniej było ich 41) – wszystko, rzecz jasna, z myślą o nadchodzących wyborach.

Kiedy PiS świętował zwycięstwo parlamentarne w 2019 r., szef sztabu Joachim



Brudziński wymienił Piotra Milowańskiego wśród tych, którzy najbardziej zapracowali na ówczesny sukces. Od kilku lat Milowański jest kierownikiem działu struktur partii przy Nowogrodzkiej (przed nim zajmował się tym Sobolewski). – *Piotr codziennie stawia się w centrali, Jarosław Kaczyński dobrze go poznał i ma do niego zaufanie. Dostał awans, aby mieć większy posłuch w rozbudowanej teraz strukturze partyjnej* – opowiada polityk PiS. Milowański ma

34 lata i dobrze zna partię – przy Nowogrodzkiej pracuje od ponad 13 lat. Kiedy Radosław Fogiel został posłem i nie mógł już być dyrektorem biura poselskiego prezesa PiS, to właśnie on miał go zastąpić. – *Ostatecznie jednak prezes uznał, że Piotr nie będzie miał na to czasu, bo musi zająć się strukturami. To świadczy o tym,*

że pokłada w nim duże nadzieje – twierdzi nasz rozmówca.

Milowański, podobnie jak Sobolewski, powtarza czasami za Joachimem Brudzińskim, że jest tylko „skromnym pracownikiem winnicy Pana”. Najbliżej współpracuje właśnie z Sobolewskim, którego też mało kto znał, aż do kampanii w 2019 r., kiedy dostał od prezesa PiS jedynekę na liście wyborczej w Rzeszowie i został posłem. Nowo wybrany zastępca sekretarza generalnego nie chodzi do mediów, nie lubi rozgłosu, woli trzymać się w cieniu. Ostatni raz na Twitterze pisał coś ponad dwa lata temu – a jego aktywność skupiała się w dużej mierze na promowaniu Jarosława Kaczyńskiego i Mariusza Błaszczaka. To właśnie ten ostatni wiele lat temu otworzył mu drogę do PiS. Milowański, warszawiak z urodzenia, był asystentem społecznym Błaszczaka. Jako 22-latek, w 2010 r. wszedł do warszawskiej rady dzielnicy Wola, ale w wyborach samorządowych w 2018 r. – choć otwierał listę – zabrakło mu głosów i nie zdobył mandatu. Tamta porażka nie ma teraz żadnego znaczenia. Błaszczak został wicepremierem, a jego dawny asystent ma szansę wyrosnąć na jednego z ważniejszych ludzi w otoczeniu prezesa. (DĄB.)

Angielscy ziobraćcy i lekcja dla Polski

Radostaw Sikorski

Kiedyś dziennikarz, potem m.in. szef MON, MSZ oraz marszałek Sejmu. Obecnie w PE.



Thatcher, Major, Cameron, May, Johnson. Wedle mojej kalkulacji Boris jest piątym premierem Wielkiej Brytanii, który stracił stanowisko w dużej mierze przez szizofreniczny stosunek Partii Konserwatywnej do Unii Europejskiej. Imprezy na Downing Street podczas pandemii i zarządzanie kryzysami wizerunkowymi poprzez kłamstwa były widocznymi konwulsjami gabinetu Johnsona, ale podglebiem nieufności wobec niego były fałszywe podażki podczas referendum i sposób wyjścia z Unii.

Poznałem go na pierwszym roku studiów; pamiętam, że już wówczas wszyscy uważali, że będzie premierem. Problem polegał na tym, że aby nim zostać, musiał zawrzeć diabelski pakt z ziobraćcami w swojej partii. On, potomek ministra spraw wewnętrznych Imperium Osmańskiego, syn wysokiego urzędnika Komisji Europejskiej, obywatel USA, student i błyskotliwy komentator klasyki greckiej i rzymskiej, musiał zacząć udawać eurofoba z angielskiej prowincji. Aby zrealizować swą ambicję, musiał stać się kimś, kim nie był. Jeszcze jako liberalny i liberyński burmistrz Londynu uważał brexit za kretyński pomysł sekty fanatyków. Ale gdy okazało się, że tylko ta sekta jest w stanie wysadzić z siodła Theresę May, na jego rzecz, uznał, że Downing Street 10 warte jest mszy.

Wsparcie Borisa dla Ukrainy, jeszcze zanim zaczęła się wojna, będzie pozytywnym jego premierostwa i może być dobrym przykładem do naśladowania w przyszłości stosunków pomiędzy UE a UK. Mając wizję strategiczną, niezależność w działaniu i niemałe zasoby – szczególnie w dziedzinie bezpieczeństwa – Wielka Brytania może podejmować szybkie decyzje, które zachęcają tak USA, jak i Unię do działania w duchu międzynarodowego ładu i liberalnych

wartości. Ale obawiam się, że z każdym rokiem, gdy wzrost gospodarczy Wielkiej Brytanii będzie niższy niż reszty grupy G7, głupota brexitu będzie bardziej widoczna, a hipoteka brexitu – bardziej obciążająca.

Tym bardziej że to właśnie frakcja brytyjskich ziobraćców, przy pomocy Borisa, wymusiła na Partii Konserwatywnej najtwardszy możliwy model brexitu. Gdyby wybrano model norweski – co obiecywali zwolennicy referendum – Wielka Brytania pozostałaby w rynku wewnętrznym UE i nie miałaby dzisiaj zapasów w eksporcie. Gdyby chociaż posłuchano Theresy May i Wielka Brytania pozostałaby w unii celnej z Unią, nie byłoby dzisiaj ani problemu protokołu irlandzkiego, ani zagrożenia jedności kraju związanego z jego

działaniem. Ale nie, angielscy ziobraćcy, tak jak nasi, zdefiniowali suwerenność jako samowystarczalność prawną, wbrew dobrowolnie zawartym kompromisom i traktatom. I na ołtarzu tej idei poświęcili inne ważne interesy kraju. Za kilka lat, gdy wojna w Ukrainie i jej autor będą już historią, brexit nadal będzie strukturalną rzeczywistością oraz namacalną spuścizną Borisa. Taką jak uczestnictwo w wojnie w Iraku – też podszyte kłamstwem – dla Tony'ego Blaira.

Jest w tym lekcja dla Polski. Grupa angielskich ziobraćców przejęła agendę partii rządzącej i wyrwała swój kraj z Unii nie dlatego, że była przesadnie silna, lecz dlatego, że była ideologicznie zmotywowana i w swoich poglądach gorąca, a zwolennicy pozostania byli letni. Odpowiedzią na impet eurofobów była przesadzająca argumentacja o Unii jako o mniejszym złu. Nie wolno więc dopuścić, aby nasi eurofobowie ugruntowali mity europejskie na wzór mitu o zamachu smoleńskim. Wchodziliśmy świadomie do Unii politycznej, a nie tylko gospodarczej. Unia jest trochę pokraczną konfederacją, ale nie dyktaturą. Świadomie zobowiązaliśmy się do przyjęcia waluty UE – euro. W Smoleńsku miał miejsce wypadek.

Może dobrze, że nasi ziobraćcy już teraz pokazują, co potrafią: wprowadzać chaos prawny, narażać Polskę na przegrane procesy oraz kary i pozbawiać kraj środków na odbudowę. Niech to będzie szczerpionką przeciwko polskiemu Borisowi.

O wyborach następcy premiera Borisa Johnsona piszemy na s. 11.

Informacje z komunikatora, nie z TVP

Skąd Polacy czerpią informacje o świecie i bieżących wydarzeniach? Wciąż najpopularniejszym źródłem jest u nas telewizja i nie odbiegamy tu daleko od średniej unijnej (75 proc.); zdecydowanie częściej jednak korzystamy z internetowych platform informacyjnych (57 proc., w Unii średnio 43 proc.), ale rzadziej niż przeciętni Europejczycy sięgamy po prasę drukowaną (13 proc., w UE – 21 proc.). Kolejnym popularnym w Polsce medium informacyjnym jest radio (43 proc., w UE – 39 proc.).

To dane, które przynosi najnowszy Eurobarometr – cykliczne badanie zlecane przez europarlament. Wnioski mogą się okazać szczególnie istotne dla polityków, którzy nieformalnie już rozpoczęli kampanię wyborczą, bo umiejętność wykorzystania mediów jest w tym okresie kluczowe. A Eurobarometr uwidocznił kilka interesujących tendencji – zwłaszcza jeśli chodzi o rolę mediów społecznościowych, a także popularnych komunikatorów. Zaskakujące może się

wydawać to, że aż 22 proc. Polaków szukających bieżących informacji w internecie czerpie je z linków podsyłanych przez znajomych na Messengerze, WhatsAppie lub innym komunikatorze (zbliżony odsetek odnotowano w Bułgarii; w UE średnia wynosi 14 proc.). Messenger jest zresztą w Polsce bardzo popularny – korzysta z niego 65 proc. Polaków (w UE – 37 proc.), zdecydowanie więcej niż np. z Twittera, na który gros polityków traci czas i energię (18 proc. – to wynik zbliżony do TikToka, z którego korzysta co piąty Polak). Najpopularniejszymi platformami pozostają Facebook (81 proc.) i YouTube (69 proc.); 37 proc. Polaków używa też Instagrama. To z sieci społecznościowych Polacy czerpią przede wszystkim wiadomości oraz informacje o bieżących wydarzeniach (57 proc.), dopiero potem próbują za ich



pomocą dowiedzieć się, co słycać u znajomych (lub rodziny) i z nimi korespondować – w Europie jest odwrotnie.

Polacy, podobnie jak Węgrzy, jako jedyni w UE nie mają zaufania do mediów publicznych – TVP i Polskiemu Radiu ufa jedynie 23 proc. obywateli naszego kraju (czyli nawet nie wszyscy wyborcy PiS). We wszystkich innych krajach UE to właśnie media publiczne uchodzą za najwiarygodniejsze źródło informacji. U nas największym zaufaniem cieszą się prywatne stacje telewizyjne i rozgłośnie (43 proc.), a zaraz potem: znajomi i osoby obserwowane w mediach społecznościowych (26 proc.) – ale nie tzw. influencerzy (tylko 7 proc. badanych). Zarazem Polacy – a zaraz obok Duńczyków – najczęściej przyznają, że nie są w stanie rozpoznać dezinformacji. Co politycy mogą różnie interpretować. (MLV)

Ubezpieczony, mocno przerażony

Rynek ubezpieczeń stanął na głowie. Okazało się, że używane auta podrożały, ubezpieczyciele nie wszystkich chcą ubezpieczyć, a branżę ratują drażniące ceny paliw. Ale po kolei. Na stabilnym rynku motoryzacyjnym auta się starzeją, a ich wartość spada. Na zaborzonym rynku samochody się starzeją i jednocześnie drożeją. I taki trend jest w Polsce już od kilku miesięcy, bo po pandemii na rynku brakowało nowych aut. Skoro nie było nowych, klienci rzucili się na używane. Ale tam spotkali się z handlarzami z Ukrainy, którzy od 6 kwietnia mogą ściągać auta bez cła. Na rynku zrobiła się próżnia podażowa. Dalej było jak u Hitchcocka.

Od połowy kwietnia używane samochody sprzedają się niemal na pniu. Ale wybrane modele. Powodzeniem cieszą się SUV-y. W cenie są też Volkswageny. W efekcie 5-letni Passat, rok temu wyceniany na 42 tys. zł, nagle podrożał do 55 tys. – a nawet 60 tys., w zależności od stanu i wariantu. Dodatkowo w międzyczasie o 30 proc. wzrosły koszty likwidacji szkód. – *W tej branży zawsze było tak, że warsztaty zawyżały koszty, a my im je obcinaliśmy i jako się dogadywaliśmy. Ale tym razem coraz więcej warsztatów zaczęło kierować sprawy do sądu. Zrobiło*



© SHUTTERSTOCK

się nerwowo – mówi jeden z analityków ubezpieczeń. Średnia cena roboczogodziny wzrosła ze 120 do 170 zł, co już zaczyna przekładać się na ceny ubezpieczeń. Klienci, którzy przez lata byli przyzwyczajeni, że z roku na rok płacą mniejszą składkę AC – bo mniej warte było ich auto albo dostawali kolejne zniżki – teraz przecierają oczy ze zdumienia. Podwyżki najmocniej uderzają w tych z trudną historią, czyli większą liczbą szkód na koncie. Dla niektórych stawki są wręcz zaporowe. – *W zeszłym roku zapłaciłem za OC i AC 3,8 tys. zł. W tym jedna z firm wyliczyła mi składkę na 6 tys. zł* – mówi pan Marek z Warszawy. Dotychczas ubezpieczyciele zarabiali na obrocie pieniędzmi

ze składek i gotowi byli na większe ryzyko. Przy inflacji na poziomie 15 proc. inwestowanie nie jest już tak opłacalne. Branża zaczyna oglądać każdą złotówkę. I każdego klienta.

Jak nieoficjalnie mówią ubezpieczyciele, rozchwiany rynek ubezpieczeń paradoksalnie ratują wysokie ceny paliw. – *Formalnie spadek ruchu jest niewielki. Ale najwięcej szkód powstaje w czasie kolizji w ruchu miejskim. A tu liczba samochodów na drogach spadła w sposób zauważalny, co widać po liczbie zgłoszeń* – dodaje analityk. Jeśli liczba stłuczek wzrośnie, ceny ubezpieczeń poszybują jeszcze wyżej. (JULL)

REKLAMA

To nie reklama - słowo honoru.

Występują (m.in.):

Józef Blass,
Marek Borowski,
Andrzej Brycht,
Zbigniew Bujak,
Henryk Dasko,
Henryk Goryszewski,
„Che Guevara”,
Ludwik Hass,
Lee Iacocca,
Zbigniew Janas,
Krystyna Janda,

Lech Kaczyński,
Ryszard Kalisz,
Jan Paweł II,
Józef Kępa,
prof. Michał Kleiber,
Jacek Kuroń,
Aleksander Kwaśniewski,
Jan Lityński,
Antoni Macierewicz,
Adam Michnik,
płk. Omelan,

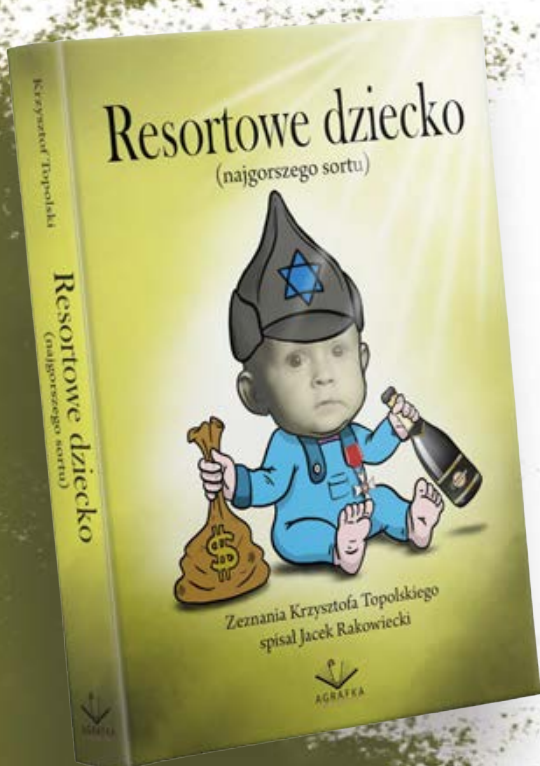
gen. Marek Papała,
prof. Zygmunt Saloni,
prof. Adam Schaff,
Barbara Toruńczyk,
Julian Tuwim,
Magda Umer,
Lech Wałęsa,
Janusz Weiss,
Andrzej Woyciechowski,
prof. Jerzy Woźnicki,
Maciej Zembaty.

„tyle przygód, nie miał chyba prawie nikt. Kabaret, marzec 68, więzienie, noszenie walizek w hotelu za 25 dolarów tygodniowo, własny biznes samochodowy po 5 latach, największa hurtownia używanych samochodów osobowych w Ameryce po 10 latach, obroty wszelkimi typami nowych pojazdów na 3 kontynentach po 15 latach, powrót z emigracji po 20 latach”.

Brzmi niewiarygodnie? W stu procentach prawda!

Sprawdź...

www.resortowedziecko.pl



HIMARS-y przeciw Rosji

Jest ich zaledwie garstka, a już zmieniły układ sił. Amerykańskie wyrzutnie rakietowe HIMARS od lipca są największym postrachem Rosjan i najsukuteczniejszym narzędziem wymierzania sprawiedliwości na wschodzie i południu Ukrainy. Z bezpiecznego dystansu i z nieubłaganą precyzją niszczą składy amunicji, magazyny paliw, stanowiska dowodzenia. Na koncie mają spektakularne eksplozje, długą listę zabitych oficerów, a przede wszystkim wywołanie poczucia, że na zabranej Ukrainie ziemi Rosjanie nie są bezkarni. Churchill oceniliby, że jeszcze nigdy w tej wojnie tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym.

HIMARS-y strzelają nawet 50 km za linię frontu, i to z dokładnością do pojedynczych metrów. To nie artyleryjski walec do równania z ziemią miast i wsi, to karabin wyborowy z pociskami o średnicy prawie ćwierć metra. Kiedy kilka takich kul trafia w dziesiątkę, nie przetrwają generałowie w umocnionym bunkrze ani zapasy amunicji w polowym magazynie. Z tego, co wiadomo o wybieranych celach, ukraińska artyleria rakietowa nie mści się za rosyjskie ostrzały, a na wszelkie sposoby uniemożliwia ich kontynuację. Burzy obiekty zaplecza, odcina dostawy i dezorganizuje dowodzenie. Tam gdzie Rosjanie są w natarciu, spowalnia je. Tam gdzie Ukraina przygotowuje kontratak, zmiękcza rosyjską obronę. Dlatego we wschodnim

Donbasie HIMARS-y celują w linie dostaw amunicji, paliw i wojska na front, a na południu likwidują przygotowywane na następne starcie magazyny.

Te broń pokazuje niezwykłą skuteczność, ale 10, góra 12 wyrzutni amerykańskie HIMARS-y, przewożące po sześć pocisków, ale też brytyjskie MLRS-y z 12 rakietami na wyrzutni. Ukraińscy żołnierze mówią o kilkunastu „zadaniach ogniowych” dziennie. Czasem jedno zadanie to jeden pocisk, czasem trzeba kilku. Dostarczyć je mogą tylko Amerykanie, którzy sami gorączkowo przeglądają zapasy, przeliczają liczbę wystrzelonych pocisków na perspektywy trwania wojny i apelują do przemysłowców o zwiększenie produkcji. Wojna z Rosją oznacza lawinowe zużycie amunicji, na której przez ostatnie 30 lat oszczędzają się łatwiej niż na sprzęcie.

Ale nawet HIMARS-y są bezradne, gdy kilka wystrzelonych spod wody raket spada na centrum miasta. Przewrócony wózek, zakrwawione buciki i zastygła na stop-klatce twarz kilkuletniej dziewczynki z Winnicy to najświeższe dowody putinowskiego bestialstwa, na które odpowiedzi wojskowej tak naprawdę nie ma.

MARK ŚWIERCZYŃSKI

Biden musiał?

Ostawiony **żółwik Joe Bidena z władcą Arabii Saudyjskiej**, księciem Mohamedem bin Salmanem, zwanym MBS, zdominował relacje z bliskowschodniej podróży prezydenta USA, który zapowiadał, że będzie go traktował jak „pariasa” za zabójstwo opozycyjnego dziennikarza Dżamala Chaszukdziego. Ważniejsze jednak, czy efekty wizyty Bidena w Dżeddzie i w Izraelu zrekompensowały piarowe straty ze spotkania z MBS, które mogło być nieuniknioną ceną poprawy stosunków z kluczowym sojusznikiem na Bliskim Wschodzie. Celem podróży było umocnienie obecności Ameryki w regionie, z którego chcą ją wyprzeć Rosja i Chiny. A doraźnie – przekonanie Arabii Saudyjskiej do zwiększenia produkcji ropy, co obniżyłoby jej cenę, a więc pomogłoby w walce z inflacją, a także z Putinem, który dzięki dochodom z ropy finansuje wojnę z Ukrainą.

Wizyta w Izraelu miała zapewnić jego rząd, że może na Bidena liczyć, gdyż nie jest on imitacją Obamy i nie będzie naciskał na ustępstwa wobec Palestyńczyków. Jak Trump przed nim, zaofiarował pieniądze, ale nie potępił okupacji Zachodniego Brzegu

i nie otworzył zamkniętego przez Trumpa konsulatu USA we wschodniej Jerozolimie. I zadeklarował, że Ameryka użyje siły – choć tylko „w ostateczności” – by nie dopuścić do uzbrojenia Iranu w broń atomową.

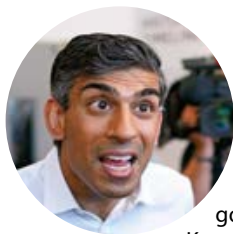
W Dżeddzie Biden obwieścił, że Saudyjczycy zezwolą na loty izraelskich samolotów nad swym terytorium, co ma być krokiem do normalizacji stosunków między obu państwami i nastąpiło już między Izraelem a paroma innymi krajami arabskimi. Jako sukcesy wizyty wymienia

się też obietnicę MBS przedłużenia rozejmu w Jemenie oraz zapowiedziane inwestycje amerykańskie w Arabii Saudyjskiej. Co do zwiększenia produkcji ropy nie usłyszeliśmy konkretów, tylko informację, że rozmowy będą trwały. Rijad tłumaczy, że nie może wydobywać więcej.

Biden nie osiągnął wiele i jeśli za jakiś czas nie okaże się, że jego podróż przyniosła więcej namacalnych korzyści, będzie się z niej pamiętać głównie żałosną quasi-rehabilitację księcia MBS.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU





Casting na premiera

Torysi po dymisji Borisa Johnsona mają dziś taki sam problem jak kilka innych dużych partii na Zachodzie – to, co się podoba partyjnym elitom, nie podoba się partyjnym szeregowcom. Dobiać kończą pierwszy etap selekcji nowego lidera Partii Konserwatywnej na Wyspach, a co za tym idzie – nowego brytyjskiego premiera. Jeszcze w poniedziałek liczyły się wciąż cztery osoby – **Rishi Sunak**, do niedawna minister finansów, Liz Truss, do niedawna szefowa MSZ, oraz dwie mniej znane polityczki: Penny Mordaunt i Kemi Badenoch. I tu zaczyna się szarada interesów i osobowości.

Sunak to centrowa twarz torysów, zwolennik dużego państwa i podatków, ale przede wszystkim „zdrajca”, który według zwolenników Borisa Johnsona doprowadził do jego upadku. Jeśli wygra, konserwatyści – według dominującej opinii komentatorów – przegrają najbliższe wybory, a mogą się nawet podzielić na skrajną i umiarkowaną prawicę. Partyjni zwolennicy Johnsona skłaniają się ku Truss, która byłaby wyborem kontynuacji i ostrego zerwania z Unią Europejską.

Konserwatywni posłowie, którzy do czwartku 21 lipca mają wyłonić dwóch finalistów, Kchcą jednak zmiany, nie kontynuacji. I dlatego najwięcej ich głosów zbierał dotychczas Sunak. Z tym 42-latkim jest jednak zasadniczy problem. Według partyjnej elity będzie on antidotum na wszystkie bolączki Johnsona – jako polityk młodego pokolenia, nowoczesny, merytoryczny i już doświadczony. Jednocześnie dla 200 tys. szeregowych członków partii, którzy do 5 września mają wyłonić zwycięzcę, wszystkie te cechy obciążają Sunaka, który jest dla nich bogatym, kosmopolitycznym żółtodziobem, firmującym rząd Johnsona.

W efekcie choć jest niemal pewne, że Sunak znajdzie się w finale dzięki głosom posłów, to równie pewne jest, że w tym finale przegra z każdą z trzech konkurentek, o czym świadczą sondaże przeprowadzone wśród szeregowych członków partii. W tych ostatnich prowadzi, ku sporemu zaskoczeniu, 49-lletnia Penny Mordaunt – na tyle niewyraźna politycznie, że akceptowalna i przez „borisowców”, i „antylorisowców”.



Sri Lanka ostrzegawcza

Kryzys w 22-mln Sri Lance nie skończy się szybko. Jest najgłębszy od uzyskania niepodległości i na horyzoncie nie widać nikogo, kto potrafiłby naprawić upadłe państwo i podnieść z ruin gospodarkę. Na 20 lipca zaplanowano głosowanie w parlamencie i wybór nowego prezydenta. Dotychczasowy – Gotabaya Rajapaksa – pod naporem protestów uciekł do Singapuru, skąd przysłał mail z rezygnacją. Szanse na zostanie jego następcą ma mieć premier Ranil Wickremesinghe, ale ulica też go nie znoś, manifestanci dopiero co spalili mu dom. Obwiniają szefa rządu o sprzyjanie rodzinie Rajapaksov, która przez dwie dekady dominowała w polityce. Do obecnych trudności doprowadziła jej chciwość i nieudolność oraz rykoszety niekorzystnych globalnych trendów.

Według Światowego Programu Żywnościowego ONZ 90 proc. lankijskich rodzin rezygnuje z części posiłków. Brakuje lekarstw, nie ma gazu do gotowania i paliwa na stacjach. Rezerwy się rozeszły, miejscowa rupia znacznie straciła na wartości. Przez pandemię zmalały dochody z turystyki, a absurdalny eksperyment z zakazem importu nawozów – jako próba oszczędzania walut – doprowadził do zapaści rolnictwa. To wszystko w kraju, który dziś jest bankrutem, a jeszcze kilka lat temu przedstawiany był jako przykład sukcesu rozwojowego, osiągniętego w regionie świata szczególnie dotkniętym przez biedę. Spora część tego sukcesu była na kredyt. Dotąd ubierało się 51 mld dol. zewnętrznego długu, w jego restrukturyzacji Sri Lanka chce wsparcia Międzynarodowego Funduszu Walutowego – lider opozycji Sajith Premadasa (który też ma ochotę na bycie prezydentem) domaga

Najwięcej Hindusów

W połowie listopada liczba mieszkańców planety przekroczy 8 mld – przewiduje ogłoszony właśnie raport demograficzny ONZ – a w przyszłym roku Indie (obecnie 1,412 mld ludności) zde-tronizują Chiny (1,426 mld), co natychmiast z wielką dumą odnotowały indyjskie media. Już za rok Chiny zaczną się związać (i szybko starzeć), mimo zniesionych rygorów i licznych zachętę współczynnik dzietności spadł tu do 1,15, gdy prostą reprodukcję zapewnia dopiero statystyczne 2,1 dziecka przypadającego na kobietę w wieku rozrodczym. Średnia światowa to 2,3 – i systematycznie spada. W Indiach to dziś poniżej 2, a w miastach nawet 1,6, ale ludność nadal będzie przybywać, przynajmniej przez 30 lat, i według prognoz światowy lider ma osiągnąć 1,7 mld mieszkańców. W tym czasie blisko połowę światowego przyrostu ludności ma zapewnić ledwie pięć państw: obok Indii Demokratyczna Republika Konga, Egipt, Etiopia, Pakistan i Nigeria. Ta ostatnia, z przyrostem 120 mln mieszkańców, dogoni trzecie obecnie USA. Co czwarty mieszkaniec planety będzie mieszkał w Afryce.

Na drugim biegunie jest 61 państw, głównie najbogatszych i rozwiniętych, których populacja – jak prognozuje raport – zmaleje. W tym roku to już 41 państw, w tym Polska. Europa, z największą średnią wieku, licząca 747 mln, zaczęła się kurczyć rok temu i w ciągu 30 lat ma jej ubyć 40 mln mieszkańców. Straty ludności powyżej 20 proc. odnotują Bułgaria, Litwa, Łotwa, Serbia i Ukraina – z powodu wojny.

Na koniec: mamy dziś na świecie według ONZ 50,3 proc. mężczyzn i 49,7 proc. kobiet. Te proporcje do końca stulecia mają się odwrócić na korzyść kobiet.

się od MFW, by wymagane przez niego reformy amortyzować tak, by jak najmniej były odczuwalne przez zwykłych ludzi.

Kristalina Georgieva, szefowa MFW, mówi, że Sri Lanke powinno się traktować jak znak ostrzegający przed tym, co czeka państwa rozwijające się z wysokim poziomem długów – w tym drogich chińskich pożyczek – i nieudolnymi przywódcami. Z koktajlem wyzwań podobnym do lankijskiego w Azji Południowej zmagają się m.in. rządy przez komunistów Laos, jego zobowiązania do 2025 r. wynoszą połowę prognozowanych na ten czas przychodów budżetu. W Pakistanie rząd zaapelował o ograniczenie ilości wy-pijanej herbaty, co ma powstrzymać wpływ dewiz. Także Bangladesz zniechęca obywateli do wydawania za granicą na zbytki. I jeszcze Malediwy cierpiące przez pandemiczno-inflacyjny kryzys turystyki.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Strategie przetrwania

Rośnie obawa, czy starczy do pierwszego. U młodych, emerytów, także w klasie średniej. Zaczyna się od oszczędzania na jedzeniu, a potem lista się wydłuża.

Kryzys dotyka coraz większą liczbę Polaków, ale na razie nie widać protestów ani strajków.



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Politycy PiS udzielają ostatnio społeczeństwu „dobrych rad”: zacisnąć zęby i przetrwać najgorsze, zbierać chrust, mniej jeść i korzystać z gościny, ocieplić domy na zimę, jechać do lasu pod namiot. Takie porady dawane przez dzisiejszą opozycję, gdyby ta była u władzy, byłyby dla niej dewastujące i zakończyły z hukiem jej rząd przy najbliższych wyborach. PiS nadal ma jednak ponad 35 proc. poparcia, mimo że jego maszyna propagandowa jest coraz częściej bezradna. Jednak Polacy wdrażają na razie prywatne strategie przetrwania i wciąż specjalnie nie karzą władzy za coraz chudsze portfele. Jakie mechanizmy zatem tu działają i co się może zmienić w najbliższych miesiącach?

Rodzina 2+4: liczymy wydatki

Piotr nie kryje, że głosował na PiS. I w 2015 r., i cztery lata później. – *Miałem dość Platformy, salonu i postpolityki, tylko że lekarstwo okazało się gorsze od choroby. Nie znam się na ekonomii, ale czy naprawdę jedynym sposobem na kryzys jest podnoszenie stóp procentowych?* – mówi 40-latek pracujący w budżetówce, dodając, że owszem, oglądał konferencję Adama Glapińskiego, podczas której mówił, że inflacja po wakacjach zacznie spadać. Ale następnego dnia kolega podrzucił mu opinię analityków NBP, z której wynika, że rollercoaster dopiero się rozpęda.

Piotr z żoną mają czwórkę dzieci. Najstarsza córka ma 14 lat, najmłodsza 4, w środku jest dwójka chłopaków – 12 i 10 lat. Miesięcznie mają ok. 9 tys. razem z socjalami, a więc 500+ na dzieci. Mieszkanie – trzypokojowe na osiedlu z wielkiej płyty. Kredyt wzięli 12 lat temu. Wtedy rata wynosiła 700 zł. Dzisiaj – 2 tys.

– *Za mieszkanie płacimy 1 tys. zł, kolejny 1 tys. to rachunki za prąd, internet, telefony, telewizję. Najmłodsza Basia chodzi do przedszkola. Do czerwca opłata wynosiła 480 zł i do tego wyżywienie, ale od września będzie 7 stów plus jedzenie. To jest superprzedszkole, wszystkie nasze dzieci tam chodziły, ale jest prywatne. Jak nas dociśnie, przeniesiemy Basię do publicznego* – przyznaje Piotr. Mówi, że jakoś z żoną do niedawna ogarniali rzeczywistość. 500+ dało im oddech – i za to będzie chwalił PiS.

– *Ale się skończyło. Śmiałem się z mojego ojca, a teraz sam, jak wchodzi do pokoju chłopaków, to pytam, komu się światło świeci. Zdecydowaliśmy z żoną, że masło jest dla dzieci. My wróciliśmy do roślinnego zastępnika. No i nie pojechaliśmy na wczasy nad morze, bo benzyna i sam pobyt z czwórką dzieci po prostu by nas dobiły* – przyznaje Piotr i po chwili dodaje, że na wakacje wysłali tylko dwójkę starszych dzieci. – *Ja rozumiem, że na to, co się dzieje, składa się i wojna w Ukrainie, i błędy tego rządu, ale widzę też, że rząd biegnie w tę i we w tę po omacku i nic nie robi. Na początku mieli pomysł, jak wesprzeć rodziny. Ale od pewnego czasu odplynęli i tak płyną bez kierunku* – Piotr z gorzkim uśmiechem przyznaje, że swój bunt najpewniej pokaże przy urnie wyborczej. Nie zgłasza na PiS, ale też nie wie, czy w ogóle na kogoś zgłasza.

Studentka: koniec z knajpami

Na protesty przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji biegła za to Anka, studentka informatyki na Politechnice Wrocławskiej, i mówi, że dzisiejsza sytuacja nie zmienia jej poglądu na rządzących (i tu pada osiem gwiazdek).

– *I nieco przerażające jest, że są ludzie, którzy uważają, że to, co się obecnie dzieje, absolutnie nie zależy od PiS i do tego obwiniają Tuska i Koalicję Obywatelską, która nie jest już u władzy. Ile lat PO jest w opozycji? Siedem?* – mówi Anka, która wyprowadziła się od rodziców w październiku, kiedy zaczęła studia. Od dziadków dostaje 200 zł (bo więcej przy swoich emeryturach dać nie mogą), od rodziców 600 zł, no i ma pensję – więc w sumie na miesiąc ma 2300–2500 zł. Pracuje w sieciowej cukierni, kilka razy w tygodniu

ma dyżury w dwóch galeriach handlowych w mieście. Na szczęście może je tak ustawić, by nie kolidowały z zajęciami.

– *W czerwcu dostałam sporą wypłatę, bo ok. 2 tys. Ale na jedzenie od 10 lipca do końca miesiąca zostało mi jakieś 400 zł. Na szczęście nie wynajmuję mieszkania, ponieważ pracowałabym na cały etat i jadła suchy chleb, bo na tyle aktualnie wystarcza minimalna krajowa. Mam znajomych, którzy płacą 2400 za 15-metrową kawalerkę* – opowiada Anka, która mieszka z koleżanką. A ta jest szczęściarą, bo mieszkanie dali jej dziadkowie, a rachunki i czynsz płacą rodzice. – *Ostatnio robiłam w miarę podstawowe zakupy w Lidlu i cyk, poszło 180 zł. No to zrezygnowałam z wyjazdów, ograniczyłam wyjścia. Już nie chodzimy do knajpy na piwo i obiad, tylko gotujemy gar zupy na kilka dni* – przyznaje Anka. I po chwili dodaje, żeby nie pytać jej o to, jak będzie wyglądać jesień. Ma poprawkę z jednego egzaminu. O reszcie, a więc inflacji, cenach, kosztach życia, na razie myśleć nie zamierza.

Rodzina 2+2: biedni nie jesteśmy, ale...

Krzysztof i Hanna mają dwóch synów. Młodszy Michał we wrześniu skończy rok, starszy Radek pójdzie do przedszkola. Kredyt hipoteczny wzięli jesienią zeszłego roku. 485 tys. na 30 lat. Hania jest na macierzyńskim, jej mąż jest kierowcą tirów, który jeździ na trasach zagranicznych. Do tej pory nie narzekali na dochody, jak sami mówią, żyli na bardzo przyzwoitym poziomie. Ten poziom to 8500 zł miesięcznie na ich czwórkę.

– *Kiedy braliśmy kredyt na dom, to było nas stać. Nie chcieliśmy siedzieć rodzicom na głowie. Rata wynosiła wtedy niecałe 2 tys. Ale jak nam skoczyła wiosną do 2600, wprowadziliśmy się do niewykończonego domu. Góra jest niezrobiona, nie ma ocieplenia, ogródzenia, wielu rzeczy brakuje, ale nie było wyjścia. Mamy WIBOR 6 i w sierpniu na pewno rata nam wzrośnie* – martwi się Hanna, która w czarnym scenariuszu, który uznaje za najbardziej realny, zakłada, że miesięcznie będą spłacać 4 tys. zł raty kredytu. Hania wylicza wszystkie socjale, jakie dostają od państwa: 500+ to tysiąc do przodu. Rodzinny kapitał początkowy pozwolił obniżyć opłaty za żłobek starszego synka o 400 zł, płacili więc 250 za pobyt i 250 za wyżywienie. – *Michał od września będzie otrzymywał świadczenie 1000+ przez rok. Mogliśmy wybrać 500 zł przez dwa lata lub 1 tys. przez rok, wystąpimy o to drugie. I to na pewno nam pomoże* – mówi Hanna i od razu zastrzega, że nie są z mężem i dziećmi biedni, że na pewno są ludzie w sytuacji gorszej od nich, ale jeśli rata kredytu dojdzie im do 4 tys., opłacą wszystkie rachunki, żłobek i przedszkole, to te 8500 stopnieje w oczach. Wtedy będą musieli bardzo liczyć pieniądze na jedzenie.

– *Bo zawsze oszczędza się na jedzeniu* – przyznaje Hanka i zastrzega, że na ekonomii się nie zna, ale trochę czyta i nie wie, czy to ciągle podnoszenie stóp jest dobre. – *Boję się, że z tych problemów długo będziemy wychodzić, skoro to się dopiero rozkręca...*

Bardziej jednoznaczny w ocenie sytuacji jest mąż Hani Krzysztof, któremu najbliższe były i są poglądy Konfederacji, przynajmniej w kwestiach gospodarczych. – *Od początku krytycznie oceniałem politykę tego rządu, jak dla mnie więc nic się nie zmieniło. Oczywiście, że pandemia i wojna wiele rzeczy przyspieszyły i spotęwały, ale mam wrażenie, że jedynym pomysłem rządzących będzie program chrust+, a ludzie będą musieli sobie radzić sami* – ironizuje Krzysztof.

Samotna mama z dwójką dzieci: czas bezradności

Magda o swojej sytuacji mówi bardzo niechętnie. W końcu kiedy zaczyna, to nie wie już, co jest ważniejsze: rozwód czy komplet na zapaść finansowa, choć jedno wiąże się z drugim. Ma 34 lata, dwójkę dzieci, 4 i 2 lata. I właśnie wróciła do rodziców na wieś pod Częstochowę. Bez pracy, jak na razie bez alimentów. ▶

► – *Niecałe pół roku temu, po kolejnej ostrej awanturze z mężem, po prostu wystawił mnie z dziećmi za drzwi. Oczywiście poszło o pieniądze, bo pracowałam dorywczo ze względu na chłopców, on chciał żyć, jak to mówił, godnie, a my tylko generowaliśmy koszty* – Magda przyznaje, że miała odłożone na czarną godzinę 10 tys. (połowę dostała od chrzestnej na trzydziestkę i zachomikowała). Wynajęła więc kawalerkę na trzy miesiące. Z polecenia, bo ceny najmu zaczęły rosnać po wybuchu wojny w Ukrainie, za 28-metrową dziuplę zapłaciła 6 tys.

– *Nie chciałam wracać do rodziców, myślałam, że jakoś ogarnę zlecenia, będę pracować zdalnie. Znalazłam sprzątaninę. Etat z najniższą krajową: 2363,56 zł na rękę. Chłopców zawiozłam do mamy. Wniosłam pozew o rozwód, koleżanka mi pożyczyła 600 zł na opłatę w sądzie. Ale po trzech miesiącach właściciel mieszkania, przepaszając, powiedział, że musi mi podnieść wynajem, bo wszystko drożeje... Z 2 tys. po znajomości na 3 tys. Wtedy pękłam – Magda przyznaje, że płakała całą noc. A rano zadzwoniła do mamy, spakowała rzeczy i pojechała tam, skąd wyjechała na studia do Wrocławia. – Czekam na wyrok sądu w sprawie alimentów. I nie planuję przyszłości. Tato na szczęście zdążył kupić węgiel. Jak go przywieźli, to mówił, że przypomniła mu się Polska Ludowa i polowanie na towary spod lady... – mówi gorzko.*

Dwoje emerytów: na szczęście bez kredytów

Krystyna, rocznik 1946, Aleksander – 1945. Ona do niedawna miała emeryturę 1680 zł na rękę, ale teraz, wraz z dodatkiem pielęgnacyjnym (skończyła 75 lat), ma 2 tys. Mąż z dodatkiem ma 2600. Z jego emerytury idą wszystkie opłaty – w czerwcu 1700 zł, bo było wyrównanie za ogrzewanie jeszcze z zimy, a więc czynsz, media, telewizja, telefon. Z tego, co zostaje, kupują leki. No i starają odłożyć choć trochę, jakby coś nagłego wyskoczyło.

– *Moja emerytura, te 2 tys., idzie na jedzenie. I to na jedzeniu oszczędzamy, bo jest drogo. Ryby jemy na obiad raz w miesiącu, wołowinę też. Jeszcze w zeszłym roku mogliśmy pójść latem na lody z bitą śmietanką kilka razy, ale teraz to jest wydatek co najmniej 50 zł... – Krystyna wylicza, co właśnie kupiła za 70 zł w dyskoncie: 20 dkg kielbasy drobiowej, 10 białej, 70 dkg arbuza na dwa dni, koszyk malin, dwie kostki masła, koperek i natkę pietruszki.*

– *Każdą złotówkę oglądamy dwa razy przed wydaniem, bo jest coraz drożej. Na szczęście nie mamy kredytu, ale jak pomyślę o młodych, którym te raty ciągle rosną, to tylko się i płakać* – Krystyna nie kryje zdenerwowania i po chwili dodaje, że właśnie wrócili z mężem od rodziny spod Bielska-Białej. – *Siedzieliśmy cicho, jak tylko rozmowy schodziły na politykę. Bo my głosowaliśmy na PO, a oni na PiS. I jednego nie mogę zrozumieć – jest coraz drożej, widzą to przy każdym zakupach i za każdym razem, jak tankują, ale tak nienawidzą Tuska, jakby ślepi byli na to, co jest dookoła* – kręci głową z niedowierzaniem.

Para bez dzieci, ale z kredytem

Dorota pracuje w przedszkolu. Jest nauczycielką mianowaną wychowania przedszkolnego. Dwa lata temu zarabiała 2500 zł na rękę ze wszystkimi dodatkami. Wtedy rata jej kredytu hipotecznego wynosiła 800 zł miesięcznie, czynsz 350 zł, no i były opłaty: prąd, gaz, telefon. Nie dostałaby tego kredytu, gdyby nie wystąpili o niego razem z Piotrem, jej partnerem (na wkład własny dali im rodzice, dołożyli dziadkowie). Piotrek dwa lata temu zarabiał 2800 na rękę. Też budżetówka. Z jego pensji było na jedzenie, ubrania i na wakacje, na które oszczędzali cały rok.

– *Jak rata nam skoczy do wysokości mojej płacy, to z pensji Piotrka zrobimy opłaty, które na pewno pójdą w górę, i na życie na miesiąc zostanie nam tysiąc, może półtora. Planowaliśmy dziecko, ale 500+ w takiej sytuacji nie uratuje nam budżetu domowego, a nie mogę żyć na koszt rodziców. Denerwuję się, jak słyszę, że rozrośniętą armię urzędników trzeba zredukować,*

bo to darmozjady. Jeśli Piotrka w ramach takich redukcji zwolnią, to nie będziemy mieli nawet na czynsz – Dorota nie kryje, że stara się nie popadać w czarnowidztwo, przed rodzicami gra twardzielkę. Z Piotrkiem żartują, że od zaciskania pasa zrobi im się zgrabna talia, ale boi się jesieni. Bo wtedy na pewno wszystko podrożeje. Nie tylko rata ich kredytu.

Buntu nie będzie?

Prof. Henryk Domański, socjolog z Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk: – *Żeby ludzie wyszli na ulice, musiałoby dojść do zupełnego załamania warunków życia i takiego wzrostu kosztów, że nie byłoby ich stać na podstawowe rzeczy i dobra „egzystencjalne”, np. ogrzanie domu. Z powodu samych zapowiedzi czy prognoz trudno protestować.*

Prof. Domański uważa, że jest jeszcze jeden czynnik sprawiający, że jak na razie rządowi notowania nie spadają – ludzie przyzwyczaili się do tego, że obóz władzy realizuje różne programy pomocowe, więc zapewne spora część społeczeństwa zakłada, że mimo dramatycznych zapowiedzi głębokiego kryzysu i tym razem zostaną uruchomione poduszki ratunkowe.

Rafał Chwedoruk, politolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, przekonuje, że Polacy w obliczu kryzysu nie buntują się, bo jesteście społeczeństwem biernym. – *Kiedy mamy apogeum kryzysu, następuje wzrost indywidualizmu i egoizmu. Martwimy się tylko o siebie i swoją rodzinę. Nie chcemy czy nie jesteśmy zdolni współpracować z innymi, bardziej widząc w nich konkurentów do topniejących dóbr aniżeli ludzi takich jak my* – tłumaczy. Jego zdaniem masowe protesty wybuchają, kiedy kryzys się kończy i następuje erupcja oczekiwań.

– *Jeśli protestujemy, to przy urnach. Aż do 2011 r. wszystkie wybory w Polsce były głosowaniem przeciw* – przypomina Rafał Chwedoruk, który podkreśla też znaczenie struktury społecznej. Pokolenie 30–40-latków nie zbuntuje się, bo nie ma czasu, musi pracować i wychowywać dzieci. Emeryci, którzy ponadstandardowo często głosują na PiS, nie są tą grupą społeczną, która ma możliwości i zasoby, żeby czynnie kontestować. Naturalnym podmiotem wszelkich ruchów społecznych zawsze jest młodzież, ale ta polska wchodziła na rynek pracy w dobre hossy. Do młodych więc wciąż jeszcze nie dociera zmiana sytuacji, a jeśli dają upust swojej niechęci do rządzących, dotyczy to takich kwestii jak np. aborcja. Poza tym, jak uważa politolog z UW, po tylu latach wzrostu wciąż mamy zasoby, z których możemy dokładać do domowych budżetów. Pytanie, kiedy te zasoby się skończą.

Prof. Agata Gąsiorowska, psycholog z SWPS, pytana o to, czy lęk o bezpieczeństwo finansowe spowoduje społeczny wybuch, bez wahania odpowiada: – *Nie przewidujemy czarnych scenariuszy, truamy w tym, co tu i teraz, i nie jest to typowo polska cecha. Po prostu ludzie generalnie mają problem z długoterminowym planowaniem. Nie zastanawiamy się więc nad tym, jak będzie wyglądał kryzys, kiedy nas dotknie. A jak już dotknie, to przecież jakoś sobie poradzimy...* Prof. Gąsiorowska uważa, że przeciętny Polak z telewizji publicznej dowiaduje się, że inflację wywołał Putin, że opanowała ona całą Europę, a polski rząd sobie z nią radzi. – *Jeśli Kowalski wie, że są też inne źródła informacji, to z nich dowie się czegoś zupełnie odwrotnego. I w sytuacji, kiedy wciąż mamy relatywnie tanią żywność i nie ogrzewamy mieszkań, więc rachunki są jeszcze do udźwignięcia, w głowie takiemu Kowalskiemu rodzi się chaos i przestaje szukać informacji, no bo która jest ta prawdziwa? – psycholog z SWPS podkreśla przy tym, że ludzie najczęściej przeceniają swoją ekonomiczną wiedzę.*

Opozycja tymczasem liczy na przełom w nastrojach, który ma nastąpić po wakacjach, kiedy realna sytuacja ekonomiczna domowych budżetów wreszcie dotrze do ludzi i pojawi się znane z przeszłości pytanie: jak żyć, panie premierze?

KATARZYNA KACZOROWSKA

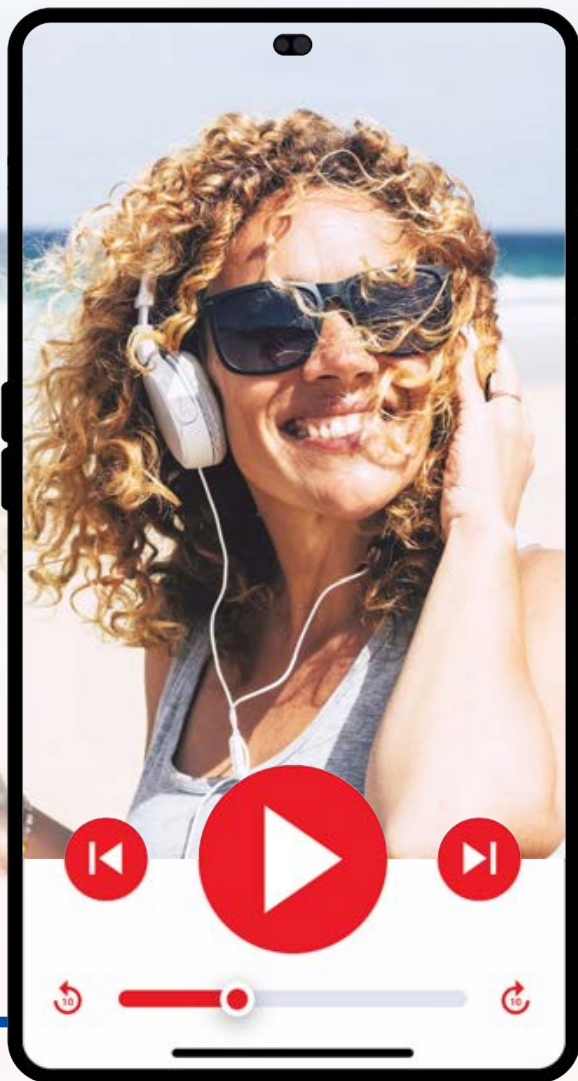


Pierwsze
Radio
Informacyjne

SŁUCHAJ TOK FM

GDZIEKOLWIEK JESTEŚ

Włącz radio na tokfm.pl
lub w **aplikacji mobilnej TOK FM**



Wypróbuj TOK FM Premium przez 3 miesiące za darmo.

Słuchaj swoich ulubionych audycji i podcastów internetowych zawsze, gdy masz na to ochotę.

Aktywuj kod: **LAT02022** na tokfm.pl/aktywuj

Długi na długo

ADAM GRZESZAK



ILUSTRACJA BARTEK KIELBOWICZ

Przybywa Polaków uwięzionych w pułapce różnych kredytów. W lepszych czasach zaciągali pożyczki, wydawali, inwestowali. Dziś, gdy wszystko drożeje, w tym i raty, okazało się, że nie dają już rady. Zасыpywani wezwaniami do zapłaty, straszeni sądem, windykacją i komornikiem, szukają ratunku.

Ewa od dawna żyje z ołówkiem w ręku. – *Dostałam ostatnio dwa wezwania z sądu z nakazami zapłaty, ale się odwołam i sąd mi to umorzył* – opowiada. Na szczęście nie ma problemów z komornikiem, choć zdarzają się telefony i esemesy z kancelarii windykacyjnych z pogróżkami. Zarabia tak mało, że komornik nie ma u niej nic do roboty. Choć z drugiej strony na tyle dużo, że nie może liczyć na pomoc z MOPS. Spłaca, ile może. – *To się zaczęło dawno, w 2007 r. Urodziłam dziecko, dziecko było chore, zarabiałam mało, a potrzebowałam na rehabilitację. Zaciągnęłam pierwszą pożyczkę. Potem zrobiłam prawo jazdy i chciałam kupić samochód, wzięłam chwilówkę. Potem życie mi się poplątało, straciłam pracę. Straciłam panowanie nad własnym życiem* – mówi Ewa.

Koniec balu

W 2022 r. Polacy weszli jeszcze w dobrych nastrojach. Inflacja wprawdzie rosła, ale sytuacja na rynku pracy była dobra i zasoby finansowe zaoszczędzone w trudnych pandemicznych latach sprawiały, że wiele osób chciało odreagować stres, więc decydowało się na ekstrawydanki. Jak komuś brakowało, nie było problemu, by pożyczyć. Inni, obawiając się nadchodzącej inflacji, w inwestycjach szukali ratunku dla oszczędności. Kupowali więc i urządzali mieszkania, korzystając z chętnie udzielanych im przez banki kredytów hipotecznych. W sumie zadłużenie Polaków doszło do 739,7 mld zł. Z tego – jak ustaliło Biuro Informacji Kredytowej (BIK) – ponad 70 proc. stanowiły kredyty mieszkaniowe. Na drugim miejscu były kredyty gotówkowe (160 mld zł) i ratalne (23,8 mld zł).

Jednak zaległości także rosną. Gdy kończył się 2021 r., w bilansach banków oraz dostawców prądu, wody, gazu, telefonu, telewizji czy internetu figurowało 2,39 mln konsumentów z nieuregulowanymi zobowiązaniami o łącznej wartości 44,4 mld zł. W pierwszym kwartale tego roku wzrosły już do 45,2 mld zł. Powiększyło się też grono zalegających z ratami lub płatnościami. Krajowy Rejestr Długów wyliczył, że średnie zaległe zadłużenie to 18 651 zł, czyli trzykrotność przeciętnego wynagrodzenia. Najbardziej zadłużeni są Ślązacy, którzy powinni oddać 6,4 mld zł, potem konsumenci z Mazowsza – 6,3 mld zł i Dolnego Śląska – 4,2 mld zł.

– *W najgorszej sytuacji są osoby, które mają do spłacenia kredyty, zwłaszcza hipoteczne. Rosnące stopy procentowe sprawiają, że niekiedy nawet co miesiąc rata jest wyższa. W górę idą też ceny energii i paliwa, a na to nakłada się jeszcze inflacja. Na razie przystoż zadłużenia konsumentów nie jest duży, bo zwiększają się też płace, a połowa Polaków wciąż dysponuje oszczędnościami. Ale spodziewamy się, że w kolejnych kwartałach grono dłużników się powiększy* – mówi Adam Łącki, prezes Zarządu Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej.

Te przewidywania wynikają z obserwacji, jak rozwija się akcja kredytowa. Spadki notowane są w dziedzinie kredytów ratalnych, a rynek kredytów hipotecznych przeżywa wręcz załamanie. Banki udzielają ich coraz mniej, bo wraz z rosnącym oprocentowaniem maleje też zdolność kredytowa osób chcących sfinansować zakup mieszkania czy budowę domu.

Szybkie wzrosty notowane są natomiast w segmencie bankowych kredytów gotówkowych, zwłaszcza tych na niskie

kwoty. Podobnie dzieje się w sektorze pożyczek pozabankowych. Potwierdza to raport Barometr Metrohouse i Credi-pass, z którego wynika, że średnia zdolność kredytowa rodziny z dwójką dzieci spadła w I kwartale o 56 proc. U osób samotnych spadek wyniósł 44 proc. Widać też, że coraz więcej osób szuka sposobu na sfinansowanie bieżących potrzeb domowych. Rośnie grupa posiadaczy kredytów hipotecznych, którzy muszą ratować się chwilówkami.

– *Obawiam się, że to zwiastuny narastającego problemu osób, które straciły kontrolę nad swoimi finansami i wpadają w spiralę zadłużenia. Cały czas jesteśmy przecież bombardowani reklamami: „masz kłopoty, my ci pożyczymy”, „kup dziś, zapłacisz jutro”, „raty zero procent”. Łatwo temu ulec, zwłaszcza jeśli nie czyta się umów, działa impulsywnie, nie rozumie ekonomicznych pojęć. Skłania to do kompulsywnego zadłużania się* – mówi Roman Pomianowski, psycholog, terapeuta uzależnień, prezes poznańskiego stowarzyszenia Program Wsparcia Zadłużonych.

Za mieszkanie można nie płacić

„Rosnące ceny gazu, energii, czynszów powodują najprawdopodobniej stopniowe powstawanie problemów z wywiązywaniem się z drobnych regularnych płatności. W świetle danych KNF problemy nie objęły jeszcze obsługi zobowiązań w instytucjach finansowych” – stwierdzają analitycy Związku Przedsiębiorców Finansowych w najnowszej edycji Barometru obsługi zobowiązań. To naturalna reakcja osób popadających w zadłużenie.

Nie płaci się w pierwszej kolejności tym, którym można to robić w miarę bezkarnie.

Z bankami lepiej nie ryzykować, podnoszą alarm nawet przy niewielkim opóźnieniu. W efekcie można trafić na czarną listę BIK, co odetnie nas od sektora bankowego. Podobnie trzeba uważać z tymi, którzy w łatwy sposób mogą odciąć nas od prądu, gazu, telefonu. Ale z opłatami za mieszkanie już tak nie jest, więc zaległości rosną.

Długi czynszowe Polaków wynoszą obecnie ponad 200 mln zł. Według danych BIG InfoMonitor w ciągu ostatnich czterech lat przeciętny dług lokatora spółdzielni, wspólnoty mieszkaniowej lub gminnego lokalu wzrósł z 11,1 tys. zł do 23,4 tys. zł. Średnia zaległość czynszowa jest największa w Warszawie. Najliczniejszą grupę dłużników stanowią kobiety w przedziale 45–54 lata. Rekordzistka mieszka w stolicy i zalega z prawie 1,8 mln zł.

Los upadłych

Anna opłaca czynsz regularnie, od kiedy straciła własne mieszkanie. A straciła je na skutek upadłości konsumenckiej. Sprzedaż mieszkania była jednym z elementów planu regulowania zadłużenia, przeprowadzanego przez wyznaczonego jej przez sąd syndyka. Dziś mieszka w wynajętym. Operacja sprzedaży była dla

niej przykrym doświadczeniem, bo nie tylko straciła własny kąt, ale także sama musiała go pokazywać zainteresowanym nabywcom przed licytacją. Dziś, gdyby informacja o zaległościach czynszowych w wynajmowanym mieszkaniu trafiła do syndyka, sąd mógłby nie zatwierdzić jej upadłości konsumenckiej.

Jak do tego doszło? Anna długo się zastanawia: – *Zaczęło się od kredytu hipotecznego na mieszkanie w wysokości 300 tys. zł. Potem skurczyły mi się dochody, więc zaczęłam brać kolejne kredyty. Jednymi spłacałam drugie, konsolidowałam je, licząc, że obniżę koszty, a okazywało się, że koszty rosną. Moim motorem stało się tylko to, żeby za wszelką cenę zdobyć pieniądze. Wszystko jedno jak, wszystko jedno gdzie. Nie doczytywałam umów, nie zastawiałam się, ile będę musiała płacić. Wydawało mi się, że dam radę. To był jakiś amok. Ocknęłam się, gdy na karku miałam komornika. Zrozumiałam, że jedyną szansą jest upadłość konsumencka.*

W 2021 r. upadłość konsumencką sądy ogłosiły w stosunku do 18 205 osób. To blisko 40 proc. więcej niż w 2020 r. Popularność tej instytucji zapewniają upadli celebryci, tacy jak piosenkarz Michał Wiśniewski czy aktor Jacek Rozenek. W ciągu siedmiu ostatnich lat bankructwo

ogłosiło prawie 60 tys. osób, ale dopiero od połowy 2020 r. ich liczba zaczęła rosnąć. Zdecydowały o tym pandemiczne problemy Polaków i liberalizacja przepisów upadłościowych. Według Centralnego Ośrodka Informacji Gospodarczej upadły konsument miał przeciętnie 49 lat. Najmłodszy 12 lat, a najstarszy 94. Oczywiście ten 12-latek sam się nie zadłużył, po prostu dług odziedziczył, bo – jak wiadomo – dłużnicy umierają, ale nie długi.

Prof. Anna Lewicka-Strzałecka z PAN bada regularnie moralność finansową Polaków, czyli sprawdza, jak zmienia się nasz stosunek do normy traktującej oddawanie długów jako obowiązek moralny i w jakim stopniu jest ona akceptowana przez respondentów. „Zmiana rozkładu opinii na temat tej normy w kolejnych edycjach badania zdaje się wskazywać na postępującą erozję zasady nakazującej wywiązywanie się ze zobowiązań finansowych” – stwierdza badaczka w najnowszym raporcie. Zdaniem Romana Pomianowskiego wstrząsy sejsmiczne w naszym życiu gospodarczym, rosnąca inflacja, oprocentowanie kredytów, wisząca recesja, kłopoty energetyczne – wszystko to wzbudziło już potężną falę zadłużeniowego tsunami, które jesienią uderzy z potężną siłą.

Imiona bohaterów tekstu zostały zmienione.

REKLAMA

HALE NAMIOTOWE PROJEKTOWANE NA DEKADY SZYBKI MONTAŻ BEZ FUNDAMENTÓW!

Izolowane hale z dachem pompowanym
Lokalne obciążenia wiatrowe i śnieżne nawet do 300 kg/m²

Nawet
25%
KOSZTÓW
TRADYCYJNEJ
HALI!

60m
Do
rozpiętości

Solidna konstrukcja z profili aluminiowych.

POL-PLAN
HALE NAMIOTOWE

TEL.: 502 736 436, TEL.: 502 736 435, TEL.: 571 291 866

www.pol-plan.com.pl

RAFAŁ KALUKIN

Matka wszystkich afer

Od moralnego wstrząsu do wielkiej demoralizacji. Afera Rywina zmieniła polską politykę, niestety na gorsze. Właśnie mija 20 lat od zdarzeń, które ją zapoczątkowały.

Przyszedł Rywin do Michnika i jego wizyta skierowała polską politykę na nowe tory. Choć nawet nie był specjalnie z nią kojarzony. Wtedy u szczytu producenckiej kariery – niespełna dwa miesiące wcześniej celebrował w Cannes Złotą Palmę dla „Pianisty” Romana Polańskiego. Obracał się w kręgach socjety, głównie artystycznej i medialnej. Do dziś nie wiemy, czy ktoś przysłał go do Agory i jeśli tak, to kto. I pewnie już się tego nie dowiemy, bo Rywin wybrał milczenie. Swoje odsiedział, teraz jest osobą prywatną.

Być może żyje z poczuciem niesprawiedliwości, w końcu nikt inny nie poniósł długofalowych konsekwencji. Domniemana „grupa trzymająca władzę” nie została zdemaskowana, a kojarzone z nią osoby z czasem zdołały odmrozić kariery i dziś bez przeszkód funkcjonują w życiu publicznym. Choć ich losy potoczyły się niekiedy paradoksalnie. Włodzimierz Czarzasty i Robert Kwiatkowski wreszcie zdobyli w ostatnich wyborach sejmowe mandaty, ale polityka zniszczyła ich wieloletnią przyjaźń. Pierwszy stoi na czele Lewicy, drugi należy do marginalnego koła PPS i liczy na miejsce w Koalicji Obywatelskiej.

Skonfliktowany z Czarzastym jest również jego dawny promotor Leszek Miller, wtedy premier, teraz eurodeputowany i stronnik Donalda Tuska. Z kolei jego ówczesna podwładna Aleksandra Jakubowska, która manipulowała kolejnymi wersjami ustawy medialnej, przeszła na drugą stronę barykady i dziś wspiera PiS w mediach braci Karnowskich. Trudno powiedzieć, jak się czuje w jednym obozie ze Zbigniewem Ziobrą, który jako sejmowy śledczy wysuwał najdalej idące oskarżenia wobec domniemych mocodawców Rywina. Spośród jej członków on jeden liczy się jeszcze w polityce, tyle że stał się głównym szkodnikiem. Największa gwiazda komisji Jan Rokita od lat zajmuje się już tylko komentowaniem rzeczywistości.

Również Agora nie zdołała zrealizować ambitnych planów sprzed dwóch dekad. Nie kupiła Polsatu, jej wartość spadła, rozproszyła się aura niezwykłego sukcesu. „Gazeta Wyborcza” oczywiście pozostała wpływowym medium, ale daleko jej do potęgi sprzed dwóch dekad. Zwarłe niegdyś środowisko mocno się zresztą



Lew Rywin na ławie oskarżonych.

podzieliło. Adam Michnik i Wanda Rapa-
czyńska są dzisiaj antagonistami w pu-
blicznie rozgrywanym konflikcie Agory
z „Gazetą”.

Czyżby ciążyło nad nimi wszystkimi ta-
jemnicze fatum Rywina?

1 Dziwna to była afera. Jeśli chodzi
o wpływ na życie publiczne, beza-
pelacyjnie największa w III RP. Cho-
ciaż nie do końca nawet wiadomo, czego
w istocie dotyczyła. Samej tylko korup-
cyjnej oferty Rywina, którą szef „Gazety
Wyborczej” nagrał na dwóch magnetofo-
nach i z półrocznym poślizgiem pokazał
światu? Uragającego legislacyjnym stan-
dardom trybu pisanie medialnej ustawy,
która miała powstrzymać dalszy rozwój
Agory? Czy też była to przede wszystkim
afery ustrojowa, która odśloniła niefor-
malne układy na szczytach władzy i to-
warzyszące temu zepsucie obyczajów?

Z tym dylematem nie umiano sobie
poradzić. A może też nie chciano, gdyż
dosyć szybko okazało się, że polityczni
beneficjenci skandalu zarabiają dodat-
kowe procenty na jego niejednoznacz-
ności. Stąd nadzwyczajna pojemność tej
afery, z wieloma kręgami podejrzanych
i obfitym katalogiem formułowanych
publicznie zarzutów – prawnokarnych,
politycznych, moralnych. Niejeden raz
w trakcie wyjaśniania sprawy zacierała
się granica pomiędzy ofiarą i sprawcą.
Trudno było oddzielić dobre od złego.

Po latach widać, że to właśnie wtedy
III RP straciła dziewictwo. Do tego mo-
mentu wydawało się, że polska demo-
kracja zmierza we właściwym kierunku.
Wszystko miało być funkcją czasu, kolej-
nych postępów w nabieraniu dojrzałości
i adaptacji standardów. Dopiero afe-
ra Rywina zrodziła podejrzenie, że coś
jest nie tak. Wtedy najczęściej oburzano
się na to, że polityka wiedzie podwójne
życie: w oczach zwyczajnych obywateli
udaje dostojną damę, a za kulisami staje
się zepsutą i przekupną ladacnicą. Cho-
ciaż ów kontrast być może nadmiernie
został wyostrzony z powodu nazbyt ide-
alistycznego podejścia. W oczach więk-
szości demokracja wciąż jeszcze była
konstruktywistyczną utopią i nie chcia-
no dostrzec, że każdy system ostatecz-
nie tworzą ludzie z ich ograniczeniami
i słabościami. Oburzenie przybrało więc
kolosalne rozmiary, kiedy te deficyty
zsumowały się w aferze Rywina.

A przecież rozmaite patologiczne zro-
sty, nieformalne znajomości, nawet ku-
powanie ustaw to przypadłość od czasu
do czasu nawiedzająca także kraje o bar-
dziej rozwiniętej kulturze politycznej.
Skądinąd ujawnienie skandalu z Rywi-
nem wywołało wtedy w europejskich

stolicach co najwyżej wzruszenie ramion
i nie wpłynęło na pozytywny wizerunek
Polski u progu jej akcesji z UE. W kraju
nastał jednak czas gorączkowych unie-
sień, moralnego wzmożenia, wielkiej
rewolty demokratycznych sumień. I jak
to z rewolucjami najczęściej bywa, rów-
nież tamta dosyć szybko wyrodziła się
we własne przeciwieństwo.

2 To było polityczne tsunami, które
w pierwszej kolejności uruchomiło
proces implozji postkomunistycznej
lewicy znajdującej się u szczytu potęgi.
Pewnie już nie rozstrzygniemy, czy Leszka
Millera bardziej zgnębiła wtedy nieuwaga,
zagadkowa beztroška żelaznego podob-
no kanclerza w reagowaniu na symptomy
kryzysu, nadmierne pobłażanie harcom
podwładnych, czy też – to mniej przychylna
interpretacja – nadmiar jego politycz-
nych ambicji. Bo używający w polityce
silnej ręki Miller chyba przecenił swoje
możliwości i chciał zbyt wiele: pełni wła-
dzy wykonawczej, osobistej kontroli nad
ustawodawcą oraz wpływania na czwartą
– medialną. Narobił sobie wrogów i to go
później zgubiło.

Po klęsce AWS z hukiem upadał podział
postkomunistyczny, który determinował
politykę w latach 90. Z zatopionego obo-
zu postsolidarnościowego ocalały tylko
szalupy ratunkowe PO i PiS, naprędce
sklecone na zmienionych aksjologiach
i w tamtej epoce, co najwyżej, dobrze się
zapowiadające. Wyzwaniem biorącego
władzę Millera było dokończenie pro-
cesu akcesyjnego z UE oraz wygranie
referendum. Wydawało się, że polska
polityka musi się teraz podzielić wedle
stosunku do Europy. Po jednej stronie
rezerwowano miejsce dla sił prozachod-
nych i demokratycznych. Z dominującą
rolą SLD, schowaną nieco w tle Platfor-
mą, a docelowo po niezbędnych korek-
tach być może również PiS. Prawdziwym
żywołem polityki stawał się bowiem so-
cjalny i antyeuropejski populizm Samo-
obrony, który trwożył elity z obu stron
historycznej barykady. Rysujący się po-
dział sceny na siły rozsądku i odpowie-
dzialności oraz wicherzycielstwa i dema-
gogii, w ówczesnych realiach, wydawał
się gwarantować obrońcom dotychczas-
owego kursu pakiet kontrolny.

Afera Rywina zburzyła ten scenariusz.
Ujawnienie patologii SLD-owskiego pań-
stwa pomogło liderom PO i PiS raz jeszcze
odnaleźć się w sprawdzonych antykomu-
nistycznych kostiumach. Tyle że konflikt
z poprzedniej dekady przeniósł się teraz
na zupełnie inne piętro. Już nie dotyczył
tylko przeszłości i nie chodziło wyłącz-
nie o rozliczenie historycznych prze-
win. Owszem, pravicowi tropiciele afery

triumfowali, gdyż – jak wtedy podkreśla-
no – potwierdzona została słuszność ich
o dekadę wcześniejszych diagnoz. O ile
jednak do tej pory przeważnie identyfiko-
wali się z III RP i chcieli ją ułożyć w zgodzie
z własnymi wartościami, o tyle po aferze
Rywina nagle uznali, iż zepsucie zaszło
zbyt daleko i nie ma już czego naprawiać.
Zbudowane po 1989 r. państwo stało się
w ich oczach synonimem postkomuni-
stycznego zła i dlatego też musiało zo-
stać odrzucone.

Najlepiej wyrażało ten nastrój słynne
zdanie liberalnego intelektualisty Pawła
Śpiewaka: „Trzecia Rzeczpospolita wy-
czerpała swoje możliwości, czas pomyśleć
o Czwartej”. Chociaż temat najdalej pocią-
gnęła w polityce formacja braci Kaczyń-
skich, która ideę IV RP uczyniła sztanda-
rem swoich pierwszych rządów. Platforma
również czerpała z tego samego rezerwu-
aru, tyle że mniej radykalnie. Konsekwen-
cje dla polskiej polityki okazały się jednak
donośne: od afery Rywina centralnym
punktem politycznego konfliktu zawsze
już będzie stosunek do III RP. To nieusta-
jąca wojna jej obrońców z rewizjonistami,
z kolejnymi starciami o najwyższą staw-
kę. Skład obu obozów bywa zmienny, ale
najważniejsza emocja mimo upływu lat
trwa w najlepszej. W tamtej epoce moż-
na się było jeszcze pocieszać, że wybuch
afery przynajmniej odebrał paliwo Leppe-
rowi. Dzisiaj to bez znaczenia, gdyż ple-
bejsko-socjalny bunt Samoobrony został
z czasem przejęty przez PiS.

3 Przy okazji afera Rywina przyczyni-
ła się do zmiany politycznej formy.
To dzięki niej otrzymaliśmy przyku-
wający emocje polityczny spektakl i doce-
niliśmy jego rozrywkowe walory. A sami
politycy dosyć szybko zorientowali się,
że bez dobrej opowieści czeka ich w nad-
chodzącej epoce los mamutów.

Rywin złożył wizytę Michnikowi w po-
niedzialek, 22 lipca 2002 r. Tamtego dnia
nie działo się w Polsce zbyt wiele. Telewi-
zje pokazywały przebitki z uroczystości
przekazania premierowi Millerowi przez
Barbarę Piasecką-Johnson XV-wiecznej
„Księgi praw miejskich Głupczyc”. Poza
tym Solidarność ogłaszała pogotowie
strajkowe w zbrojeniówce, Liga Republi-
kańska obaliła jakiś niesłuszny monu-
ment i poza tym same wakacyjne michałki.
O poważnej polityce w środku sezonu
ogórkowego nie było jeszcze mowy.

W tamtych czasach polityka żyła zupeł-
nie innym rytmem niż dziś. Jej centralnym
miejscem był Sejm, który jeszcze nie zdą-
żył stać się bezwolnym ramieniem władzy
wykonawczej. Toczyły się tam od czasu
do czasu ważne debaty, niekiedy potra-
fiła wciągać dramaturgia głosowań. ►

► Ale polityczna codzienność była letnia, by nie powiedzieć – nudnawa. Premierzy i ministrowie przeważnie zmagali się z materią rządu, kształtowanie wizerunków pozostawiając przypadkowi. Liderzy partyjni pokazywali się na sennych konferencjach prasowych, w trakcie których luźno komentowali bieżące sprawy i nie tkali z tego spójnego przekazu. Nie organizowano spektakularnych „konwencji”, tylko dosyć tradycyjne partyjne zjazdy z nieskrępowaną wewnętrzną dyskusją. Polityka przyspieszała jedynie w kampaniach wyborczych, które nie zlewały się jak dziś w hałaśliwą pulpę. Zresztą telewizje informacyjne dopiero startowały, a internet też był w powijakach.

Afera Rywina była jak granat, który rozwał stare ograniczenia. Posiedzenia komisji śledczej okazały się pierwszym tego rodzaju politycznym serialem, wręcz operą mydlaną. Z mnóstwem wątków

Miller poległ także dlatego, że zgodził się na komisję śledczą. Chociaż wcale nie musiał; miał dość siły, aby zablokować jej powstanie. Tyle że w tamtej epoce obowiązywał jeszcze dyktat przyzwoitości, który nie pozwalał politykom iść w zaparte. Istniała w miarę jednorodna opinia publiczna, która stawiała wszystkim siłom takie same wymagania. Po Millerze nikt już nie miał podobnych skrupułów. Premier Tusk wolał się jeszcze asekurować i w trudnych dla siebie sprawach dawał przyzwolenie na powstanie komisji, tyle że zakładał im polityczny kaganiec. Kaczyński używa tego narzędzia wyłącznie do atakowania opozycji.

Po drugie, zmieniło się podejście do afer we własnych szeregach. Afera Rywina zresztą była tylko preludium do upadku Millera. Ostatecznie pognebił go wysyp kolejnych korupcyjnych skandali. O rozbudzonych apetytach aparatu SLD

schronili się pod skrzydłami prezydenta Kwaśniewskiego, który coraz mocniej rywalizował z premierem o wpływ. Wywołało to swego rodzaju wojnę na górze, co jedynie przyspieszyło agonię całego obozu. Tuszkowi i Kaczyńskiemu z pewnością dało to do myślenia. Żaden z nich nie tolerował już w swoim partyjnych otoczeniu autonomicznych postaci, a na prezydentów wskazywali figury pozbawione wielkich ambicji i przynajmniej w chwili nominacji gwarantujące lojalność.

Po czwarte, zmieniła się relacja polityki i mediów. Adam Michnik był ostatnim medialnym baronem, który miał ambicję pisania politycznych scenariuszy, jednak afera Rywina naruszyła jego pozycję. Zresztą Millerowi i Kwaśniewskiemu zbyt bliskie relacje z Michnikiem również nie wyszły na dobre. Od tej pory partie trzymają media na znacznie większy dystans, przynajmniej te niezależne.



© EAST NEWS/IAN ZDZARSKIUR

i bohaterów, cykliczną powtarzalnością, bezpośrednim starciem osobowości. Cóż to był za spektakl, kiedy sardonicznie uśmiechnięty Rokita przesłuchiwał teatralnego w swoich uniesieniach Michnika... Albo gdy zniecierpliwiony natarczywością Ziobry premier Miller nazwał młodego polityka zerem. Na koniec każdy z głównych śledczych przedstawił swoją wersję afery i były to zupełnie różne opowieści. Skądinąd tropiciele prawdy nagle zrobił się cały tłum, bo impulsy poszły w dół i uruchomiły w internecie nieznaną dotąd w Polsce zjawisko aktywnej blogosfery. Polityka ze sprawy tak poważnej, że aż przytłaczającej, nagle stała się sztuką *storytellingu* dla mas.

4 Kolejne zmiany zaszły w obszarze technologii politycznej. Szczególnie Donald Tusk miał później uważnie analizować studium upadku Leszka Millera, aby ustrzec się jego błędów. Chociaż swoje nauki wyciągnął też z pewnością Jarosław Kaczyński. Czego się nauczyli?

Po pierwsze, nigdy nie dopuszczają opozycji do rozliczania władzy. W końcu

mówiło się jednak całkiem otwarcie jeszcze przed dojściem tej formacji do władzy. Miller był jednak zaskakująco pobłażliwy i przegapił moment, kiedy suma afer przekroczyła masę krytyczną. Chociaż osobiście nie był w nic zamieszany, w oczach opinii stał się niemalże ojcem chrzestnym mafijnego układu na szczytach władzy. Rządzący później Tusk odciął niemal wszystkie wrażliwe styki polityki z gospodarką, a partyjnych towarzyszy umocznionych w podejrzane sprawy natychmiast usuwał. Z kolei Kaczyński poszedł drogą etatyzacji państwa, co w pewnym sensie pozwoliło zalegalizować politykę partyjnych łupów.

Po trzecie, afera Rywina przyspieszyła proces ujednolicania obozów politycznych i betonowania przywództwa. Bo deficyt odporności Millera wziął się również z tego, że w chwili próby zbuntowało się jego zaplecze. Chociaż premier od dawna próbował ściągać partyjne cugle, nie zdołał usunąć dualizmu przywództwa na postkomunistycznej lewicy. Po wybuchu afery niezadowoleni z centralistycznych ambicji Millera notable SLD

5 Ale jest taka sfera, w której afera Rywina wcale nie okazała się *game-changerem*. Chociaż 20 lat temu wydawało się to dosyć oczywiste. Otóż nie doprowadziła do przełomu moralnego. W kampanii wyborczej 2005 r. dominowały tony sanacyjne, ale ostatecznie skończyło się najniższą frekwencją w dziejach III RP. Do dziś zresztą niepobita. Polakom najwyraźniej przypadła do gustu poetyka spektaklu, ale rewolucja ustrojowa już niekoniecznie. A może po prostu nie uwierzyli w intencje rewolucjonistów, którzy po wyeliminowaniu SLD sami skoczyli sobie do gardeł. Pierwsze rządy PiS nie miały społeczniego zakorzenienia, a zakończył je Donald Tusk obietnicą powrotu do normalności.

Jarosław Kaczyński wyciągnie z tego po latach wnioski i postawi na inny model budowania więzi z wyborcami, o wiele bardziej prozaiczny. W latach 2005–07 stało się bowiem oczywiste, że Polacy wcale nie chcą u władzy moralistów, a po 2015 r. dodatkowo się jeszcze okazało, że nie przeszkadzają im rządy amoralne. Dzisiaj afera Rywina nie miałaby już szansy zaistnieć, bo niemal wszystko to, co wtedy oburzało, dziś jest w pełni akceptowanym elementem polityki. Pisanie ustaw pod interes polityczny, budowanie swoich mediów i powstrzymywanie niezależnych, przyzwolenie na pładrowanie państwa, tolerancja dla nieformalnych układów za kulisami władzy. Nawet sam Rywin nie miałby tutaj czego szukać, gdyż współczesna grupa trzymająca władzę już nie potrzebuje pośredników. Afera Rywina nie poprawiła więc demokratycznych standardów, ale na stałe obniżyła.

RAFAŁ KALUKIN

Zabójczy upał

BARBARA MILNE

Torakochirurg ze specjalistycznego szpitala na południu Polski: – Podczas ostatniej fali upałów, kiedy temperatury sięgały 36 st. C w cieniu, po każdym wyjściu z sali operacyjnej zastanawiałem się, czy moja praca ma sens? Na bloku jest klimatyzacja, ale pacjent po ciężkim zabiegu trafia na oddział, gdzie jest duszno i gorąco. Na salach chorych klimatyzacji nie ma, ►



Najwyższy, trzeci stopień zagrożenia w związku z upałami, ostrzeżenia przed temperaturami powyżej 35 st. C, które mogą być niebezpieczne dla życia, powoli stają się normą polskiego lata. Klimatyzacja przestaje być luksusem. Staje się koniecznością.

ILUSTRACJA ADELA PODGÓRSKA

► *bo szpital jest w starych, zabytkowych budynkach. Jak w takich warunkach ma się goić jego rana? Jak ma oddychać?*

Lekarka z Warszawy: – *W jednym ze szpitali na sali do cięć cesarskich zepsuła się ostatnio klimatyzacja. I nie jest to żaden powód do wstrzymania zabiegów. Kiedy więc uderzyły upały, a na sali było chyba z ponad 50 st., to operator zawinął sobie ręcznik na głowie, żeby mu pot nie kapała do brzucha pacjentki, a instrumentariuszka miała kolejnych kilka w pogotowiu...*

Podczas tego cięcia cesarskiego (dziecko urodziło się zdrowe), zespół operacyjny pracował przy otwartym oknie. W pewnym momencie ktoś chyba z nerwów, żeby rozładować napięcie, rzucił: – *A co będzie, jak teraz wleci mucha?*

Chore temperatury

Prof. Jan Kazak z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu i prof. Joost van Hoof z Uniwersytetu w Hadze wspólnie badają między innymi komfort termiczny osób starszych. – *Oczywiście wiąże się to ze zmianami klimatycznymi, które w ostatnim dziesięcioleciu gwałtownie przyspieszyły, co wyraźnie widać w naszej części Europy. Bardzo wysokie temperatury latem, sięgające w miastach do 38 st., co w słońcu oznacza nawet powyżej 50 st., bardzo silnie oddziałują zarówno na otoczenie, w którym przebywamy, jak i na nas samych* – mówi prof. Jan Kazak. I przypomina, że jeszcze nie tak dawno wiadomości ze Stanów Zjednoczonych o apelach, by w czasie fali upałów starsi mieszkańcy domów bez klimatyzacji szukali schronienia w centrach handlowych, wydawały się odległą abstrakcją.

– *Dzisiaj już widzimy, że nie jest to ani odległa, ani abstrakcja. Dla starszej osoby chorującej na typowe schorzenia związane z wiekiem, a więc przede wszystkim układu krążenia, mieszkającej w słabo izolowanym termicznie budynku, w dodatku na przykład pod samym dachem, upały mogą być śmiertelnym zagrożeniem. Dodatkowo problem ubóstwa energetycznego w dużym stopniu dotyka osoby starsze, dla których zainstalowanie i użytkowanie klimatyzacji może być kosztem nie do udźwignięcia* – tłumaczy prof. Kazak, podkreślając, że procesy, z jakimi będziemy się mierzyć w przyszłości, są ze sobą ściśle powiązane. Bo zmianom klimatycznym towarzyszy starzenie się społeczeństwa, co sprawia, że pojęcie komfortu termicznego nie jest zagadnieniem popularnym tylko wśród badaczy, ale coraz częściej zauważane jest w ocenach jakości i długości życia.

Maria Kłosińska, rezydentka pediatrii i lekarka z Naczelnej Izby Lekarskiej, przyznaje, że latem, kiedy pojawia się

termin „komfort termiczny”, oznacza on po prostu klimatyzację. Dyrektor Dolnośląskiego Centrum Onkologicznego Adam Maciejczyk nie kryje, że jeszcze 10–15 lat temu ekstremalne temperatury kojarzyły nam się z południem Europy i Afryką, dzisiaj jednak stają się naszą codziennością i trzeba na nie reagować. Dlatego nowy szpital onkologiczny, który ma powstać we Wrocławiu, jest projektowany tak, by chronić pacjentów i personel medyczny latem przed upałami, a zimą przed mrozem.

Prof. Jarosław Fedorowski, prezes Polskiej Federacji Szpitali przypomina, że w Polsce tylko 15 proc. powierzchni szpitalnych jest klimatyzowanych, a komfort termiczny ma znaczenie dla procesu leczenia, dokładniej – dla podniesienia jego efektywności. A prof. Anna Bogdan z Zakładu Klimatyzacji i Ogrzewnictwa Politechniki Warszawskiej precyzuje, że nie ma na świecie badań, które pozwoliłyby ocenić korelację pomiędzy temperaturą na salach chorych a czasem leczenia pacjenta, ale ze swoim doktorantem badała środowisko cieplne w szpitalach, w których nie ma klimatyzacji, a i ogrzewanie jest sprzed wielu lat.

Rozgrzany jak piec

Z tych badań wynika, że zimą i latem pacjenci są przegrzewani w standardowych salach chorych; na pooperacyjnych i OIOM musi być klimatyzacja. Nie ma metod regulacji środowiska cieplnego, więc zimą osoby leżące obok okna narzekają, że jest im zbyt ciepło lub zbyt zimno, bo jedyną regulacją jest wietrzenie. Z kolei osoby z dala od okna narzekają, że jest im zbyt gorąco, bo chłodne powietrze do nich nie dochodzi.

– *Latem jest podobnie. Chłodzenie polega wyłącznie na otwarciu okna i zrobieniu przeciągu. W salach jest zbyt ciepło, nie ma też prawidłowej wentylacji, która odpowiada za jakość powietrza, w tym transport zanieczyszczeń między pacjentami* – tłumaczy prof. Anna Bogdan i przyznaje, że rzeczywiście można przypuszczać, że dyskomfort cieplny w szpitalnych salach może wpływać na rekonwalescencję, szczególnie w przypadku pacjentów kardiologicznych, ale w jakim stopniu to się dzieje i jakie są tego konsekwencje, nie jesteśmy jeszcze w stanie ocenić.

Podstawowym aktem prawnym, który zawiera wymagania w stosunku do obiektów szpitalnych, jest Rozporządzenie Ministra Zdrowia w sprawie szczególnych wymagań, jakie powinny spełniać pomieszczenia i urządzenia podmiotu wykonującego działalność leczniczą z 2019 r. Zawarte w nim zapisy dotyczące wentylacji i klimatyzacji są jednak bardzo ogólne i głównie wskazują na obszar bloku

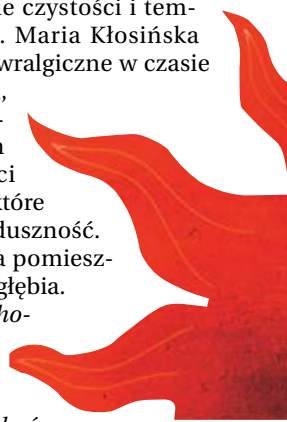
operacyjnego jako strefy najbardziej wymagającej w zakresie czystości i temperatury powietrza. Maria Kłosińska wylicza oddziały newralgiczne w czasie upałów: kardiologia, pulmonologia, pediatria. Na tych dwóch pierwszych pacjentów z racji schorzeń, na które cierpią, odczuwają duszność. Wysoka temperatura pomieszczenia to uczucie pogłębia.

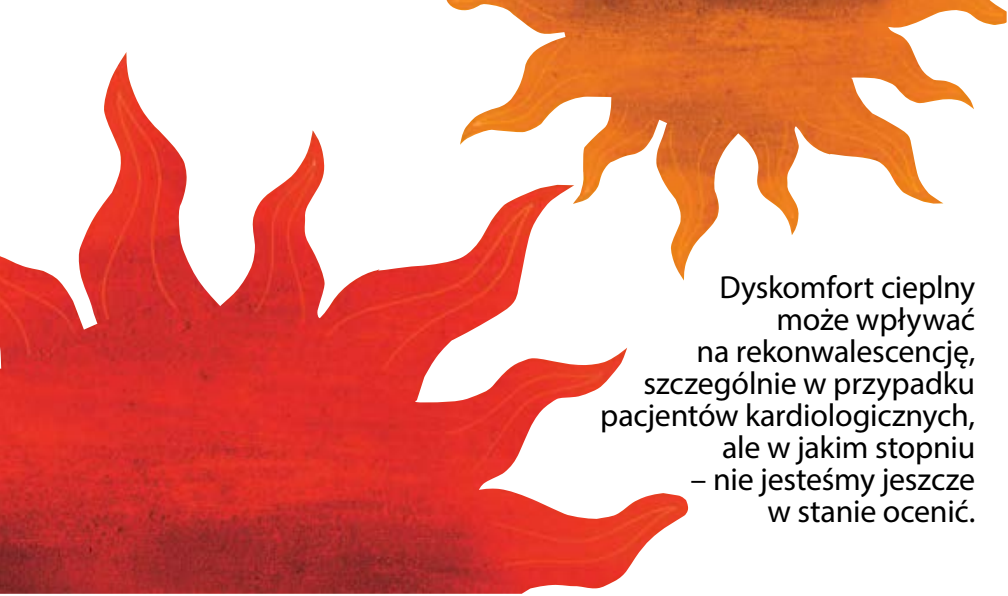
– *Na pediatrii dochodzą inne problemy. Dzieci bardzo szybko się odwadniają. Powodem może być gorączka, wymioty, biegunka. Lekarze przeliczają więc, ile powinny dostawać płynów, by wyrównać powstające niedobory elektrolitów. Wysoka temperatura otoczenia podnosi zagrożenie odwodnieniem* – tłumaczy pediatra i dodaje, że upały wpływają też na zachowanie, i to nie tylko dzieci. Te bowiem na oddziałach przebywają już najczęściej ze swoimi opiekunami. W pięciosobowej sali jest więc piątka maluchów, pięcioro dorosłych osób plus personel. I rosnąca temperatura otoczenia.

– *W efekcie wszyscy są rozdrażnieni, dzieci płaczą, dorośli stają się nerwowi, nierzadko bywa, że i agresywni. Upał wpływa też na nasze zachowania i trudno to ignorować* – przyznaje Maria Kłosińska.

Dyrektor Departamentu Spraw Społecznych Urzędu Miejskiego Wrocławia Bartłomiej Świerczewski nie kryje, że jeżeli upały są nie do zniesienia w szpitalach, to co mówić o DPS? – *Nasi podopieczni to starsi ludzie, z różnymi dysfunkcjami, chorobami, bywa, że leżący. Mamy budynki, gdzie jest klimatyzacja, ale są też takie, gdzie jej zainstalowanie wymaga remontu i przebudowy kilku obiektów, a to, jak wiadomo, są olbrzymie koszty. Ratujemy się więc w ten sposób, że kupujemy przenośne urządzenia* – mówi Świerczewski i nie kryje, że jeszcze nie tak dawno temu klimatyzację właściwie uważano za fanaberię. Wystarczyły otwarte okna.

– *Dzisiaj w tempie przyspieszonym musimy się dostosować do zmieniających się warunków, bo jeśli pediatra mówi o tym, że wysokie temperatury stanowią zagrożenie dla życia dzieci, to tak samo zagrożone są osoby starsze* – podkreśla dyrektor z wrocławskiego urzędu. Rzeczniczka tutejszego Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego Anna Poznańska dodaje, że u nich oprócz siedmiu central klimatyzacyjnych obejmujących wybrane pomieszczenia, działa 130 tzw. splitów schładzających, a sale chorych, których okna wychodzą





**Dyskomfort cieplny
może wpływać
na rekonwalescencję,
szczególnie w przypadku
pacjentów kardiologicznych,
ale w jakim stopniu
– nie jesteśmy jeszcze
w stanie ocenić.**

na południe i południowy-zachód, chroni się przed słońcem specjalnymi ekranami przysłaniająco-odbijającymi.

– *Gdybyśmy chcieli założyć klimatyzację wszędzie, a więc również we wszystkich salach, gdzie leżą pacjenci, to trzeba by przede wszystkim zmienić sieć energetyczną, bo obecnie nie byłaby w stanie udźwignąć poboru takiej mocy* – Anna Poznańska przyznaje, że to kolejny problem związany z upałami.

W styczniu tego roku, kiedy rekordowe temperatury panowały w Ameryce Południowej – w Argentynie osiągające nawet 50 st. C – w Buenos Aires doszło do wielkiej awarii systemu energetycznego w jedenastu dzielnicach metropolii. 700 tys. mieszkańców miasta było bez prądu. Powodem było przeciążenie sieci podłączoną klimatyzacją.

Przenośne klimatyzatory można kupić w cenie już od 899 zł, ale nr 1 w rankingu oczyszczaczy powietrza 2022, który chłodzi, ogrzewa, osusza lub wentyluje powietrze, a dodatkowo w każdym z tych trybów oczyszcza je, kosztuje już między 2300 a 2800 zł. Najdroższy jest klimatyzator typu multisplit, pozwalający na chłodzenie kilku pomieszczeń jednocześnie, kosztuje minimum 4000 zł. Wynajęcie profesjonalnej firmy montującej klimatyzatory ściennie to dodatkowo koszt co najmniej 1500 zł.

Zimno i gorąco

W Gdańsku wszystkie autobusy miejskie są klimatyzowane, tramwaje – 72 proc. We Wrocławiu to blisko 80 proc. autobusów i 64,5 tramwajów. W Warszawie, tak jak w innych miastach, w klimatyzowanych autobusach, tramwajach i pociągach SKM system chłodzący jest automatycznie uruchamiany w momencie, gdy temperatura wewnątrz pojazdu przekroczy 25 st. W pociągach Metra Warszawskiego klimatyzacji nie ma. W urzędach miejskich nie kryją, że w przetargach ogłaszanych na zakup nowego taboru dla

tzw. zbiorokomu system chłodzenia w pojazdach to dzisiaj standard.

Kierowca autobusu z poznańskiego MPK przyznaje: – *Problemem jest nie tyle klimatyzacja lub jej brak, ale jej standard. Ja w czasie upałów nie wsiadam do tramwajów, bo jest w nich za zimno. Zrozgrzanego przystanku wchodzi się do lodówki, a potem wysiada się na patelnię. I kończy się wizytą u lekarza...*

Jak tłumaczy kierowca miejskiego autobusu, oczywiście klimatyzacja włącza się automatycznie. Ale on na postoju musi mieć wyłączony silnik. Więc chłodzenie zaczyna się dopiero wtedy, kiedy rusza z pętli i trochę czasu minie, zanim dojdzie do maksimum.

– *A tramwaj ciągnie prąd właściwie non stop. Poza tym tam klimatyzacja ustawiona jest w taki sposób, że kiedy na zewnątrz temperatura rośnie i przekracza te 30–33 st., to ona jak szalona wypuszcza zimne powietrze, bo schłodzić wnętrze tramwaju. I w efekcie zamraża ludzi w środku. Stąd potem narzekania pasażerów na różnice temperatur, przeziębienia, katary, anginy* – mówi kierowca autobusu.

– *Klimatyzacja lub jej brak to nie jest tylko problem w szpitalach czy komunikacji miejskiej. Dotyczy też budynków użyteczności publicznej, urzędów, sklepów, biur, bo wszyscy w tych miejscach pracujemy, załatwiamy swoje sprawy* – przyznaje urzędniczka z Bydgoszczy i tłumaczy, że niedawno w powodu upałów przesunięto u niej godzinny pracy. Urząd mieści się w dwóch sąsiadujących ze sobą budynkach. Nowy, wybudowany jakieś 10 lat temu, klimatyzację ma. Stary, przedwojenny, już nie. W części pomieszczeń są ustawione klimatyzatory. – *Ale część pokojów wychodzi na południe, w dodatku na wiadukt kolejowy. Jest tak gorąco, że nie da się myśleć* – mówi urzędniczka, od razu podkreślając, że sale obsługi mieszkańców są klimatyzowane. Bo nawet nie chce sobie wyobrazić, co by było, gdyby w te upały kłębiły się tam tłumy ludzi...

Architekt Agnieszka Mazerant-Dybizbańska pracująca w zespole projektującym nowy szpital onkologiczny we Wrocławiu zauważa, że standard pracy jest tym wyższy, im nowszy budynek. I ta zasada dotyczy nie tylko placówek medycznych. Na ten standard np. w przypadku szpitala składają się obok klimatyzacji odpowiednie rolety, stolarka okienna, system oczyszczania powietrza i redukcji nasłonecznienia pomieszczeń, a różnica pomiędzy temperaturą zewnętrzną a tą w budynku powinna wynosić 8 st. – to pozwala uniknąć szoku termicznego.

– *Mamy falę upałów, więc skupiamy się na komforcie termicznym i klimatyzacji, ale powinniśmy zdać sobie sprawę z jeszcze jednego wyzwania, a więc z czystości powietrza w pomieszczeniach, w których przebywamy* – mówi Rafał Torczyński z firmy produkującej specjalistyczne urządzenia do dekontaminacji i oczyszczania powietrza, które filtrują je cztery razy na godzinę, pozbawiając je bakterii, pyłów, wirusów, w tym SARS-CoV-2. Urządzenie zasysa od góry zanieczyszczone powietrze, a czyste wypuszcza dołem. Jak podkreśla Torczyński, większość budynków w Polsce korzysta z wentylacji grawitacyjnej, a polskie prawo nie ocenia np. jednostek użyteczności publicznej pod kątem standardu wentylacji mechanicznej.

– *Klimatyzacja zaś nie tylko nie chroni nas przed różnymi patogenami, ale też i nie zabezpiecza przed pyłami, które popularnie nazywamy smogiem. A wiemy dzisiaj, że te pyły mają działanie kancerogenne. Powiedziałbym więc, że paradoksalnie dzisiaj nie mamy problemów z chłodnym powietrzem np. w szpitalu, bo to jest kwestia finansowa i wydolności sieci energetycznej. Mamy problem z jakością tego powietrza i jego bezpieczeństwem* – mówi Torczyński.

Ciepło, coraz cieplej

W ostrzeżeniach trzeciego stopnia za groźne uznaje się wartości 34 i 35 st. C. To jednak temperatura mierzona w cieniu na wysokości dwóch metrów, a w miejscu nasłonecznionym jest ona znacznie wyższa. W latach 1961–70 średnia roczna temperatura w Polsce wynosiła 7,2 st. C, a upalnych dni w roku było średnio ok. 5. W latach 2011–2020 średnia temperatura wyniosła już 9,1 stopnia, a upalnych dni każdego lata jest trzykrotnie więcej – średnio ok. 15. Podczas ekstremalnie gorącego lata w 2003 r. – najcieplejszego od 1540 r. – w Europie zmarło, według różnych źródeł, od 50 do 70 tys. osób więcej niż zazwyczaj. Klimatyzacja z luksusu zmienia się w konieczność.

BARBARA MILNE

Baronkowie i opiekunowie

Prezes Kaczyński wraca do starej zasady: wywołać konflikty i patrzeć, co z nich wyniknie. Cel jest jeden: obudzić PiS, bo według niego partia jest w zapaści.

WOJCIECH SZACKI



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

Jarosław Kaczyński odszedł z rządu, bo uznał, że jedną z największych przeszkód na drodze do trzeciej kadencji jest stan partii. W maju na wyjazdowym posiedzeniu klubu na Nowogrodzkiej ocenił nawet, że „PiS jest w zapaści” i można domniemywać, że ta diagnoza była jednym z argumentów przeciwko przyspieszonym wyborom.

– *W wielu regionach struktury PiS praktycznie przestały działać. Kombinacja epidemii i rozleniwienia po latach u władzy okazała się zabójcza dla aktywności partyjnej* – mówi polityk jednego z ugrupowań tworzących aktualnie Zjednoczoną Prawicę.

Kolejny problem to zamknięcie się partii na nowych ludzi. Poseł PiS: – *Powstały lokalne kliki, które obstawiły wszystkie możliwe do obstawienia funkcje i pilnują, żeby nikt nie naruszył ich interesów. Znam miasto powiatowe, w którym jest ze 40 członków PiS i wszystkim żyje się bardzo wygodnie. Ten jest posem, ci radnymi, ów działa w miejskich wodociągach, tamci pracują w takim czy innym urzędzie. Świetnie się zresztą dogadują z miejscową Platformą i Lewicą. Nikt nikogo nie krzywdzi, a wszyscy pilnują, by nie pojawił się nikt świeży. Na pracę w terenie i zdobywanie wyborców nie ma ani czasu, ani specjalnej ochoty.*

Remont generalny

Dlatego prezes zdecydował, że PiS przejdzie w tym roku – ostatnim przed serią trzech kampanii w latach 2023–24 – remont generalny, a on sam porzuci fotel wicepremiera i na własne oczy zobaczy, jak wygląda sytuacja partii w okręgach. Stąd cała seria weekendowych wizyt: Toruń, Włocławek, Grudziądz, Inowrocław, Bielsk Podlaski, Białystok, Ostrowiec Świętokrzyski, Kielce. Kaczyński spotykał się tam z miejscowymi działaczami i zwolennikami oraz karmił słuchaczy prymitywnymi żartami z osób transpłciowych. Ataki na tę mniejszość – całkowicie słusznie – przebiły się do opinii publicznej, ale z punktu widzenia Kaczyńskiego ten *tour* po Polsce jest przede wszystkim przeglądem własnych wojsk.

– *On to zresztą uwielbia, całe to jeżdżenie po powiatach, spotkania z działaczami, badanie układu sił w terenie, promowanie jednych i strącanie w niebyt drugich. Żaden inny partyjny lider po 1989 r. nie poświęcił temu tyle czasu i uwagi co Kaczyński* – twierdzi rozmówca POLITYKI, który zna prezesa od dziesięcioleci.

– *Partia musi być zdyscyplinowana i sprawna. Teren dowiaduje się o wizycie prezesa z zaledwie parodniowym wyprzedzeniem. Trzeba przez ten czas wynająć salę, poinformować wyborców, zadbać o frekwencję i godne przyjęcie. Jednym wychodzi to lepiej, innym gorzej. A Nowogrodzka patrzy i zapamiętuje* – mówi poseł PiS. Letni objazd kraju przez Kaczyńskiego – prezes ma zamiar odwiedzić wszystkie okręgi – to przymiarka do kampanii wyborczej. Można się domyślać, że jakaś większa wpadka miejscowego aktywu zaszkodzi danemu pełnomocnikowi na tyle, że nie zostanie pełnoprawnym prezesem okręgowym. Te quasi-wybory są wciąż przed PiS. Nowych prezesów wyznaczy Kaczyński, a miejscowi działacze mogą ewentualnie jego faworyta odrzucić, ale nie jest to praktyka w PiS rozpowszechniona.

Od czasów SLD utarło się nazywać lokalnych szefów partii baronami z uwagi na ich wpływy na podległym terenie. W scentralizowanym do granic możliwości PiS władza okręgowych prezesów była skromniejsza, a poza tym było ich dołąd aż 41 – tyle, ile jest okręgów w wyborach do Sejmu. Wciąż jednak były to ważne figury, nierzadko z racji na ich pozycję na Nowogrodzkiej; byli wśród nich ministrowie i wiceministrowie (Mariusz Kamiński, Jacek Sasin, Michał Dworczyk, Andrzej Adamczyk czy Paweł Szefernaker), a także inni prominenci PiS, jak marszałek Sejmu Elżbieta Witek, wiceprezes partii Antoni Macierewicz i wieloletni poseł Marek Suski.

Zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, gdzie PiS cieszy się znacznym poparciem, okręgowy lider (liderek było znacznie mniej) miał dużo do powiedzenia. Mógł załatwić pracę, wciągnąć kogoś na listę wyborczą do rady powiatu czy nawet sejmiku, współdecydował o listach do Sejmu, miał wpływ na to, dokąd popłyną rządowe fundusze. W ten sposób budował wpływy w partii, bo ludzie, którzy zawdzięczali mu stanowiska i karierę, odpłacali się wsparciem w czasie kampanii parlamentarnej.

Kaczyński postanowił ten układ sił w partii zmienić. Władze PiS zdecydowały, że zamiast 41 partyjnych okręgów, będzie ich aż 94, mniej więcej tyle, ile jest okręgów w wyborach do Senatu (zwykle to obszar obejmujący kilka powiatów). A funkcji w lokalnych strukturach nie można już łączyć z rządowymi. Co to oznacza? Osłabienie lokalnych struktur w stosunku do Nowogrodzkiej (nasz rozmówca kpi, że zamiast baronów będą teraz baronkowie) oraz liczne zmiany personalne na poziomie lokalnym. W samej partii zaś doszło do czegoś na kształt kampanii wyborczej, bo między ogłoszeniem zamiarów Kaczyńskiego a nominacjami dla nowych pełnomocników minęło parę tygodni, w czasie których toczył się bój o dostęp do Kaczyńskiego i o to, kto weźmie władzę w nowych okręgach. Te spory były na tyle ostre, że dwukrotnie przekładano posiedzenie komitetu politycznego, który miał przyklepać decyzje personalne. Ostatecznie nominacje zostały ogłoszone 28 czerwca.

Nowa mapa PiS

Większość nowych pełnomocników to parlamentarzyści (55 posłów i siedmiu senatorów). Do tego 20 samorządowców, pięcioro wojewodów i siedmioro działaczy. Mężczyzn jest dużo więcej niż kobiet (78:16). Trudna do obrony byłaby teza o odmłodzeniu partii, bo średnia wieku nominatów przekracza 54 lata (najmłodszy – szef olsztyńskiej młodzieżówki i pełnomocnik w Elku Mateusz Szkaradziński ma 28 lat, najstarszy Macierewicz kierujący partią w Piotrkowie Trybunalskim – 74).

Są w tym gronie wieloletni parlamentarzyści okopani w swoich okręgach, jak Leonard Krasulski (Elbląg), Iwona Arent (Olsztyn), Suski (Radom), były marszałek Senatu Stanisław Karczewski (Kozienice), przewodniczący sejmowej komisji sprawiedliwości Marek Ast (Zielona Góra), były minister transportu Jerzy Polaczek (Ruda Śląska) czy Bolesław Piecha (Rybnik).

Ale pojawiły się i nowe twarze. Na Dolnym Śląsku w odwrotcie są ludzie byłego wiceprezesa PiS Adama Lipińskiego i szefa Kancelarii Premiera Michała Dworczyka, zyskali natomiast bliscy Elżbiecie Witek i europosłance Annie Zalewskiej. We Wrocławiu pełnomocniczką została posłanka Agnieszka Sojn (a nie Mirosława Stachowiak-Różecka), w Oleśnicy – poseł Paweł Hreniak.

W niemal całej Małopolsce Kaczyński postawił na ludzi byłej premier Beaty Szydło, przegrany jest tu szef klubu Ryszard Terlecki (który zresztą rozważa ponoć wyborczą przeprowadzkę z Krakowa do Tarnowa, bo obawia się o reelekcję). Kojarzony z nim wojewoda Łukasz Kmita dostał wprawdzie Kraków, ale nasi rozmówcy z PiS zgodnie twierdzą, że to okręg bardzo trudny, w którym łatwiej będzie przegrać, niż się wybić. Pozostałe okręgi wzięli politycy bliscy Szydło: posłanka Anna Pieczarka (Tarnów), Józefa Szczurek-Żelazko (Bochnia), Anna Paluch (Nowy Targ), wójt Spytkowic Mariusz Krystian (Oświęcim), wicemarszałek małopolski Łukasz Smółka (Olkusz), senator Wiktor Durlak (Nowy Sącz).

Z kolei na Pomorzu do łask wrócił były poseł Andrzej Jaworski, związany ze środowiskiem Radia Maryja. Został pełnomocnikiem w Gdyni. W Gdańsku natomiast partia postawiła nie na miejscowego posła Kacpra Płażyńskiego (choć miał świetny wynik wyborczy w 2019 r. – prawie 90 tys. głosów), lecz na przedstawiciela radykalnego skrzydła PiS Tomasza Rakowskiego, który w 2019 r. zdobył zaledwie 990 głosów. Rakowski był rzecznikiem ►

► Muzeum II Wojny Światowej, autorem portalu wPolityce.pl, gdzie przedstawiał się jako „katolik, konserwatysta, homosepetyk”. W swoich publikacjach tropił promocję homoseksualizmu w kulturze masowej; ubolewał m.in., że „zniewieściły i umalowany Johnny Deep” w „Piratach z Karaibów” niszczył „odwieczny archetyp typowo męskiego pirata”. Rakowski walczy też z prezydent Gdańska Aleksandrą Dulkiewicz, którą na jednej z sesji rady miasta oskarżył o „płaszczanie się przed Niemcami”. „Stanowi pani zagrożenie, bo jest pani posłusznym narzędziem w wojnie wymierzonej w chrześcijaństwo, w rodzinę i w stabilność państwa polskiego” – mówił Rakowski.

Niektóre nominacje są w pewnym stopniu zastępcze. Sasin – jako wicepremier – nie mógł sam zostać pełnomocnikiem, ale władzę w okręgu chełmskim wzięli byli szef jego gabinetu politycznego Ryszard Madziar, który będzie tam dbał o interesy i dobrostan ministra aktywów państwowych.

Pewna część nazwisk nowych pełnomocników niewiele mówi nawet politykom PiS, ale nasi rozmówcy podkreślają, że to się z czasem zmieni, bo nominacja od Kaczyńskiego może być pierwszym krokiem na drodze do kariery sejmowej. – *Warto zwrócić uwagę na Szkaradzińskiego w Elku, Rakowskiego w Gdańsku, Krystiana w Oświęcimiu, miejskiego radnego Piotra Bresia w Lublinie czy starostę przasnyskiego Krzysztofa Bienkowskiego w Ciechanowie* – mówi POLITYCE ważny polityk z Nowogrodzkiej.

Inne ciekawe nazwisko to starosta wołomiński Adam Lubiak, który został pełnomocnikiem w Legionowie. Jego żona Katarzyna Lubiak jest radną mazowiecką – a także jedną z najbardziej zaufanych współpracowniczek lidera PiS. Razem z Barbarą Skrzypek („panią Basią”) wiele lat pracowała w biurze poselskim prezesa, a ostatnio kierowała biurem wicepremiera ds. bezpieczeństwa, gdy funkcję tę pełnił Kaczyński.

Powrót Szydło

Nietrudno zauważyć, że powstała w wyniku reformy partii struktura zwiększa dystans między Nowogrodzką a większością „baronków”, którzy nie mają mocnej pozycji w polityce krajowej. Kierownictwo PiS wprowadziło więc szczebel pośredni – instytucję tzw. opiekunów wojewódzkich, którzy mają nadzorować struktury w całym regionie, rozstrzygać spory między pełnomocnikami i przekazywać wieści z terenu do centrali (Nowogrodzka zadbała zresztą o jeszcze jeden kanał komunikacyjny – na początku roku powołała 16 sekretarzy wojewódzkich, którzy odpowiadają przed sekretarzem generalnym PiS Krzysztofem Sobolewskim). Dopiero nałożenie na siebie obu map – pełnomocników i „opiekunów” – pokazuje aktualny układ sił w partii.

Z emigracji wewnętrznej na dobre wróciła Szydło. Jej ludzie obsadzili większość Małopolski, a sama została „opiekunką” całego województwa. – *Beata wycofała się na jakiś czas z aktywności partyjnej i medialnej. Obawiała się komentarzy o swoim życiu rodzinnym, przeżywała też odsunięcie na boczny tor po nadejściu Mateusza Morawieckiego. Ale teraz znów się mocno zaangażowała* – opowiada polityk koalicji. Była premier spotyka się z wyborcami, udziela wywiadów i pokazała siłę w partii. Poza Małopolską jej wpływy rozciągają się na woj. świętokrzyskie (jego „opiekunem” został bliski jej minister infrastruktury Andrzej Adamczyk), a dobre relacje ma też z „opiekunką” Dolnego Śląska marszałek Witek oraz wicepremierem Henrykiem Kowalczykiem (Wielkopolska) i wicemarszałkiem Senatu Markiem Pekiem (woj. lubuskie).

Jeden z naszych rozmówców spekuluje nawet, że Szydło szykuje się do powrotu do Sejmu, by wzmocnić listę PiS w 2023 r. – *To mało prawdopodobne. Europarlament to nie jest złe miejsce, a powrót, żeby zostać szeregową posłanką i pomóc Morawieckiemu, to umiarkowanie pociągająca perspektywa* – ocenia jednak polityk PiS bliski byłej premier.

Mocno trzyma się stara pisowska gwardia. Europosł i wiceprezes partii Joachim Brudziński został „opiekunem” Pomorza Zachodniego (a jego ludzie obsadzili funkcje pełnomocników), były marszałek Sejmu Marek Kuchciński wzięł Podkarpacie, Suski – województwo lubelskie, a Sasin – Podlasie. Wicepremier i wiceprezes PiS Mariusz Błaszczak będzie nadzorował partię w woj. warmińsko-mazurskim, a kolejny wicepremier – Piotr Gliński – na Mazowszu. Parę nazwisk było jednak małym zaskoczeniem. W ostatnich miesiącach w górę poszły akcje Zbigniewa Hoffmanna. To poznański działacz Porozumienia Centrum, potem PiS, który za pierwszych rządów PiS był wicewojewodą wielkopolskim i wojewodą kujawsko-pomorskim, a potem pracował

w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Dwukrotnie bez sukcesu kandydował z Poznania do Sejmu (w 2011 i 2015 r.), jako parlamentarzysta zadebiutował dopiero w 2019 r., gdy Kaczyński oddał mu „jedynekę” w okręgu konińskim. A gdy prezes wszedł do rządu, Hoffmann został wiceszefem Kancelarii Premiera i sekretarzem komitetu ds. bezpieczeństwa. W czerwcu awansował podwójnie: w rządzie na ministra konstytucyjnego, a w partii na „opiekuna” woj. kujawsko-pomorskiego.

Prezes widzi podobno w Hoffmannie nową wersję Przemysława Gosiewskiego (którego wysoko cenił za pracowitość i ogarnianie całej rządowej papierologii), a prze-

ciwnicy Morawieckiego – kandydata na szefa Kancelarii. Ewidentnie słabnie bowiem Dworczyk podtapiany przez publikację kolejnych maili (z korespondencji ujawnionej na początku lipca wynika, że ustalał z Julią Przyłębską terminy rozpraw Trybunału Konstytucyjnego). Swoje województwa dostali też była rzeczniczka PiS Anita Czerwińska (także wiceminister ds. rodziny), która będzie się opiekowała trudnym dla partii Pomorzem, oraz minister edukacji Przemysław Czarnek, któremu przydzielono region opolski – ciekawe, jak ułożą się tam jego relacje z wywodzącym się z Opola europosełem Solidarnej Polski Patrykiem Jakim.

Problemy premiera

Wśród tych wszystkich nazwisk – pełnomocników i „opiekunów” – niewiele osób jest z kręgu Morawieckiego. Sam premier został „opiekunem” Śląska (jest posem z okręgu katowickiego), ale to będzie w nadchodzącej kampanii region bardzo trudny ze względu na kwestię polityki energetycznej i kłopoty z węglem. Dworczyk stracił wpływy na Dolnym Śląsku. Ludzie premiera – często wiceministrowie lub ministrowie, jak Grzegorz Puda czy Waldemar Buda – nie mogli zostać pełnomocnikami (bo nie można łączyć stanowisk w rządzie i partii), a na to, by zostali „opiekunami” województw, okazali się za słabi w partii. Pogłoski o politycznej śmierci Morawieckiego – kolportowane zarówno przez zióbrystów, jak i część polityków PiS – wydają się przedwczesne, ale czerwcowe partyjne rozdanie nie było dla premiera udane.

Wszystkie te zmiany – a nawet konflikty, które nieuchronnie w kilku regionach wybuchną – mają obudzić PiS. Czy zdynamizowanie partii wystarczy do utrzymania władzy, to inna historia, bo prezes powodów do zmartwień ma dużo więcej, ale bez sprawnej partii szanse na wyborczy sukces byłyby niewielkie.

WOJCIECH SZACKI

Dopiero nałożenie na siebie obu map – „baronków” i „opiekunów” – pokazuje aktualny układ sił w partii.



Timothy Garton Ash,
brytyjski historyk, o tym, jak
muszą zmienić się liberałowie,
aby pokonać populistów
i powrócić do dawnego
politycznego znaczenia.



Trójząb na populistów

© FRANK BAUER/CONTOUR/GETTY IMAGES

JACEK ŻAKOWSKI: – **Bronisz liberalizmu, bo?**

TIMOTHY GARTON ASH: – Bo obrona liberalizmu jest obroną wolności. A jestem liberałem, bo centralną wartością liberalizmu jest wolność.

Coś im grozi?

Oczywiście! Po pierwsze – Władimir Putin i Xi Jinping. A po drugie – liberalizm sam sobie grozi.

Bo?

Przez ostatnie 40 lat szedł drogą samozniszczenia. Liberalizm jest jak trójząb Neptuna. Musi mieć trzy ostrza albo przestaje być liberalizmem. A przez ostatnie 40 lat stawał się dwuwymiarowy. Głównie ekonomiczny i mniej polityczny. Wymiar społeczny zniknął, a w miarę, jak słabł, sam liberalizm słabł na scenie politycznej.

To jest główny zarzut, który ludzie tacy jak ja, czyli socjaldemokraci albo socjaliści, stawiają liberałom. Fajnie,

że bronicie wymiaru politycznego – wyborów, parlamentów, wolnych sądów, wolności słowa. Dobrze, że jesteście za rynkiem, chociaż dla nas ważniejsze jest, by był dobrze regulowany, a dla was, żeby był wolny. Ale przez pół wieku coraz mocniej spierałiśmy się o wymiar społeczny, czyli liberalne, coraz bardziej abstrakcyjne rozumienie wolności. Bo co z tego, że mogę jechać, dokąd chcę, jak nie mam na bilet. Wasza, coraz bardziej formalna, wolność może dla wielu oznaczać faktyczną ekonomiczną niewolę. A niewola ekonomiczna zniewala nie mniej niż niewola polityczna.

Nie ze mną się o to spierałeś. Bo jako prawdziwy liberał uważam tak jak ty. Mój intelektualny mistrz Ralf Dahrendorf pisał, że liberalna wolność musi mieć elementarną podstawę (*basic floor*). Mieszkanie, konieczny dochód, opiekę zdrowotną, dostęp do edukacji. Prawdziwy liberalizm rozumie, że wolność wymaga pewnego poziomu równości. ►

► **W Polsce mówienie o ekonomicznej równości to już jest socjalizm.**

Jeżeli tak, to jest francuskie rozumienie liberalizmu, w którym oznacza on wyłącznie wolny rynek.

Bo w Polsce twarzą liberalizmu jest Leszek Balcerowicz.

Ale nawet Leszek Balcerowicz nie był Friedrichem Hayekiem ani Miltonem Friedmanem, chociaż można się spierać, czy jest bardziej liberałem, czy libertarianinem albo neoliberalnym. Ale już Bronisław Geremek czy Tadeusz Mazowiecki na sto procent nie byli neoliberalami. Nie byli zwolennikami tego, co na świecie stało się z liberalizmem pod wpływem globalizacji i finansjalizacji kapitalizmu.

Czyli władzy wielkich korporacji i sektora finansowego...

Bo te procesy odpowiadają za wzrost nierówności, który uderza w wolność. Ważniejszy od neoliberalizmu jako ideologii jest model działania współczesnego zglobalizowanego kapitalizmu z ogromnym sektorem finansowym. To jest powszechny problem. Poza tym mieliśmy specyficzne błędy liberałów w różnych krajach. Także w Polsce za rządów Donalda Tuska.

Jakie specyficzne błędy?

Najkrócej mówiąc – zaniedbanie wymiaru społecznego. Na początku polskiej transformacji jej prawą ręką był Leszek Balcerowicz, a lewą – Jacek Kuroń. Potem lewa ręka znikła i z nią znikł trzeci – socjalny – wymiar polskiego liberalizmu. To stworzyło przestrzeń dla populistów. Dlaczego za liberalnych rządów nie było 500+?

Podobno nie było pieniędzy.

Zawsze można inaczej rozpisnąć podatki i wydatki. To chyba był raczej problem zasadniczy: czy państwo powinno dawać ludziom pieniądze. A drugi aspekt tego znikającego trzeciego wymiaru wolności i liberalizmu dobrze – nie tylko w odniesieniu do Polski – uchwycił Ludwik Dorn, mówiąc o potrzebie redystrybucji szacunku. W każdym kraju ten problem ma trochę inną twarz. U nas, w Anglii, to jest kultura oxfordzko-etońska. W Czechach to jest syndrom „praskiej kawiarni”. A w Polsce to jest słaba strona wielkiej tradycji polskiej inteligencji.

Słynne „spieprzaj dziadu” Lecha Kaczyńskiego?

Może. Na pewno arogancja polskiej inteligencji nie ma jednej partyjnej twarzy.

Gdybyś był Polakiem, to od wyznawców Balcerowicza byś słyszał, że jesteś lewakiem albo socjalistą, a nie liberałem.

Bo wspominałem o arogancji polskiej inteligencji? **Bo plan Gartona Asha na ratowanie przyszłości liberalizmu, wyłaniający się z książki „Obrona liberalizmu”, składa się z pomysłów, które w Polsce uchodzą za lewackie.**

Dochód podstawowy?

Finansowany z podatków „uniwersalny minimalny dochód spadkowy” jest gorszy. Witold Gadomski cię za to rozjedzie w „Gazecie Wyborczej”.

Trudno. Wychodzę od pytania Leszka Kołakowskiego: „Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą?”. Ja chcę być socjalistyczno-konserwatywnym liberałem. Bardzo świadomie chcę wziąć z konserwatywności to, co jest w nim najlepsze, np. dbanie o wspólnotę narodową zaniedbaną przez liberałów i przez socjalistów. Chcę wziąć to, co dobre w tradycji socjalistycznej, czyli troskę o równość. I chcę to połączyć z wolnością, która jest w centrum tradycji liberalnej. Dopiero wtedy powstaje pełny, trójwymiarowy liberalizm mogący zatrzymać najgroźniejszy dziś autorytarny populizm. To jest tradycja Ralfa Dahrendorfa, Isaiaha Berlina, Ronalda Dworkina. Myślę, że Bronisław Geremek – dla mnie zawsze wzór – by się z takim myśleniem w stu procentach zgodził.



Ale nie wiem, czyby politycznie przetrwał, gdyby poparł postulowany przez siebie „uniwersalny minimalny dochód spadkowy finansowany przez podatnika”. Rozumiem, że chodzi o wyrównanie pozycji na starcie i żeby każdy wchodzący w dorosłość dostawał od państwa kapitał na start.

Ważny jest cel. Chodzi o tę „elementarną podstawę” Dahrendorfa, czyli równe szanse życiowe. Jak do tego dojdziemy, można dyskutować. Milton Friedman, guru neoliberalistów, proponował negatywny podatek dochodowy. Czyli taki system, w którym obywatele mający dochód powyżej pewnego poziomu oddają pieniądze państwu, a ci, którzy zarabiają najmniej, dostają od państwa pieniądze, żeby ten poziom osiągnąć.

Czyli – myśląc po polsku – socjalizm.

No właśnie. Liberalna tradycja intelektualna i także ekonomiczna jest o wiele bogatsza, niż się teraz uważa, zwłaszcza w Polsce. Ale nie tylko.

„Podatek negatywny” jest podobny do „uniwersalnego dochodu podstawowego”, który teraz testujemy na Warmii, tylko że „uniwersalny dochód” dotyczy każdego, a „podatek negatywny” tylko najbardziej ubogich.

Wolę pomysł Friedmana, bo jest bardziej sprawiedliwy. Ale nie chodzi mi o ten czy inny konkretny instrument. Chodzi o to, by każdy miał możliwie taki sam start w życiu.

To najlepiej wyraża „minimalny dochód spadkowy”, czyli żeby każdy dostawał kapitał na start, jak w słynnym pomysle francuskim.

To mi się bardzo podoba.

Ale czy to jest pomysł wolnościowy, skoro żeby taki spadek powszechnie wypłacać, trzeba najpierw zabrać pieniądze innym, czyli ograniczyć ich wolność ekonomiczną?

Ograniczenie obscenicznego bogactwa nie jest przeciw wolności. To nadmierna nierówność zabiera nam wolność. Przecież cała historia liberalizmu to ciąg prób i błędów w poszukiwaniu takiego modelu, który możliwie największej grupie ludzi da możliwie najwięcej wolności. Liberalizm to nie jest nieograniczona wolność dla każdego. Wolność musi mieć granice prawne i społeczno-ekonomiczne. Z punktu widzenia wolności mniej nierówności ekonomicznej byłoby dziś dobre. Ciekawe jest pytanie, czy np. w Polsce byłoby to politycznie możliwe. Myślę, że gdyby taką propozycję odpowiednio przedstawić, społeczeństwo by ją zaakceptowało.

Widzę tylko jedną partię, która w dzisiejszej Polsce mogłaby publicznie postawić taki postulat. To jest Razem, mające fatę lewaków.

Teraz mi opowiadasz kłopot z polską polityką. On jest ewidentny. Ja go dobrze widzę. Ale argumentuję na innej płaszczyźnie. Trzeba ratować wolność. A wielu polityków próbuje trwać na pozycjach, które doprowadziły do erozji wolności i do popularności nurtów autorytarnych. Jako liberał uważam, że ludzie, którym zależy na wolności, czyli zwłaszcza liberałowie, muszą się w obronie wolności zdobyć na bardziej radykalne działania niż te, które większość z nas była gotowa rozważać w ostatnim 30-leciu. Zwłaszcza w 2008 r. za kryzys najwięcej zapłacili biedni, a bogaci nie ponieśli prawie żadnego kosztu. Chociaż to bogaci byli najbardziej odpowiedzialni za kryzys.

Mnie bardzo cieszy, że sławny i uważnie słuchany na świecie liberał zapisał się do partii Razem. Ale polscy liberałowie ledwie ją tolerują.

Do żadnej partii się nigdy nie zapisałem ani w Polsce, ani w Wielkiej Brytanii. Ale chcę bardzo mocno podkreślić, że obrona wolności wymaga rewizji liberalnych narzędzi

politycznych. Musimy odebrać pole autorytaryzmowi, putinizmowi, populizmowi. A nie da się tego zrobić bez nowego liberalnego programu. Bo chodzi o to, jak skutecznie walczyć z populizmem.

Jak?

Odebrać populistom argumenty, które były częściowo słuszne. Na przykład polityka społeczna, równość, spójność, wspólnota.

To są bariery chroniące nas przed populistami. Ale ty piszesz też o problemie kulturowym, czyli redystrybucji godności, o której w Polsce pisali lewicowi pisarze i intelektualiści, jak Dorota Masłowska w „Wojnie polsko-ruskiej” czy Przemysław Czapliński w „Zbyt późnej nowoczesności”. Politykom, zwłaszcza liberalnym, ten temat nie leży. Nawet teraz, jadąc do mniejszych miast, traktują tych wyborców instrumentalnie. Mówią, że „tam się wygrywa wybory”, a nie że kontakt z politykami się tamtejszym wyborcom zwyczajnie należy.

Jeżeli tak jest, to jest to arogancja i może nawet pogarda dla „Polski B”, co daje energię populistom. Sam termin „Polska B” ilustruje już problem. Ale w USA, w Niemczech, we Francji mają podobny kłopot. Tu ciekawy jest wątek edukacji. My, liberałowie, od dawna bardzo ją ceniliśmy, zwłaszcza wyższe wykształcenie. Podobał nam się cel Tony’ego Blaira, żeby połowa społeczeństwa miała dyplom uniwersytecki. I to się zasadniczo udało. Ale nieprzewidzianą konsekwencją tego jest podział społeczeństwa pół na pół. Jedni studiowali, podróżują po świecie, mówią obcymi językami, popierają Unię Europejską i globalizację. A inni nie mają wyższego wykształcenia, mniej się ruszają, nie widzą dla siebie szans w globalizacji ani w integracji i odrzucają Unię. Może za bardzo martwiliśmy się o słabiej rozwiniętą część świata, a za mało o słabiej rozwiniętą część własnych społeczeństw. Tu musimy się uczyć od populistów.

To jest bardzo trudne. Podatki można ustalać ustawowo.

A szacunek to są emocje.

Jest strona obiektywna i subiektywna. Obiektywna to 500+ ludzi mają z czego żyć, jadą na wakacje.

Na to liberalne centrum odpowiada: pierwszy raz są nad morzem i nie wiedzą, jak się zachować.

Snobizm, jak w Anglii. Nie tylko wy macie z tym problem. Ale jest też strona subiektywna. Jak się do siebie odnosimy i jak do siebie mówimy. Dowodem na to, że polski inteligent umie sobie z tym problemem poradzić, był Jacek Kuroń. Był za rynkiem i kapitalizmem. Mówił: „chcę być człowiekiem lewicy, ale w kapitalizmie”. Tylko że to jest zaniedbana tradycja liberalnej lewicy albo lewicowego liberalizmu.

Jak przekonać dzisiejszych liberałów, żeby się szczerze przemówiali innymi, słabszymi, niewykształconymi? Że mają o nich dbać? Reprezentować ich? Szanować ludzi, którzy czasem może ledwie czytają i piszą? Jak odkopać liberalną tradycję Kuronia i Tischnera?

Po pierwsze, w Polsce, jak w innych krajach, liberalizm można znaleźć nie tylko wśród liberałów. W PSL, u Hołowni, na lewicy jest sporo ludzi tak myślących. Po drugie, będzie działał rynek polityczny. Wygrają ci liberałowie, którzy przejdą tę szkołę. A inni przegrają.

Trudno jest udawać.

Jest słynna powieść Maxa Beerbohma „Szczęśliwy hipokryta”. Chodzi o to, że człowiek staje się coraz bardziej taki, jakiego udaje. To, co było maską, z czasem zaczyna być prawdziwą twarzą. Są takie przypadki. Nawet jeżeli na początku liberałowie muszą podawać bardziej przejętych sprawami społecznymi,

niż są w rzeczywistości, to w pewnym momencie zaczną być tacy naprawdę. Ale nie twierdzą, że mam jakąś uniwersalną receptę, jak zbawić liberalizm. Tylko pokazują składniki, a w każdym kraju można z nich sobie ugotować zupę, jaka lokalnie pasuje.

Zaczynam się bać. Bo polski liberalizm jest przesiąknięty tradycjonalizmem, w Polsce przedstawiającym się jako konserwatyzm. Historia, naród, twardy antykomunizm, tradycja militarna są kluczowe dla takich polityków, jak Bronisław Komorowski czy Radek Sikorski.

W zasadzie jestem za takimi postawami. Piszę o tym w książce „Obrona liberalizmu”. Jeśli liberałowie mają odzyskać silną polityczną pozycję, muszą zbliżyć się także do tych tradycyjnych wartości, które są zakorzenione społecznie.

Wiele osób uważa, że kiedy centrum polityczne robi taki zwrot w stronę emocji narodowych, to otwiera drzwi dla nacjonalizmu.

Przeciwnie! My, liberałowie, powinniśmy pozytywnie myśleć i mówić o narodzie i patriotyzmie. Naszym błędem było odłączenie liberalizmu od patriotyzmu. Dobrze, że tak dużo mówiliśmy o Europie, świecie, globalizacji. Ale za mało mówiliśmy o narodzie, więc zostawiliśmy naród prawicy.

Liberałowie i socjaldemokraci zawsze woleli mówić o społeczeństwie, czyli o wspólnocie funkcjonalnej, zamiast o narodzie, czyli o wspólnocie etnicznej albo genetycznej.

Ważne były względy historyczne, bo w latach 80. kluczowy stał się podział na „władzę” i „społeczeństwo”. Ale popatrz na prezydenta Zełńskiego – jak w jego narracji łączy się liberalizm z patriotyzmem. Możliwy jest taki pozytywny przykład. Ważne jest oczywiście pytanie, jak liberałowie mówią o narodzie. Czy naród rozumieją w sensie inkluzywnym czy w ekskluzywnym. W sensie etnicznym czy w obywatelskim?

Boję się, że u nas to by był powrót do Margaret Thatcher, która z jednej strony pytała: „kto widział społeczeństwo?”, bo stawiała na rynkowy indywidualizm, a z drugiej dmuchała nacjonalistyczny, imperialny balon, wysyłając wojsko na Falklandy i krzycząc w Brukseli: „I want my money back”.

Oczywiście społeczeństwo istnieje i my jako ludzie istniemy społecznie. Ale mamy pozytywny przykład: Emmanuel Macron. To jest niewątpliwie liberał, któremu udało się połączyć bardzo silną retorykę patriotyczną z retoryką europejską. Nie naród albo Europa, tylko naród i Europa, jako wspólnoty, które się nawzajem wspierają.

Ale w liberalizmie, jaki w Polsce istnieje, ważny jest indywidualizm i niechęć do wspólnot. Związki zawodowe to najgorszy wróg.

W liberalizmie musi być kombinacja indywidualizmu, egalitaryzmu, uniwersalizmu. I wiary, że świat może być lepszy dzięki naszemu działaniu. Zależnie od proporcji liberalizm może być bardziej lewicowy, w którym ty byś się zmieścił jako lewicowy liberał...

...dopuszczam taką myśl...

...bo tu przewagę ma egalitaryzm. Ale może też być prawico-wo liberalizm, gdzie indywidualizm staje się kluczowy.

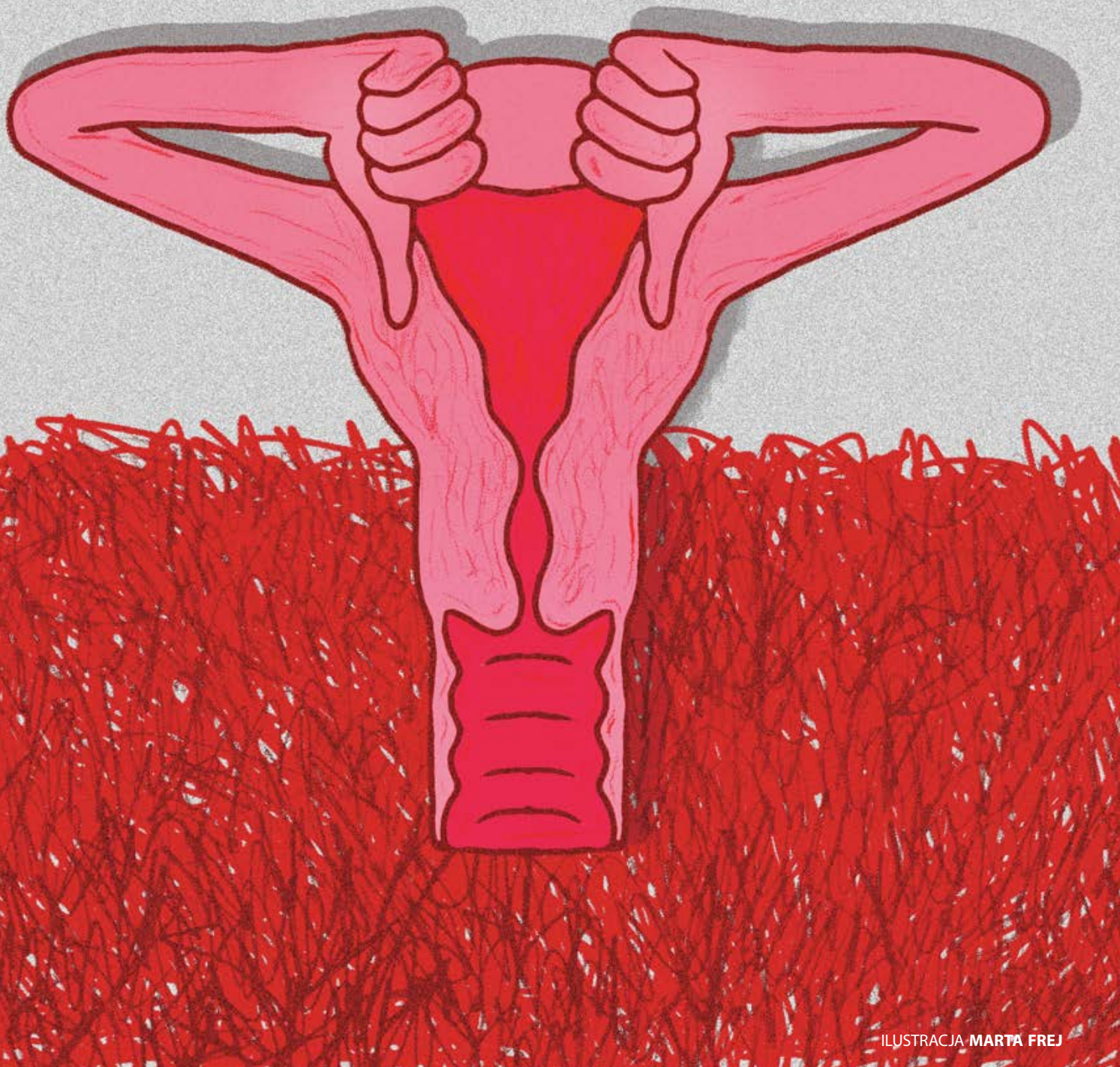
Kiedy tak rozumiany liberalizm próbujesz umieścić na mapie politycznej, to gdzie są jego najbliżsi sojusznicy? Czy to są konserwatyści? Socjaliści? Zieloni? Z kim liberalizmowi jest najbardziej po drodze, jeżeli ma przetrwać jako formacja polityczna?

Liberalne minimum to dziś obrona liberalnej demokracji. To łączy prawie wszystkie partie poza populistami. Przyszłość liberalizmu jako opcji politycznej zależy jednak od tego, czy liberałowie zdobędą się na większą odwagę nowego myślenia.

Timothy Garton Ash (ur. 1955) – brytyjski historyk i publicysta, znawca Europy Centralnej. Profesor studiów europejskich w Oxfordzie, Professorial Fellow w St Antony’s College i w Uniwersytecie Stanforda. Ostatnio wydał „Obronę liberalizmu. Eseje o wolności, wojnie i Europie” (Kultura Liberalna, 2022).

Czy będą z tego dzieci?

Nie bez powodu od byłych uczestniczek programu prokreacyjnego PiS można usłyszeć, że w Polsce najlepiej zacząć rodzić tuż po szkole średniej, żeby zdążyć z ewentualnym leczeniem niepłodności przed czterdziestką.



ILUSTRACJA MARTA FREJ

P

rzy każdej rozmowie na temat sytuacji demograficznej w Polsce pojawia się gotowy zestaw haseł: „Polki nie rodzą”, „500 plus”, „wyrok Trybunału Konstytucyjnego”. A przecież rządzący siedem lat PiS słynie z samochwalstwa w kwestii udogodnień dla przyszłych i obecnych rodziców. Dziś jednak widać, że trend demograficzny – rodzimy coraz mniej dzieci, dominujący stał się model rodziny 2+1 – jest nie

do zahamowania, można go tylko opóźnić. Ale opóźniać trzeba z głową. Władza głęboko w szafie ukryła, traktowany w Polsce często ironicznie, problem niepłodności. Ci, którzy starają się bezskutecznie o dziecko, czują się pacjentami „gorszego sortu”. Mają się leczyć prywatnie, bo brak dziecka to ich prywatna sprawa. Na sąsiedniej półce w tej samej szafie na cztery spusty zamknięto program, który miał być sakiewką z pieniędzmi dla szpitali, które wreszcie wpuściłyby do siebie niepłodnych – „Program kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego”. Niepłodność przerosła jednak PiS, okazało się, że skala i złożoność problemu są dużo poważniejsze.

Czas do trzydziestki

Nic, tylko rodzić dzieci – usłyszała Karolina w czasie badania USG. – *Ginekolożka chyba nie potraktowała mnie poważnie, bo co to za niepłodność w wieku 25 lat, prawda?* – pyta przekornie. Trzy lata seksu bez żadnego zabezpieczenia, a mimo to Karolina nie zachodziła w ciążę. Wiedziała, że dzieje się coś niedobrego. Jeszcze jestem młoda, ale zaraz przecież nie będę, myślała.

O programie prokreacyjnym przeczytała w 2020 r. na facebookowym forum dla niepłodnych i doszła do wniosku, że warto spróbować. Zadzwoiła do Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Gdańsku, a na pierwszą i – jak się okazało – jedyną wizytę czekała trzy miesiące. Po konsultacji i USG nie zaproponowano jej innych badań, nawet podstawowych hormonów. Zrezygnowała z programu, ale nie z leczenia. Zadzwoiła na infolinię NFZ, żeby skonsultować się z endokrynologiem. Usłyszała, że wizyta może się odbyć za pięć lat. – *Dzisiaj miałabym przed sobą jeszcze dwa lata czekania* – mówi. Zaczęła się leczyć prywatnie. Diagnoza: tarczycza, insulinooporność, zbyt wysoki poziom prolaktyny. Badania kosztowały prawie 3 tys. zł. Tylko w tym roku za trzy wizyty u ginekologa endokrynologa zapłaciła 1500 zł. Immunolog wziął 250 zł za 10 minut konsultacji. – *Daję sobie czas do trzydziestki i jeśli nie wyjdzie nam naturalnie, wezmę się za in vitro i inseminację albo w ogóle odpuścę sobie dziecko, jakkolwiek to brzmi. Na co dzień staram się wyluzować, ale kiedy miesięczka spóźnia się trzy dni, to myślę, że może się udać. Potem jednak pojawia się okres. Mama mówi, że bym się nie martwiła, bo pomoże nam z in vitro.*

W 2016 r., kiedy wygaszono dofinansowanie do in vitro, Karolina była 22-latką, a macierzyństwo w ciągu najbliższych trzech lat wydawało się jeszcze całkiem realne. – *Pamiętam jak dziś, że wszystkim mówiłam, że chcę być już w ciąży* – dodaje.

Kościół, główny sojusznik obozu władzy, nie zgadzał się na finansowanie in vitro. 1,5 mln niepłodnych par (20 proc. wszystkich), jak podaje Polskie Towarzystwo Medycyny Rozrodu i Embriologii, to spory elektorat, dlatego trzeba było dać mu coś w zamian i obiecać, że będzie to skuteczny zamiennik. W takich okolicznościach powstał „Program kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego”. Nazwa obiecywała wiele, choć od samego początku PiS brakowało politycznej woli, by nadać priorytet problemom niepłodności – mimo że w deklaracjach jest prorodzinny i prourodzeniowy. Jednocześnie jedno z podstawowych kryteriów

przyjęcia do tego programu to „bycie wcześniej niediagnostozowanym”. To tak, jakby stworzyć program leczenia raka, ale zabronić udziału tym, którzy już wiedzą, że są chorzy, komentowano.

Powstało 16 ośrodków w 13 województwach (w tym aż cztery w Warszawie). Ówczesny minister zdrowia Konstanty Radziwiłł zapowiadał, że każde województwo będzie miało co najmniej jedną klinikę, ale do dziś sytuacja się nie zmieniła. Dla wielu pacjentów oznacza to, że w ciągu trzech miesięcy diagnozowania musieliby dziesięć razy odwiedzić miasto oddalone niekiedy 150 km od domu, a żeby to zrobić, w pracy wziąć wolne, dzień lub dwa. Wykluczenie na starcie. W ciągu sześciu lat ministerstwo nie znalazło ani jednego szpitala na Kujawach, Mazurach i w Lubuskiem, któremu mogłoby dosypać do budżetu na diagnostykę niepłodności, by poprawić sytuację mieszkańców tych regionów.

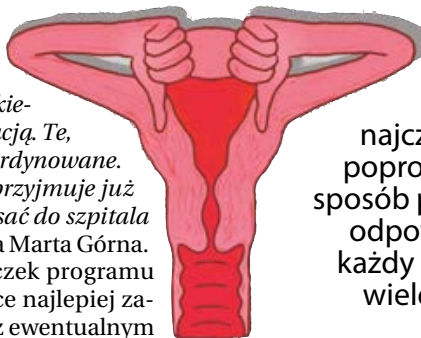
Wspomniane ośrodki to najczęściej szpitale uniwersyteckie, które chętnie skorzystały z możliwości zakupu sprzętu i sfinansowania remontu. I tak na te cele przez pierwsze cztery lata wydano 36 mln z całej puli 46 mln zł. Tworzono laboratoria do badania plemników. Kupowano więc analizatory nasienia, komory do diagnostyki nasienia, zbiorniki do przechowywania materiału biologicznego w ciekłym azocie, komputery z oprzyrządowaniem do zapisywania ruchu plemników. Dla porównania – w tym samym czasie na samą „diagnostykę, opiekę psychologiczną oraz dalsze leczenie” wydano 10 mln zł, czyli tylko jedną trzecią kosztów przewidzianych w programie. A dziś, gdyby zajrzeć w budżet projektu, widać też, że część pieniędzy zostanie przeznaczona... na doposażenie oddziałów neonatologicznych. – *To pokazuje, że szpitale nie miały sprzętu, który zabezpiecza diagnostykę niepłodności. Zastanawiam się, czy zamiast wydać kilkadziesiąt milionów na doposażenie tych ośrodków, nie lepiej było przeznaczyć je na diagnostykę, oddając program placówkom, które wcześniej były w programie in vitro. Dzięki temu moglibyśmy mieć 50 ośrodków, a nie 16* – uważa Marta Górna ze Stowarzyszenia na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji Nasz Bocian.

Głębiej w plemnik

Trzeba się było jednak odciąć od in vitro grubą kreską w każdym możliwy sposób, symbolicznie także. „Pary zdiagnozowane w ramach programu mają możliwość poczęcia kolejnych dzieci w sposób naturalny, co stanowi jego wartość dodaną w kolejnych latach” – można było wyczytać w ministerialnych odpowiedziach na maile dziennikarzy. Ośrodki otwierano czasem z asystą duchownych, jak choćby w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Kielcach. Fotorelację, jak biskup pomocniczy diecezji kieleckiej dokonał poświęcenia nowego oddziału, wciąż można obejrzeć na stronie szpitala.

– *To, co ten program proponuje, to jest takie powiedzenie „A” w leczeniu* – mówi Marta Górna z Naszego Bociana. Z punktu widzenia niepłodnej pary – osób koło trzydziestki lub trochę ponad, co najmniej od dwóch lat starających się o ciążę, trafiających zwykle na prywatny rynek usług medycznych – jest to pierwszy program finansowany przez Narodowy Fundusz Zdrowia, w którym zapewniona jest diagnostyka niepłodności. Samorządowe programy refundacji inseminacji oraz in vitro, mimo że jest ich coraz więcej, dają jedynie częściowe wsparcie, a chętnych jest zwykle kilkakrotnie więcej niż miejsc. Np. w Krakowie 200 miejsc w miejskim programie zainaugurowanym pod koniec czerwca zapełniło się w kilka godzin.

Pisowski program na papierze zapewnia parom wstępną diagnostykę w postaci wywiadu lekarskiego, badania ginekologicznego, badania nasienia, w razie potrzeby rozszerzonego badania nasienia, zjrzenia głębiej w plemnik, histeroskopię, laparoskopię, czyli wszystko, co powinno się dziać zgodnie z rekomendacjami w pierwszym okresie szukania przyczyn niepłodności. ►



► – *Dlatego ten program ma sens. Wiele badań w kierunku diagnostyki niepłodności jest poza refundacją. Te, które można wykonać w ramach NFZ, są nieskoordynowane. Można iść do ginekologa na NFZ, ale androlog przyjmuje już 200 km dalej, a na histeroskopię trzeba się zapisać do szpitala w dużym mieście i czekać kilka miesięcy* – wylicza Marta Górna.

Nie bez powodu jednak od byłych uczestniczek programu prokreacyjnego PiS można usłyszeć, że w Polsce najlepiej zacząć rodzić tuż po szkole średniej, żeby zdążyć z ewentualnym leczeniem niepłodności przed czterdziestką.

37-letniej Monice z Katowic z mężem (40 lat) trudno było się dostać do programu. W 2019 r. pojechali na pierwszą wizytę, a ginekolog nie chciał ich zakwalifikować, bo mają już jedno dziecko, dziś ośmioletnie. – *Mówiłam, że potem dwa razy poroniłam, że się martwię i nie chciałabym tego jeszcze raz przechodzić. I wtedy lekarz zgodził się nas przyjąć. Dwa lata próbowałam zajść w ciążę bez zabezpieczenia* – mówi. Badania w ramach programu trwały dwa lata. Kilkanaście wizyt, w tym dwie w szpitalu, w sumie dziesięć dni na diagnostyce. Hormony, drożność jajowodów, testy mocne, USG. Cała lista badań do wykonania zajmuje cztery strony A4. – *Ostatecznie wyszłam z informacją, że potrzebuję in vitro, a oni nie są w stanie mi pomóc* – opowiada Monika.

Dwa lata badań to dla niepłodnych bardzo dużo. Jak mówi dr Joanna Kot, psychoterapeutka pomagająca parom mierzącym się z niepłodnością, u kobiet starających się o dziecko dłużej niż dwa lata rozpoczyna się proces obwiniania o niepowodzenia. O tyle nieracjonalny, że nawet niepowiązany z faktyczną przyczyną, która może też przecież leżeć po stronie męża, partnera. A to się niemalże statystycznie już wyrównało. Jak wskazują badania, wciąż uważa się, że za 40 proc. przypadków niepłodności odpowiada czynnik żeński, za 40 proc. męski, a pozostałe 20 proc. to tzw. niepłodność idiopatyczna, której podłoża nie da się ustalić. To zwykle wskazanie do in vitro. Jasne wskazanie będą też miały pary z niedrożnością jajowodów, obniżonymi parametrami nasienia, endometriozą. Takich przypadków jest sporo. Prof. Robert Jach z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Krakowie: – *Okolo 25–40 proc. pacjentów potrzebuje leczenia metodami wspomaganego rozrodu*. Marta Górna: – *Dla mnie to jest nieetyczne, że zostawiamy te pary bez leczenia. Nie możemy diagnozować pacjentów, a potem im mówić: a teraz idźcie i zbierajcie kasę na in vitro*.

Liczy się poczęcie

Ale nie zawsze in vitro jest jedyną receptą. Wiele przypadków niepłodności daje się rozwiązać za pomocą mniej zaawansowanych metod, jak celowe współżycie, leczenie farmakologiczne, operacje endoskopowe. Tyle że tu odzywa się największa bolączka ginekologii w Polsce i efekt wielu lat zaniedbań: niskie wyceny świadczeń. Leczenie przyczynowe zrostów okołojajowodowych, guzów macicy, jajników czy endometriozy nie jest opłacane na takim samym lub choćby podobnym poziomie jak zabiegi kardiologiczne, onkologiczne czy ratujące życie. Pacjenci trafiają na koniec kolejek, a szpitale się zadłużają. Ofiarami tej sytuacji są choćby młode kobiety z endometriozą – jest ich ok. 800 tys. w Polsce – najczęściej skazane na wolny rynek usług medycznych. To efekt wielu lat zaniedbań. 40 proc. z nich cierpi na niepłodność, a wśród niepłodnych mamy podobny odsetek występowania endometriozy i koło się zamyka.

Jesienią 2018 r. kilkoro lekarzy zajmujących się małoinwazyjnymi metodami leczenia niepłodności zaapelowało do MZ o to, by przekształcić program prokreacyjny z diagnostycznego w terapeutyczny. Resort zaprosił na spotkanie przedstawicieli wszystkich ośrodków. Przedstawiciele szpitali przekazali swoje inne uwagi: wąski zakres badań, brak finansowania zabiegów

Większość z 16 ośrodków, najczęściej szpitali uniwersyteckich, poproszonych o wyjaśnienie, w jaki sposób po „reformie” leczą niepłodność, odpowiada, że... nie leczą. Jednak każdy ośrodek radzi sobie, jak może, wiele zależy od inwencji lekarzy.

operacyjnych, jak również brak finansowania opieki lekarzy specjalistów.

Presja była duża, media dopytywały o rezultaty programu i porównywały je z wynikami leczenia niepłodności metodą in vitro (do dziś urodziło się dzięki niemu ponad 22 tys. dzieci). Ministerstwo założyło, że odsetek ciąż wyniesie 30 proc. Powiedzieć, że był nierealny, to nic nie powiedzieć. Do kwietnia 2019 r. zgłoszono 294 ciążę, w latach 2021–22 – 292. Zaczęto się orientować, że od samej diagnozy para nie zajdzie w ciążę. W oficjalnych komunikatach podkreślano, że paradoksalnie ciążę nie są celem programu (powtórzmy: prokreacyjnego). Po interwencji lekarzy koszyk badań i zabiegów, za które w programie płaci resort zdrowia, wydłużył się z 20 do 136. A gdy dziś zajrzy się do programu, mowa o prognozowanym odsetku 15 proc. poczęć.

Dr Katarzyna Pankiewicz z Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie mówi, że nie odczuwa dużej zmiany w tym, jak MZ opłaca różnego rodzaju procedury chirurgiczne i farmakologiczne. – *Na pewno histeroskopię diagnostyczną można w programie spokojnie robić, a także laparohisteroskopię diagnostyczną, ewentualnie z kontrolą drożności jajowodów, ale to jest raczej diagnostyka niż leczenie* – wymienia. W przypadku usuwania polipów, mięśniaków czy torbieli endometrialnych, ognisk endometriozy szpitale wciąż tracą, czyli zadłużają się, wykonując te zabiegi.

Na NFZ nie da się rozliczyć laparoskopii za więcej niż 3,3 tys. zł, a po „reformie” programu prokreacyjnego – za więcej niż 10 tys. zł. Za histeroskopię zabiegową ministerstwo płaci nie więcej niż 5,4 tys. zł. Realny koszt, który ponosi szpital, to jednak 30 tys. zł.

Większość z 16 ośrodków poproszonych o wyjaśnienie, w jaki sposób po „reformie” leczą niepłodność, odpowiada, że... nie leczą. Szpital na Karowej w Warszawie: „Program kończy się na wyczerpaniu metod diagnostyki. Ośrodek w ramach swojej działalności proponuje dalsze leczenie w placówce, obejmujące finansowanie z Narodowego Funduszu Zdrowia”. Szpital Orłowski w stolicy: „Program zapewnia pełny zakres diagnostyki niepłodności”. Szpital Uniwersytecki w Poznaniu: „Szpital prowadzi diagnostykę i leczenie niepłodności w ramach poradni specjalistycznej – Poradni Leczenia Niepłodności – na podstawie kontraktu z NFZ oraz w oddziałach szpitalnych położniczo-ginekologicznych”.

Każdy ośrodek radzi sobie, jak może, wiele zależy od inwencji lekarzy. Dr Pankiewicz w IMiD wykonuje, choć nie ma ich w programie, zabiegi inseminacji. – *Nie odmawiamy jakiegokolwiek procedury, bo nie ma jej w programie, jeśli jest możliwe choć jej częściowe finansowanie ze środków NFZ, jednocześnie apelujemy do MZ, żeby inseminacja została zrefundowana* – tłumaczy ginekolożka.

Każdej parze przysługują trzy próby. W tygodniu ginekolożka przeprowadza średnio trzy takie zabiegi. – *To dla wielu par jedyna okazja, żeby zrobić inseminację za darmo. Inseminacja „na mieście” kosztuje 1 tys. zł* – mówi. Szansę na ciążę u pacjentki 30-letniej szacuje się na 12–15 proc. po jednej inseminacji. Efekt są. – *W tym roku uzyskaliśmy 43 ciążę w tym programie. Na 127 par. Nie wszystkie oczywiście skończyły się porodem, zdarzają się poronienia i ciążę pozamaciczne*.

W Małopolsce inseminację, za którą płaci NFZ, można wykonać jedynie u prof. Roberta Jacha w Krakowie: – *Nie wiem,*

kiedy pan dyrektor mi zabroni. Narazie pozwala. Finansowo nam się to niezapewnia. Dziś o inseminacji wciąż rozmawia się na spotkaniach ośrodków referencyjnych i na rozmowach się kończy.

Ginekolog nawet nie badał

30-letnia Katarzyna spod Łodzi mówi, że przez trzy lata starań o dziecko najgorsze były momenty, kiedy przychodził okres. Mała żałoba 12 razy w roku. Ludzie nie rozumieją, co się wtedy przyzywa. Dzidzius to zakazane słowo. – Człowiek żyje myślą o własnym dziecku. Widzi inne szczęśliwe kobiety i marzy o tym, żeby mieć takie szczęście we własnym domu – opowiada. Po pierwszym poronieniu, w 18. tygodniu ciąży, trudno było się jej pozbierać. Ubranka niemowlęce i zabawki trafiły do szafki. Drugi raz poroniła w 10. tygodniu. Nawet nie zdążyła ich z powrotem wyjąć.

Potem włączył się jej tryb działania, dowiadzywania, szukania przyczyny. W programie prokreacyjnym była przez rok. Na każdą z kilku wizyt trzeba było dojechać 80 km do Instytutu Matki Polki w Łodzi w jedną stronę, oboje z mężem brali urlopy. – Pierwsza wizyta to był tylko wywiad, przyjmował nas ginekolog, ale nie odbyło się żadne badanie, nawet rutynowe – wspomina. Na drugiej Katarzyna dostała skierowanie na podstawowe badania hormonalne: progesteron, testosteron, DHEA, prolaktyna, AMH, FSH i LH. – Potem były jeszcze dwie wizyty u ginekologa, dwie u immunologa, jedna u psychologa. U ginekologa nie zostałam ani razu zbadana. Zapytałam dlaczego i dostałam odpowiedź, że miesiączkuję, więc na pewno mam owulację. Nikt nie zlecił badań mojemu partnerowi. Ani nasienia, ani krwi. To było dla mnie niepojęte – opowiada Katarzyna. Jedynym plusem były wizyty u immunologa, na którego czeka się prywatnie bardzo długo. Ten zlecił specjalistyczne badania, które jednak musiały zrobić prywatnie: test IMK 250 zł, białko C i S 220 zł, czynnik 30 zł, przeciwciała 160 zł, ocena cytokin 450 zł, cross match 300 zł. W sumie jedno badanie refundowane. Katarzyna zaoszczędziła całe 100 zł.

– Na każdej wizycie był ktoś inny. Wszystko po łebkach. Żadnego pogłębionego wywiadu. Nie wiem, czy to wynika z braku chęci, czasu czy finansów. Typowa wizyta z NFZ: aby szybko, aby było odhaczone – opowiada. Po roku, gdy diagnostyka zmierzała donikąd, zrezygnowali. – Zaczęliśmy leczenie w klinice leczenia niepłodności. Od razu dostaliśmy skierowania na badania, rozmawiano z nami, zdecydowaliśmy się na in vitro. Udało się za pierwszym razem. Badania plus procedura kosztowały 12 tys. zł – dodaje.

Rok temu, kiedy na świecie była już córka Katarzyny, zadzwonił telefon z Instytutu Matki Polki w Łodzi. Pytano, czy udało się zajść w ciążę. – Odpowiedziałam, że tak, „ale nie dzięki państwu, i proszę to tak zaznaczyć”. Podejrzewam jednak, że wpisali mnie do rubryki „poczęcia”.

– Czy możliwe jest osiągnięcie 15 proc. ciąż w ramach programu? Pozostawiam pytanie bez komentarza. Dano nam zwiększoną możliwość leczenia przyczyn, które można chirurgicznie lub farmakologicznie poprawić, ale to przecież nie wszystko. Świat od ponad 50 lat wie, że można leczyć dalej, są metody wspomagającego rozrodu – przyznaje prof. Robert Jach. Dr Katarzyna Paniewicz: – Nie wiem, czy to możliwe w skali całego kraju, gdzie w większości miast nie wykonuje się inseminacji. Na pewno widzę w tym

programie dużo takich par, które gdyby miały robić te wszystkie badania na własną rękę, toby się tego na pewno nie podjęły, bo nie byłoby ich stać. Widzę też pary, które mają dobre rokowania co do in vitro, ale nie podejmują się go z powodów finansowych.

Tymczasem – jak przyznała w niedawnej rozmowie z POLITYKA prof. Irena Kotowska – słaba jakość usług zdrowotnych to jeden z elementów, na które narzekają dzisiejsze 30-latki. A od nich zależy dziś, jak będzie wyglądała dzietność w Polsce. „Wiele z nich staje przed decyzją o urodzeniu pierwszego dziecka. (...) To, co zrobią dzisiejsze 30-latki, zależy od tego, jakie otrzymają wsparcie systemowe – zdrowotne, szkolne, ale i na rynku pracy. Ich partnerzy też będą tego potrzebować – późniejsze rodzicielstwo ma ograniczenia biologiczne po obu stronach” – podkreśla demografka.

– Dlatego absolutnie pierwszym krokiem, który należy podjąć, jest przywrócenie refundacji in vitro. Mając na uwadze skalę niepłodności i nasze problemy demograficzne, powinniśmy zainwestować też w funkcjonowanie poradni leczenia niepłodności. Ważne, aby było ich wiele, tak żeby pacjenci w całej Polsce mieli do nich równy dostęp – dodaje Marta Górna. Poradni leczenia niepłodności przy publicznych szpitalach jest na razie w całym kraju kilka. Problem jest nawet ze zwykłymi poradniami ginekologiczno-położniczymi: z raportu NIK w 2018 r. wynika, że liczba kobiet na jedną taką poradnię w woj. lubelskim w gminach miejskich to 5,1 tys. W wiejskich – 27,7 tys. Program prokreacyjny? – Zostawić. Ale pod warunkiem że pójdzie za tym prawdziwe leczenie, bo te interwencje, które nazywane są teraz leczeniem, to jest kropla w morzu potrzeb.

Tumiwisizm rządu

Potrzeba też edukacji, która uświadomi, że to, w jaki sposób żyjemy, wpływa na naszą płodność za 10 lat. Marta Górna: – Nasze stowarzyszenie dość aktywnie działa na TikToku. Zadziwiająca jest dla mnie liczba komentarzy dziewczyn, które mają po 21, 22, 23 lata i już odzywają się do nas z pierwszymi problemami. Zdarza się, że zapominamy, że niepłodność dotyczy również bardzo młodych pacjentów, którzy zaczynają starania wcześniej niż statystyczne pary. Myśląc dziś o nastolatkach, z wielkim trudem wyobrażam sobie, że za kilka lat i one miałyby się mierzyć z niepłodnością. A tak może, niestety, być bez dobrej edukacji.

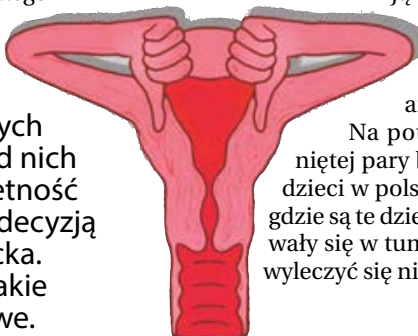
Chodzi także o pokazanie, że w wielu sytuacjach życiowych wystarczy wprowadzenie kilku zmian, by poprawić wyniki. Tak jest choćby w przypadku niepłodności męskiej. – Jeżeli nie mamy do czynienia z brakiem plemników w nasieniu, to zmiana trybu życia, przede wszystkim ograniczenie kaloryczności diety, picia coli, palenia papierosów, alkoholu, poprawia jakość nasienia. U prawie 70 proc. mężczyzn zachodzi zauważalna poprawa, jeżeli stosują się do zaleceń, ale zmienić tryb życia jest niezwykle ciężko – tłumaczy dr Jach. To jest baza wiedzy o zachowaniach zdrowotnych, której nie traktuje się w Polsce priorytetowo.

Zamiast niej przeszliśmy przez kilka kampanii ministerialnych w rodzaju „Nie zdążyłam zostać matką. Żałuję” (przekaz był taki: kobiety odkładają macierzyństwo dla kariery i zostają z niczym). Od kilku tygodni na polskich ulicach pojawia się nowa billboardowa akcja „Gdzie są TE dzieci”. Stoi za nią fundacja, która wcześniej przygotowała kampanię antyrozwodową „Kochajcie się mamó i tato”.

Na potężnych planszach, obok szeroko uśmiechniętej pary blond pociech, pojawia się zestawienie liczby dzieci w polskich rodzinach w latach 50., 80. i dziś. A więc gdzie są te dzieci? Najkrócej można odpowiedzieć, że pochowały się w tumiwisizmie rządu. A tej jednostki chorobowej wyleczyć się nie da.

AGATA SZCZERBIAK
WSPÓŁPRACA ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Na słabą jakość usług zdrowotnych narzekają dzisiejsze 30-latki. A od nich zależy, jak będzie wyglądała dzietność w Polsce. Wiele z nich staje przed decyzją o urodzeniu pierwszego dziecka. To, co zrobią, zależy od tego, jakie otrzymają wsparcie systemowe.





ILUSTRACJA ŁUKASZ RAYSKI

Z ciałem za ścianą

NORBERT FRĄCZAK

Czworo dzieci przez dwa tygodnie dzieliło dom z ciałem martwej siostry. Kto wie, czy nie leżałoby tam dłużej, gdyby nie naprawa dachu.

Szabda – trzy ulice, dwie kapliczki, jedno wzniesienie. Na nim dom – biały, zadbane, z garażem, filarami, zieloną dachówką. Tylko ogrodzony na szybko – drutem i taśmą. Na podwórzu kontener na śmieci, obok kolorowa zjeżdżalnia, dmuchany basen, zabawki i kilka worków – w jednych słoiczki dla dzieci i butelki po sokach, w innych po wódce i piwie. Mieszkający tu państwo Ch.

– Paulina, lat 27, Bartosz, lat 33, i dzieci – wyprowadzili się w pośpiechu. Została tylko Majka, lat trzy. A raczej jej ciało – zimne, nieruchome.

O tym, że tam jest, wiedzieli jedynie członkowie rodziny Ch. Gniło za ścianą, w pokoju zamkniętym na klucz. Pozostałe dzieci – Marysia (lat siedem), Zuzia (pięć), Mikołaj (brat bliźniak Mai) i Bartuś (dwa lata) – nie miały do niego wstępu. Musiały wiedzieć, że stało się coś niepokojącego – zapach śmierci dojrzał przez dwa tygodnie, aż trudno było wytrzymać. Rodzice zarządzili ucieczkę.

Mają znalezione dzięki dekarzom, którzy 23 czerwca przyjechali na umówioną naprawę dachu. Poczuli smród, zawiadomili więc właścicielkę, od której Ch. wynajmowali dom. Ta zaś

zawiadomiła służby. Strażacy wyważyli drzwi. W środku żywej duszy, tylko zdechłe z głodu szynszyle w klatkach i małe ciało leżące w sypialni. Mundurowi i prokurator mieli z początku problem z określeniem płci. O tym, że była to dziewczynka, świadczyły tylko włosy.

Rodzice

Wieś liczy około 600 mieszkańców. Miejscowi dojeżdżają do pracy w pobliskiej Brodnicy, pielęgnują ogrody i raczej nie interesują się, co się dzieje u sąsiadów. Wzdłuż ulicy, przy której doszło do tragedii, są pola i kilkanaście domów. Raczej okazałe, nowoczesne – niektóre czekają jeszcze na wykończenie i mieszkańców.

Ch. żyli tu od trzech lat. Wcześniej mieszkali w Gorczenicy, kilka kilometrów od Szabdy, u rodziców Pauliny. Było ciasno, mieszkanie małe, dwójka dzieci i bliźniaki w drodze – Mikołaj i Maja. Postanowili się wynieść. Miał szczęście – w Szabdzie był do wynajęcia dom, ładny, spory i za niewielkie pieniądze. Co prawda kilka kilometrów od Brodnicy, gdzie pracował Bartosz, ale za takie pieniądze w mieście dostaliby co najwyżej średniej wielkości mieszkanie.

Na podwórzu zrobili niewielki plac zabaw dla dzieci – zjeżdżalnia, basen, trampolina, zabawki. Paulina, która od dawna chciała mieć zwierzęta, zdecydowała się na szynszyle. Wyglądali na zadowolonych. Przynajmniej tak mówią miejscowi, którzy jeszcze do niedawna złego słowa o państwu Ch. nie mogli powiedzieć.

Sąsiadka z naprzeciwka: – *Ta dziewczyna bardzo sympatyczna. Widowałyśmy się czasem na przystanku, gdy odprowadzała najstarsze córki na autobus do przedszkola. Zwykle z całą gromadką. Mówiła, że jest jedynaczką, zawsze marzyła o dużej rodzinie. Poza tym prawie nie wychodziła z domu. Na kawę też nigdy nie zaprosiła.*

Sklepowa ze spożywczego: – *Ona nie przychodziła, za to on czasem robił u mnie zakupy. Po odzywaniu można było poznać, że nie żadna hołota, tylko spokojny facet. Zawsze dzieciom brał po jakimś słodyczu, najczęściej mlecznej kanapce. Po pięć sztuk, nigdy nie było, żeby o którymś zapomniał. Alkoholu nie brał. Jeżeli pił, to musiał kupować w mieście, bo u mnie nigdy. Dzień dobry też zawsze powiedział. I w zasadzie tyle, bo więcej z ludźmi nie gadał.*

Sąsiad: – *Syn chodził do przedszkola z ich córkami. Miłe dziewczynki, ale bardzo ciche. Nie wyglądały, jakby im czegoś brakowało. Latem dzieci bawiły się na podwórku. Nigdy nie słyszałem, żeby podnieśli na nie głos. Pijani nie chodzili,*

on czasem z piwkiem po robocie. Zastanawiające było tylko to okno od strony ulicy. Jedyne, w którym była roleta, nigdy nie widziałem, żeby było odstonięte.

Bartoszewi i Paulinie Ch. prokuratora postawiła zarzuty: znęcania się nad dziećmi, narażenia ich na utratę życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, znieważenia zwłok i zabójstwa. Oraz oddzielnie: znęcania się nad zwierzętami dla niej (szynszyle) i kolejne narażenie na utratę życia dwuletniego syna dla niego. Obojgu grozi dożywotnie więzienie.

Śledztwo

Bartosza Ch. policja znalazła 24 czerwca, dzień po odkryciu zwłok Mai. Był w wynajętym mieszkaniu w kamienicy w Warszawie. Trudno powiedzieć, czy widok mundurowych go zaskoczył, bo był kompletnie pijany. Z najmłodszym z dzieci, Bartusiem, pod opieką – stąd kolejny zarzut o narażenie dziecka na niebezpieczeństwo (pozostałe dzieci były w tym czasie u dziadków). Przewieziono go do Brodnicy. Został przesłuchany po dwóch dniach, gdy wytrzeźwiał.

W momencie gdy jej męża wyprowadzano w kajdankach, Paulina w szpitalu w Warszawie rodziła szóste dziecko. Antosia, bo tak ma na imię niemowlę, nie zdążyła nacieszyć się matką. Prosto ze szpitala kobieta trafiła do aresztu.

Oboje złożyli zeznania, ale co powiedzieli, nie wiadomo – tajemnica śledztwa. Jak dokładnie zginęła Maja – to też tajemnica. Prokuratura ujawnia jedynie, że przyczyną śmierci był uraz mechaniczny. Więcej informacji może zostać ujawnionych, gdy medyk sądowy sporządzi ekspertyzę. Zatem czy śmierć Mai była wypadkiem, nieudolnie tuszowanym przez rodziców, efektem fizycznego znęcania czy zaplanowanym morderstwem – dowiemy się niebawem.

Albo się nie dowiemy – z uwagi na dobro śledztwa.

Dzieci

Niektóre portale już doniosły: „Ojciec znęcał się nad dziećmi, aż w końcu zabił córeczkę”. Tymczasem prokuratura nie doszukała się dowodów, że w domu państwa Ch. była przemoc fizyczna. Znęcanie, o którym mowa w zarzutach, dotyczy warunków, w których żyły dzieci.

Rodzina od siedmiu lat korzystała z pieniędzy Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Brodnicy. Ostatnia wizyta pracownika miała miejsce 10 kwietnia. Nie stwierdził żadnych uchybień – dzieci były zadbane, a w domu panował porządek. To, co w dzień odkrycia zwłok Mai zastał prokurator, było jego zaprzeczeniem. Wszędzie wałały się śmieci, resztki

jedzenia, butelki po alkoholu, wszechobecne owady. Pojawia się pytanie: czy u Ch. było tak zawsze, gdy akurat nie kontrolował ich GOPS, czy to się zaczęło po śmierci Mai?

Wiesława Jaranowska, kierowniczka GOPS w Brodnicy, twierdzi, że rodzina Ch. nigdy nie sprawiała problemów: – *Rodzice nie mieli niebieskiej karty, nie było też przesłanek, by przyznawać im asystenta rodziny. Jeszcze przed tą tragedią przeprowadziliśmy kilka wywiadów z mieszkańcami budynku, w którym mieszkali przed wyprowadzką do Szabdy, później we wsi. Dzieci się nie skarżyły, nie miały siniaków, w domu panował porządek. Po tym, co się stało, dyrektor szkoły, w której uczyła się najstarsza córka państwa Ch., mówił, że dziewczynka zawsze była odpowiednio ubrana, miała kanapki. O samych rodzicach nikt z sąsiadów złego słowa nie powiedział, tylko że spokojni, kontaktowi. Naprawdę nie wiem, co doprowadziło do tej tragedii, ale nic na nią nie wskazywało.*

Kierownik Jaranowska spotkała się z dziećmi krótko po tym, gdy odkryto zwłoki ich siostry. Najstarsze – Marysia i Zuzia – miały rysować obrazki. Obie narysowały kolorowe kwiatki. Poproszone, by narysowały mamę i tatę, odpowiedziały: innym razem. Trzyletni Mikołaj, brat bliźniak Mai, nie rysował. Skulony na kanapie nie powiedział słowa, tylko płakał.

Dziadkowie

Piątka dzieci mieszka u rodziców Pauliny Ch. W tym samym małym mieszkaniu, w którym Ch. mieszkali przed przeprowadzką do Szabdy. 49-letnia Anna jest woźną w szkole, 52-letni Krzysztof kierownicą w urzędzie. Czy wiedzą, w jaki sposób zginęła ich wnuczka – nie wiadomo. Nie chcą rozmawiać z dziennikarzami.

Sąsiedzi też odmawiają. – *Nic nie powiem, nie mogę – mówią cicho sąsiadka z parteru, palcem wskazując piętro, gdzie mieszkają rodzice Pauliny. Za drzwiami słychać gromadkę dzieci. Jest też płacz.*

Według wiedzy prokuratury Maja zginęła najprawdopodobniej 10 czerwca. Tego dnia państwo Ch. złożyli jej ciało w swojej sypialni i przekreślili klucz w drzwiach. Za ścianą czytoły się życie rodzinne, do którego z czasem przyłączyły się muchy. Bakterie z rozkładającego się ciała mogły zagrozić zdrowiu pozostałych dzieci. Na szczęście wydają się zdrowe. Przynajmniej fizycznie.

Szabda próbuje zapomnieć o tym, co się stało w domu na wzgórz. Miejscowi wykańczają domy, pielęgnują ogródki – niechętnie wracają do tematu państwa Ch. i małej Mai. Dziewczynki, której ciało wciąż nie doczekało się pochówku. ■

Stres odpływa powoli

Rozmowa z psychologiem prof. dr. hab. Bogdanem Zawadzkim o tym, czego dowiedzieliśmy się o ludziach za sprawą **Wielkiej Powodzi** sprzed 25 lat. I jak to wykorzystujemy dzisiaj, przy okazji innych dramatycznych sytuacji.



JOANNA CIEŚLA: – **Pamięta pan zapach powodzi?**

BOGDAN ZAWADZKI: – Trudno go zapomnieć. To taka mieszanka zapachu rozkładających się roślin, przedmiotów, ciał zwierząt – słodkawa, bardzo nieprzyjemna. Woda powodziowa jest niezwykle groźna biologicznie i chemicznie – zmywa z pól nawozy, penetruje kanalizacje, cmentarze. By pozbyć się zagrożenia – i zapachu – trzeba nie tylko skuwać tynki, odkażać instalacje, lecz także zbierać ziemię, bo jest powierzchniowo skażona. To ważna, a pomijana, składowa opresja, z którą wiąże się to potworne doświadczenie. Na co dzień nie myśli się też o tym, że powódź, zwłaszcza w rejonach górskich, to straszny hałas. Tam po intensywnych opadach fala może podnieść się błyskawicznie i sunie z hukiem, ciągnąc ze sobą kamienie, drzewa, maszyny.

25 lat temu, w lipcu 1997 r., ulewne deszcze spowodowały zalanie setek miejscowości na południu Polski,

wśród nich Opola, Wrocławia, Kłodzka i Raciborza. Z brzegów wystąpiły m.in. Nysa Łużycka, Nysa Kłodzka, Odra, górna Wisła. Ok. 40 tys. ludzi straciło dorobek życia, 7 tys. – swoje domy. Zniszczonych lub uszkodzonych zostało prawie 700 tys. mieszkań. Zginęło 56 osób. 18 lipca był dniem żałoby narodowej. Tamte wydarzenia nazywa się czasem „powodzią tysiąclecia”. Słusznie?

Polska jest krajem powodziowym, informacje o takich katastrofach pojawiają się w zapiskach już z czasów średniowiecza. Trudno ocenić wielkość kataklizmów sprzed kilkuset lat, ale na pewno poważne zalania zdarzały się także w okresie międzywojennym, w PRL. Potem nastąpił spokojniejszy okres, który trochę uspił społeczeństwo. Powstawały co prawda wały i zbiorniki retencyjne, ale na taki żywioł jak w 1997 r. nikt nie był przygotowany. Pamiętam, że jeszcze przed wystąpieniem fali powodziowej w Warszawie deszcz padał dzień i noc

przez tydzień. Nawet jeśli określenie „powódź tysiąclecia” jest na wyrost, to „powódź stulecia” z pewnością nie.

Przy okazji tamtej katastrofy zapoczątkowano największe w historii Polski badania psychologiczne, dotyczące stresu pourazowego (PTSD). Pan w nich uczestniczył, obok naukowców z ośmiu ośrodków, także zagranicznych.

Powódź przyczyniła się do tego, że ówczesny Komitet Badań Naukowych ufundował specjalny grant nazwany „Człowiek w obliczu kataklizmu”. Uzyskał go prof. Jan Strelau, mój ówczesny szef i jeden z największych polskich psychologów, z tym właśnie założeniem, że w prace włączą się specjaliści z różnych dziedzin i ośrodków.

Czym był spowodowany taki rozmach?

Z perspektywy badawczej podobne zdarzenia to okazja do unikatowych obserwacji. Niemal w tym samym czasie tym samym doświadczeniem dotkniętych zostaje wielu ludzi, jest więc możliwość rejestrowania i porównywania

reakcji pojedynczych osób, rodzin czy całych społeczności lokalnych. Był wśród nas m.in. prof. Krzysztof Kaniasty, pracujący wtedy na Uniwersytecie Opolskim i Uniwersytecie w Pensylwanii, który wcześniej prowadził badania dotyczące katastrof w USA i Meksyku. Sprawdzał, jak podobne sytuacje wpływają na społeczności. Prace naszego zespołu, z Uniwersytetu Warszawskiego, dotyczyły reakcji na poziomie indywidualnym i rodzinnym. Zapoczątkowany wtedy projekt był kontynuowany w dalszych latach, w których powódzie nadal nawiedzały Polskę, by wspomnieć tylko 2010 r., kiedy na wielką skalę ucierpieli mieszkańcy Podkarpacia, okolic Sandomierza. Potem porównywalnie dramatyczne powódzie ustały, ale niemal co roku pojawiają się inne kataklizmy – wichury, trąby powietrzne. Każde z tych wydarzeń ma swoją specyfikę, ale ma też wiele elementów wspólnych – zagrożenie życia, urazy, zapotrzebowania na wsparcie, straty materialne odczuwane przez lata.

Co najważniejsze ustaliły państwa zespoły?

Że kataklizm naturalny to katastrofa społeczna. Zarówno w powodu fizycznego zniszczenia miejsc spotkań, obyczajów, jak i dewastacji relacji sąsiedzkich, więzi. Pod tym względem w Polsce zadziałały te same mechanizmy co w innych częściach świata, choć na poziomie szczegółowym ujawniło się wiele różnic.

Ale przecież w Polsce w 1997 r. nie od razu doszło do społecznej katastrofy. Działania władz budziły liczne kontrowersje, ale na pomoc pospieszyło wiele organizacji, instytucji oraz zwykłych ludzi przekazujących dary, pieniądze, angażujących się w pomoc. Jest takie przejmujące zdjęcie Andrzeja Iwańczuka: mężczyzna zanurzony w wodzie po pachy, trzymający bochenki chleba. Na okładce POLITYKI zostało podpisane „Trzecia Solidarność”.

To akurat jest typowe dla dynamiki reakcji na podobne zdarzenia. Na początku jest okres zwany „miodowym miesiącem” – ludzie sobie pomagają, także wewnątrz dotkniętych tragedią społeczności, atmosfera jest bardzo serdeczna. Czasem to się udaje zachować, tak jak we Wrocławiu, o którym mówi się, że doświadczenie powodzi miało dla mieszkańców charakter formacyjny, tworzący wspólnotę. Prawdopodobnie to kwestia tego, czy ujawnia się lokalni liderzy, zdolni skrzyknąć mieszkańców, zorganizować ich i mobilizować przez dłuższy czas. Ale są też społeczności od razu wchodzące w fazę destrukcji.

Od czego to zależy?

Między innymi od poziomu zasobności. Powodzianie w jednej z miejscowości opowiadali nam, że przygotowali się na falę – zebrali ciągniki z całej wioski, zgromadzili cenne przedmioty, żeby je ochronić, wywieźli na pobliską górę, a sami schronili się na strychach. A siedząc tam, słyszeli silniki motorówek, którymi szabrownicy podpływali, żeby zabrać im rzeczy. I nic nie mogli zrobić. To też część prawdy o Polsce tamtego czasu. W fazie destrukcji zaczyna się walka o środki, podglądanie, kto sobie załatwił więcej, rozdrażnienie, bo trzeba wykonywać normalną pracę, a sił brak. Do tego koszmarnie otoczenie – hałdy mebli, zerwanych podłóg – pralki, lodówki, samochody, łóżka, ubrania – nic z tego nie wolno już używać, więc czeka na wywiezienie na zdewastowanych chodnikach i drogach. Zaczyna się faza konfliktów sąsiedzkich, rozliczeń, wyrzutów. W naszych rozmowach często powtarzało się przekonanie, że pomoc udzielana jest niesprawiedliwie, nierównomiernie.

Czy nie jest tak, że ludzie zawsze są rozszaleni, bo według nich dostali za mało?

Rzeczywiście, ludzie zwykle mają poczucie krzywdy. Ale dodatkowo uzasadnia je brak jasnych zasad udzielania pomocy, który u nas do dziś jest normą. Tu zresztą pojawia się jedna z różnic między polskimi reakcjami w takich sytuacjach a dominującymi w innych częściach świata. Prof. Krzysztof Kaniasty nazywa to „wzorem pominięcia”. W naszym kraju szczególnie troszczymy się o dzieci i młodzież, ale znacznie mniej chętnie pomagamy seniorom.

W „szanującej siwiznę” Polsce? Trudno uwierzyć.

A jednak. I to ma konsekwencje. W badaniach porównawczych stwierdzono, że na kataklizmy pogodowe bardzo silnym stresem reagują dzieci w młodszym wieku szkolnym. W Stanach Zjednoczonych układa się to w relację krzywoliniową. Młodzież już radzi sobie bardzo dobrze, najgorzej – ludzie w wieku 40–60 lat, którzy muszą odrabiać straty, zaciągając kredyty, a znów lepiej – seniorzy, którzy mają emerytury, są zabezpieczeni. A w Polsce relacja u powodzian (poza grupą zestresowanych najmłodszych) jest prostoliniowa – im starsi, tym gorzej sobie radzą. Seniorzy mają mało sił, pieniędzy, nie potrafią zabiegać o pomoc, więc jej nie dostają. Systemowo się ich lekceważy. Co ciekawe, gdy robiliśmy badania w trakcie pandemii Covid-19, wychodząc z założenia, że to też specyficzna sytuacja traumatyczna, wyszło

nam, że seniorzy zupełnie dobrze funkcjonowali w kwarantannie, choć tęsknili do wnuków. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że ich sytuacja materialna nie była zagrożona.

Sytuacja materialna ma wpływ na rozwój PTSD?

Ma wielki wpływ na zdrowienie. Bo początkowy zły stan emocjonalny ofiar takich zdarzeń jak powódź jest normalną reakcją na nienormalne zdarzenie – w końcu jak ma się czuć ktoś, kto musi uciekać, porzucić cały dobytek? Jedna z rodzin mieszkająca w górach opowiadała nam, że chcąc schronić się przed falą, zdążyli tylko wybiec z domu położonym na stoku. Planowali przeskoczyć przez ogrodzenie i biec wyżej, ale fala ich dopadła przy siatce. I wisieli na niej, rodzice z dziećmi, przez przynajmniej dwie godziny. Gdyby przez ten czas ktokolwiek się puścił, utonąłby. Silny stres po takim przeżyciu jest zrozumiały, ale zwykle schodzi w ciągu miesiąca do trzech. Dlatego też uważa się, że ten pierwszy okres to nie jest czas do interwencji psychologicznych. Prowadzenie ich wobec wszystkich ofiar na tym etapie – co władze czy koordynatorzy pomocy czasem zarządzają, chcąc ▶

REKLAMA



Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
fax. (052) 398-56-06
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,
chroniczne zespoły bólowe
kręgosłupa i głowy, powikłania
choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa,
następstwa i powikłania urazów
układu kostnego, więzadeł i stawów,
migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach
ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

► dobrze wypaść w mediach – bywa nie tylko nieskuteczne, ale wręcz szkodliwe. Dziś dzięki badaniom wiemy, że w tym okresie potrzebne są przede wszystkim dobrze zorganizowane służby i wolontariusze, którzy zapewniają pomoc materialną i rzeczową oraz delikatnie sondują, czy ktoś od razu wymaga psychologicznego wsparcia. Powinni porozmawiać po ludzku, serdecznie, wypytać, współbrzmieć emocjonalnie, działać raczej na zasadzie „Najpierw daję ci jeść, a potem pytam, czy jesteś smutny”. Wzór kliniczny pojawia się u części osób dopiero po pewnym czasie i to jest moment oraz grupa, która wymaga specjalistycznej interwencji.

Co się dzieje z człowiekiem w trakcie PTSD?

Interpretacje biologiczne są zróżnicowane. Zasadnicze znaczenie ma nieprzewidywalność, nagłość silnego stresu. Inaczej jest, gdy człowiek może się przygotować, np. do walki lub startu w zawodach jako sportowiec – stopniowo podnosi się poziom kortyzolu w organizmie. A tu następuje wystrzał neuroprzekazników, mózg jest potwornie pobudzony, a organizm biologicznie – nie. Inne podejścia skupiają się na specyficznej blokadzie – wydarzenia generuje bardzo silne emocje, poczucie bezradności i negatywnie rozumianej niezwykłości, niesprawiedliwości losu. I o ile zazwyczaj człowiek odtwarza w pamięci taką sytuację, ale z czasem coraz rzadziej, aż emocje wygasają – to tu stresor wciąż działa, choć sytuacja minęła. Być może to wydarzenie w specyficzny sposób koduje się w umyśle, tak, że nie mamy do niego dostępu – odtwarza się, ale nie jesteśmy w stanie nad nim pracować, przetworzyć go. To z kolei powoduje jeszcze silniejszy stres, narastają zmiany somatyczne, ryzyko chorób układu krążenia, zakłóceniu ulega uwaga, cały czas pochłonięta zdarzeniem. Jedna z pań, korzystająca z naszej pomocy po traumie, powiedziała po terapii: „Wiecie państwo, ja teraz zobaczyłam, jak przez ostatnie miesiące urosły moje wnuki, z którymi przecież regularnie się spotykałam”.

Jakby się obudziła ze snu.

Tak. Długotrwałe PTSD powoduje konsekwencje zarówno w funkcjonowaniu społecznym, zawodowym, somatycznym, jak i rodzinnym.

Kto poza osobami starszymi jest szczególnie narażony na ten syndrom?

Kobiety. Stanowią dwie na trzy osoby dotknięte PTSD. Biologicznie są bardziej podatne na zaburzenia lękowe, a nakładają się na to role społeczne, kultura. Typowe jest też, że stresogenne sytuacje gorzej przechodzą członkowie mniejszości

etnicznych i kulturowych, którzy dostają mniej systemowej pomocy. Bardzo ważna jest również sytuacja rodzinna. Jeśli któryś z członków rodziny ma objawy zaburzeń potraumatycznych, pozostali też funkcjonują gorzej.

Podobno szczególnie znaczenie ma stan ojca?

To zależy. W badaniach anglosaskich większe znaczenie ma stan matki, głównie dlatego, że w USA ojcowie często są po prostu nieobecni – zarabiają na utrzymanie rodziny. W naszych badaniach ujawniła się taka prawidłowość, że najczęściej objawów stresu potraumatycznego miały matki, później – ojcowie, córki, a najmniej – synowie. Jednak we wszystkich rodzinach ojcowie i matki byli do siebie bardzo podobni – niejako „zarażali się” stresem. Ale siła wpływu na całą rodzinę zależała od wieku dziecka. Jeśli dzieci były małe, kluczowe było to, w jakim stanie jest matka. W rodzinach ze starszymi dziećmi istotniejszy był stan ojców. To ważne, by wiedzieć, do kogo w pierwszej kolejności kierować pomoc, choć niewątpliwie jest ona potrzebna całym rodzinom.

Czy z PTSD można się „samemu wyleczyć”?

Z badań, które robiliśmy, powracając na miejsce powodzi, wynikało, że kluczowe jest kilka pierwszych miesięcy. Jeśli ktoś nie wrócił do równowagi przez ten czas, raczej jej nie osiągnie bez oddziaływań psychoterapeutycznych. Większość powodzian powraca do normalnego funkcjonowania – negatywne emocje opadają z czasem i nie przechodzą w objawy zaburzeń potraumatycznych.

Ilu z powodzian doznało PTSD?

W Polsce te oszacowania są wyższe niż w innych krajach. W skali świata uważa się, że do pięciu procent osób, które ucierpiały w wyniku katastrof naturalnych, zmagają się z PTSD. U nas – może przez to, że jesteśmy strauumatyzowaną populacją, że nie udzielamy sobie pomocy, że zasobność polskich rodzin jest niewystarczająca, odczyty te to nawet 40 proc. Traktuję to ostrożnie, bo duże znaczenie ma sposób doboru grupy

badanej. Uważam, że kilkanaście procent to realny odsetek – te populacje były więc bardzo dotknięte zaburzeniami.

Na ile to, czego dowiedzieliśmy się za sprawą tamtych badań, jest dziś wykorzystywane, by pomagać ofiarom kolejnych traum i kataklizmów?

Na pewno badania rozpoczęte przy okazji powodzi z 1997 r. spowodowały duży wzrost zainteresowania PTSD i świadomości tego problemu. Wiele ośrodków prowadziło kolejne prace np. nad policjantami i pracownikami innych służb mundurowych, w których życiu wydarzenia stresogenne są częścią codzienności. Nasz zespół zajmował się w kolejnych latach ofiarami wypadków komunikacyjnych. Ale z przykrością stwierdzam, że naukowe ustalenia wciąż nie są wykorzystywane przez tych, którzy decydują o tym, w jakim sposób i komu udzielać wsparcia. Nie trafia argumentacja traumatologów, by nie wysłać rzesz psychoterapeutów do społeczności bezpośrednio po traumie, a zamiast tego zadbać o to, żeby pomoc dla najbardziej potrzebujących była dostępna odpowiednio długo. To tym smutniejsze, że udało nam się już wypracować metody psychoterapii lecące z PTSD.

Ile czasu trwa takie leczenie?

To 10–12 cotygodniowych sesji, a więc ograniczony okres. W ten sposób bylibyśmy w stanie pomagać również Ukraincom, którzy zapłacą straszną, także emocjonalną cenę za konieczność udziału w wojnie rozpętanej przez Rosję. Ale i tutaj nie ma sygnałów o organizacji wsparcia na poziomie systemowym. Być może trzeba będzie je zapewniać za pośrednictwem organizacji pozarządowych. Pod względem zdolności mobilizacji społeczeństwa obywatelskiego w sytuacji kryzysu jest podobnie, jak było w 1997 r. Ale na poziomie resortów reakcja w sytuacjach trudnych wydaje się sprowadzać do rozmowy: „Panie dyrektorze, co pan proponuje?”. „To i to”. „No, to tak zrobimy”. Nie korzysta się z szerszych ustaleń badawczych o tym, komu udzielać pomocy i jak to organizować.

Szkoda – również dlatego, że wiedza zyskana w trakcie badań związanych z wielką powodzią w pewnym stopniu nadawała sens cierpieniu tamtych ofiar.

Nikt tego nie bierze pod uwagę – może tu i ówdzie na poziomie lokalnych władz i organizacji... Co do zasady, wciąż działa to tak: jest katastrofa, wysyła się doraźne ekipy, żeby można było powiedzieć w mediach: „Zrobiliśmy, co się dało. Psycholog był!”. A potem ludzie zostają sami.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA



Prof. dr hab. **Bogdan Zawadzki** jest pracownikiem Katedry Psychologii Różnic Indywidualnych Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Oprócz psychologii traumatycznego stresu zajmuje się także diagnostyką osobowości oraz psychometrią.

© LESZEK ZYCH

Głosy z piekła

Czy człowiek, który przetrwał 10 miesięcy w jednym z najcięższych więzień współczesnego świata, może mieć nadzieję na odbudowę rodziny w Polsce?

ZBIGNIEW BOREK



Aleksandr Repetiło wkrótce będzie zeznawał przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w sprawie łamania praw człowieka w donieckim więzieniu Izolacja (na fot. poniżej).



Przyjechałem, żeby zacząć nowe życie, ale przedsiębiorca, który obiecał pracę, wystawił mnie do wiatru. Nie znam polskiego, śpię w samochodzie, pieniądze się kończą. Nie wiem, jak tu przeżyć, nie mówiąc o ściągnięciu żony i dzieci z Ukrainy – poskarżył się nam Aleksandr Repetiło. Był bohaterem naszego reportażu o nieludzkim więzieniu, a teraz potraktował POLITYKĘ jako ostatnią deskę ratunku.

Tajne więzienie

„Działo się to w Doniecku, przy ulicy Switłoho Szliahu 3. Nazwę Izolacja więzienie zawdzięcza temu, że od lat 50. mieściła się tu fabryka materiałów izolacyjnych produkująca wełnę mineralną. Zbankrutowała w latach 90., a w 2010 r. budynki przejęła społeczna fundacja, która zajmowała się projektami kulturalnymi. Rozdział kulturalny w życiu fabryki zakończył się 9 czerwca w 2014 r., gdy na jej teren wkroczyli uzbrojeni separatyści Donieckiej Republiki Ludowej (DNR). Wielkie hale produkcyjne, pojemne schrony przeciwatomowe, budynki administracyjne sprawiły, że Izolacja spodobała się wojskowym. Tajne więzienie zajmowało tylko część kompleksu. Na pozostałym terenie był obóz szkoleniowy dla ochotników wojska DNR. W halach ukrywano ciężki sprzęt: czołgi, transportery opancerzone, czyli to, czego zgodnie z porozumieniami o zawieszeniu broni nie powinno w Doniecku być” – pisaliśmy w reportażu „Przypadek izolowany” (POLITYKA 49/21).

O tajnym więzieniu zrobiło się głośno, gdy na wolność wychodzili kolejni więźniowie. Najczęściej wymieniano ich na „bojowników” DNR, którzy trafili do ukraińskiej niewoli. Najślynniejszym z uwolnionych był Stanisław Asiejew. Dziennikarz trafił do więzienia w 2017 r., bo w Radiu Swoboda i „Ukraińskiej Prawdzie” zamieszczał relacje z okupowanego Doniecka, które „stawały w złym świetle władze DNR”. W więzieniu robił notatki na skrawkach kartonów, które znalazł w celi. Zabrali mu wszystkie, ale wcześniej nauczył ▶

© ZBIGNIEW BOREK, AN

► się ich na pamięć. Już na wolności Asiejew napisał książkę „Świetlista droga. Historia pewnego obozu koncentracyjnego”: „Przez Izolację przeszły setki ludzi, z których większość była gwałcona, torturowana prądem elektrycznym i poniżana. Więźniowie zmuszani są do ciężkiej pracy przymusowej. Znane są przypadki zabójstw”.

Torturowany jako szpieg

Repetiło, 38-letni walcownik z Doniecka, był więziony w Izolacji w 2017 r. przez dziesięć miesięcy. Tak relacjonował jedno ze „spotkań” z katem więzienia Denysem Kulikowskim (występuje też jako Denis Kulik), nazywanym Pałyczem: „Wszedł do mojej celi, jeszcze pijany. Zapadł na ciebie wyrok: śmierć przez rozstrzelanie. Wychodzimy – powiedział do mnie i wymierzył z kałasznikowa. Odległość 10 m. Oczekiwanie. I nagle pojedynczy strzał nad głową. A potem już śmiech”. I dodawał: „To był straszny człowiek. Czasem śledczy mówili mu: Pałycz, tego już bić nie trzeba, powiedział wszystko. Ale on na to nie zważał. Tłukł, sprawiało mu przyjemność, gdy słyszał chrzęst łamanych kości”.

Pałycz lubił więzić całe rodziny. Potrafił zmuszać męża do zeznań, grożąc zgwałceniem żony lub namawiać żonę do seksu w zamian za zaprzestanie torturowania męża. „Pamiętam, jak zaszedł do jednego z więźniów z herbatą i ciastem. Jutro cię rozstrzelamy, to twoja ostatnia kolacja. Zostawił mi Pismo Święte i wyszedł. Człowiek modlił się przez całą noc. Błagał, żeby jakoś załatwić przekazanie pieniędzy chorej na raka żonie. Rano okazało się, że wyrok śmierci to wymysł Pałycza” – opowiadał Repetiło. W jego celi siedział np. członek partyzantki DNR, 35-letni mężczyzna o pseudonimie Dub. „Bili wszystkich, ale jego tak mocno, że musieli mu coś w środku uszkodzić. Na ciele pojawiły się plamy. Wieczorem Dub zaczął majaczyć, rozmawiał ze swoją żoną i córką, chociaż w celi byliśmy tylko my, potem charczał. Zrozumieliśmy, że umiera”.

Więźniowie zaczęli stukać w drzwi celi. Otworzyły się po 1,5 godziny. W drzwiach stanął Kulikowski. „Wyglądała na zachwyconego. Kazał wyprowadzić Duba. Zapalisz?” – włożył papierosa do ust umierającego, któremu już widać było tylko białka oczu. I odprawił nas. Potem usłyszeliśmy, że strażnicy wynoszą ciało” – opowiadał Repetiło w listopadzie 2021 r., gdy był jeszcze w Ukrainie.

W Donbasie nie krył się z proukraińskimi poglądami, a jego prorosyjscy sąsiedzi donieśli też, że informował

ukraińskie wojska o ruchach separatystów i Rosjan. Został uznany za szpiega, pojmany i osadzony w piwnicy Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MGB), bezpieki samozwańczej republiki, przy ul. Tarasa Szewczenki 26 w Doniecku. – *Trzy dni nie dostawaliśmy jedzenia ani wody, nie mogliśmy wyjść do toalety. Podglądała nas kamera, jak ktoś siadał choć na chwilę, wpadali strażnicy i bili* – opowiada. Każdy osadzony miał swój „pakiet”: papierową torbę, plastikową reklamówkę, poszewkę, cokolwiek, byle dało się włożyć na głowę i zasłonić oczy. – *Jedni „pakiety” musieli nosić cały czas, a inni, jak ja, zakładać, gdy słyszeli szcęk klucza w zamku, żeby nie widzieć twarzy strażników*. Kilka razy został pobity pięściami i ręką pistoletu, ale regularne tortury zaczęły się w Izolacji.

Tam też obowiązywały „pakiety”. Na dzień dobry Pałycz zapytał innych strażników, czy chcą Repetiło zgwałcić. – *Zaśmiali się, że przyjdzie czas. Zaprowadzili mnie do celi w piwnicy, gdzie było jeszcze osiem osób. W dzień zszedł do nas lekarz. Wypytywał o zdrowie – nie, żeby nas leczyć, ale „bezpiecznie” torturować. Gdy jeden z nas omal nie umarł w trakcie brutalnego przesłuchania, lekarz uznał, że to wina więźnia: miał astmę, a nie powiedział. „Wybądźcie mądrzejsi” – usłyszeliśmy*.

Mądrość Repetiły w Izolacji polegała na tym, że ze wszystkim się zgadzał. Jak pytali, czy donosił o ruchach rosyjskich wojsk, odpowiadał: „Jak wam zależy, to zeznaję, że donosiłem”. Jak oni, że naprowadzał ukraińską artylerię, to on: „Jak wam zależy, to naprowadzałem”. – *Ale chcieli, żebym ja mówił „prawdę”, i znów bili*. Jak mówi, gorsze było wideo: na użytek ruskiej propagandy przyznawał się do rzeczy, których nie zrobił, a oni to nagrywali, albo oglądał filmik, jak kilku gwałci kobietę. „Sprowadzimy twoją żonę, nagramy to samo i puścimy innym” – mówili. Trudno było nie wierzyć, bo nocami słyszał krzyki gwałconych. Grozili mu też rażeniem prądem: – *Przynieśli do celi stary wojskowy aparat telefoniczny na korbkę, który do tego służył*.

Chętniej niż o udręce własnej opowiada o cudzej. 70-letni górnik mimo tortur do niczego się nie przyznawał. Zmiękł, gdy jego żonę, też starszą, sprowadzili do Izolacji, rozebrali do naga, przywiązali i zagrozili zgwałceniem na jego oczach. Innego pobili tak, że przez pięć dni nie mógł chodzić, umierał w celi. Osadzeni wezwali strażników. To zawsze mogło się skończyć biciem, ale tym razem Pałycz kazał im uczyć

umierającego chodzić. Gdy kolejnego strażnicy załuckli na śmierć, jego żonie przekazali, że wyjechał do Rosji. Repetiło dowiedział się o tym już na wolności.

Bliźniacze relacje znalazły się we wstrząsającym raporcie „Izolacja. Głosy z piwnicy”, jaki dla europarlamentarnej Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów przygotowała polska dziennikarka Monika Andruszewska i ukraiński prawnik Witalij Czekało. W okupowanym Donbasie na masową skalę torturowani są jeńcy – to główna teza raportu. „Podczas trwającego od 2014 r. konfliktu zbrojnego na Donbasie do niewoli u wspieranych przez Rosję separatystów trafiło niemal 4 tys. obywateli Ukrainy. Skupiono się na wydarzeniach na terenie Zakładu Materiałów Izolacyjnych w Doniecku wykorzystywanego jako areszt śledczy »Izolacja«, ponieważ skala łamania praw człowieka w tym miejscu jest wręcz ewenementem na skalę światową” – czytamy.

Krzyki, jęki, płacz

W raporcie zebrano świadectwa 16 osób przetrzymywanych tam w latach 2016–19. Ze względu na ochronę prywatności i bezpieczeństwa ofiary są oznaczone numerami oraz literą C (jak cywil). Nie ma wśród nich Repetiły, ale na podstawie opisów poznaje, o kogo chodzi.

Ofiara C1: W piwnicy Izolacji bojówkarze od razu zaczęli mnie torturować. Zdjęli mi kajdanki i rozebrali do naga. Początkowo nie zdejmowali mi z głowy plastikowej reklamówki. Reklamówka była zawinięta taśmą klejącą, aby utrudnić mi oddychanie (...) kilka razy traciłem przytomność.

Ofiara C2: W każdej chwili mógł wejść pijany bojówkarz i zacząć tak po prostu bić dla własnej przyjemności. Tam było kilka osób, które lubiły to robić.

Ofiara C12: Słyszałam, jak wyżej, na piętrze, znęcano się nad kobietami i mężczyznami. Słysząc było krzyki, jęki i płacz kobiet. Dwukrotnie przyprawiono do naszej celi pewną kobietę, potem następną. Były dotkliwie pobite.

Ofiara C1: Położyli mnie na metalowym stole, mój tułów i kończyny unieruchomili, przywiązując taśmą klejącą. Razili mnie „tapikiem” – wojskowym telefonem polowym TAP-1M – metalowe zaciski zakładali mi na różne części ciała: kończyny i palce u rąk i nóg, głowę, uszy, genitalia itp. Odpowiednie kręcenie dynamem (prądnica) regulowało napięcie prądu elektrycznego.

Ofiara C14: Spodnie i majtki ściągnięto mi do kolan. Z miski wylano mi zimną wodę najpierw na twarz, a potem

oblali mi ciało od stóp do głowy. Do prąca i moszny, palców u nóg, rąk przyłożono mi metalowe klamry lub zszywki. Do skroni podłączyli mi metalowy drut. Zaczęli włączać prąd.

Ofiara C4: Grozili mojej ówczesnej dziewczynie. Mówili: Przywieziemy twoją jałówkę i zabawimy się z nią wszyscy, a ty będziesz siedzieć i patrzeć, jak sadzamy ją na „tapik”.

Ofiara C1: Cewnik wbili mi do tętnicy szyjnej i puszczali prąd. Wydawało się, że przepływa przez moje serce. Moje płuca opuchły i nie mogłem oddychać. Cewnik wprowadzali również do odbytu i doprowadzono prąd elektryczny do odbytnicy. Jako narzędzia torturu używano również paralizatora. Przystawiali go do dowolnych części ciała i dokonywali wyładowań elektrycznych.

Ofiara C2: Przez cały ten czas naliczyłem pięć złamań żeber: z częstotliwością raz na dwa lub trzy miesiące łamali mi żebro uderzeniami.

Ofiara C1: Potem postawili mnie na tzw. stretching – rozciąganie (...). Moje ręce zostały uniesione i przytwierdzone do rury, która była przymocowana do ściany powyżej wzrostu człowieka, moje nogi rozłożyli w różne strony na lewo i prawo. Stałem w tej pozycji przez trzy doby. Nie wolno mi było jeść, pić ani się wypróżnić. Do celi wchodziła strażnica i bojówkarze „Komitetu Bezpieczeństwa Państwa DNR” i bili mnie rękami, nogami. Kiedy byłem wyczerpany, podciągano mnie i stawiano znowu. Innym zatrzymanym nie wolno było mi pomagać ani komunikować się ze mną.

W raporcie dla Parlamentu Europejskiego byli więźniowie opowiadający o „ćwiczebnych” demonstracjach:

musieli udawać protestujących, żeby siły porządkowe brutalnie ich pacyfikowały. O przymusowej pracy w Izolacji: zbieraniu złomu czy przepakowywaniu przeterminowanej żywności. – *Szła do Rosji na sprzedaż jako świeża* – tłumaczy Repetiło, który też przy tym pracował.

Drugie życie

Pod koniec czerwca 2022 r. Repetiło wspomina już w Polsce: – *W donbaskich więzieniach spędziłem ponad dwa lata. Wyszedłem na wolność dzięki amnestii. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że skazali mnie na 16 lat za szpiegostwo. Kiedy i jak, nie wiem, na żadnym procesie nie byłem.* O Izolacji opowiedział dziennikarzom POLITYKI i „Washington Post”, jego relacje dotarły też do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Tak trafił na czarną listę separatystów i Rosjan. – *Gdybym podjął walkę w ukraińskim wojsku i trafił do niewoli, rozstrzelaliby mnie za to od razu i bez wahania.*

Rosyjskie bombardowania zmioły jego dom w Donbasie i hutę, gdzie pracował. Z żoną doszli do wniosku, że w Ukrainie nic dobrego ich nie czeka. – *Póki trwa wojna, nie jestem tam bezpieczny, a przeze mnie też żona i dzieci. Muszę myśleć o ich przyszłości* – tak tłumaczy powody ucieczki do Polski. Ucieczki – bo w Ukrainie obowiązuje powszechna mobilizacja wojskowa, 38-latek nie ma szans na zwykły wyjazd z kraju. Repetiło przekroczył więc granicę w Dorohusku jako opiekun niepełnosprawnego brata. Ten z Polski trafił do Francji, gdzie żyje ich siostra. Aleksandr nie chciał oddalić się od Ukrainy tak bardzo, wolałby zacząć

z rodziną nowe życie w Polsce. Wszystko sobie zaplanowali: popracuje, żeby się trochę ustabilizować, ściągnie żonę, a potem jak najszybciej dzieci (do tego czasu zostaną z babcią na zachodzie Ukrainy). I już na starcie powinna mu się noga.

Właściwie to mu ją podstawiono: przedsiębiorca, który obiecał zatrudnienie w zachodniej Polsce, poinformował po prostu, że pracy nie ma i zostawił go tam samemu sobie. Po sygnale od POLITYKI Jerzy Korolewicz, prezes Zachodniej Izby Przemysłowo-Handlowej w Gorzowie Wielkopolskim, błyskawicznie zorganizował grupę wsparcia dla Repetiły. Urzędnicy wojewody załatwili mu hotel z wyżywieniem (Waldemar Gredka, szef zarządzania kryzysowego: – *Uchodźca może podejść na ulicy do policjanta albo strażaka czy wejść do urzędu gminy i też dostanie pomoc*), holding Zremb Gorzów dał pracę w pokrewnym zawodzie, Izba dorzuciła zapomogę „na start”.

Aleksandr Repetiło jest poruszony tym, ile osób postanowiło mu pomóc. Mówi, że o bratniej postawie Polaków do tej pory tylko słyszał, teraz przekonuje się na własnej skórze. W drodze do hotelu opowiada, że 14-letni syn Jegor marzy o PlayStation, a córka, sześciolatka Romana, o psie. – *Będzie to w Polsce na nich czekać* – uśmiecha się. Nazajutrz zacznie załatwiać formalności u pracodawcy, żeby jak najszybciej samodzielnie stanąć na nogi. Wkrótce będzie też zeznawał przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka w Strasburgu w sprawie łamania praw człowieka w Izolacji.

ZBIGNIEW BOREK

REKLAMA



KUJAWSKO-POMORSKI
TEATR MUZYCZNY
W TORUNIU
DYREKTOR:
ANNA WOLEK

P · R · Z · Y · J · A · C · I · E · L · E

THE MUSICAL PARODY

UNAUTHORIZED

Muzyczna parodia kultowego
sitcomu „Friends”
w Teatrze Muzycznym w Toruniu!

10 sezonów serialu w zadziwiających
aranżacjach muzycznych.

**Bilety na wakacyjne spektakle
dostępne na:
www.teatrmuzyczny.torun.pl**

Stan pustostanu

1,8 mln mieszkań w Polsce nie ma lokatorów, nawet nielegalnych. To aż 12 proc. wszystkich zasobów. Jednocześnie wiele młodych rodzin nie widzi żadnych szans na dach nad głową.

JOANNA SOLSKA



W

wiadomość o prawie dwóch milionach pustych lokali mieszkalnych padła z ust Dominika Rozkruta, prezesa GUS. Dane pochodzą z ubiegłorocznego Narodowego Spisu Powszechnego. Są dokładne także dzięki temu, że statystycy do ich zebrania korzystali m.in. z liczników energii elektrycznej. Więcej szczegółów na temat metodologii GUS zdradzi jesienią. Do tego czasu można więc się tylko zastanawiać.

Czy, na przykład, chodzi o liczniki wskazujące brak zużycia prądu? A jeśli tak, to w ciągu jakiego okresu? Gdyby za niezamieszkanie uznać lokal, w którym z energii elektrycznej nie korzysta się co najmniej przez pół roku, to pustostanami byłyby tak zwane drugie domy, do których przyjeżdża się tylko na wakacyjny wypoczynek. To nie one jednak powinny bulwersować najbardziej. Gdyby drugie domy nazywano pustostanami, to w Niemczech byłoby ich nawet 20 proc., a w Hiszpanii 30 proc. Ostatnio wiele wakacyjnych domów buduje się także w Bułgarii.

Spisek katastralny

Internauci podejrzewają podstęp. Pytają, z jakimi jeszcze danymi porównano stany liczników, bo że z listami meldunkowymi to na pewno. Niektórzy twierdzą, że cały spis robiony był po to, żeby mieć obywateli na widelcu i teraz wprowadzić kataster, czyli podatek od wartości nieruchomości. W domyśle – danina najbardziej uderzy po kieszeni właścicieli kilku mieszkań, zwłaszcza tych, w których prądu się nie zużywa, czyli nikt w nich nie mieszka. A więc nie w osoby, które zainvestowały w kolejne mieszkanie dla zarobku z najmu, lecz w te inwestujące w nieruchomości, by ochronić dorobek życia topniejący w banku. Zawiniła zła polityka monetarna, teraz państwo uderzy w jej ofiary. Wynajmujący lokal w celach zarobkowych mogliby wtedy spać spokojnie, właściciele drugich domów już nie.

Pojawił się też kolejny trop wiodący do Ministerstwa Rozwoju i Technologii. Pustostany nie są niczyje, mają właścicieli, którzy powinni o nie dbać, ale tego nie robią. Wiceminister Waldemar Buda stwierdził, że głównym winowajcą tego stanu rzeczy są samorządy lokalne. Ujawnił, że ponad 60 proc. pustostanów należy do gmin. To one marnotrawią cenne zasoby. Najwięcej pustostanów jest w Warszawie i Łodzi. Wszystkich lokali mieszkalnych mamy w kraju 15,3 mln, czyli pustkami świeci ok. 12 proc. zasobów, a są województwa, w których lokatorów nie ma aż 16 proc. lokali. Nie ujawnił, co rząd zamierza z tym fantem zrobić.

Do czasu ogłoszenia liczby pustostanów przez GUS niczego wiarygodnego na temat ich liczby nie wiedzieliśmy. Chociaż próbował to badać Instytut Rozwoju Miast i Regionów, wysyłając ankiety do wszystkich publicznych właścicieli zasobów mieszkalnych: gmin, spółek Skarbu Państwa, wspólnot mieszkaniowych, Kościołów, organizacji pozarządowych, syndyków, a nawet do agencji obrotu nieruchomości. Do tych ostatnich dlatego, że przez dłuższy czas mogą być dysponentami lokali wystawionych przez właścicieli na sprzedaż. W 80 proc. już nikt w nich nie mieszka, czekają na nabywcę. Rocznie właściciele zmieniają ponad 300 tys. mieszkań, ok. 250 tys. okresowo może być bez lokatorów. Te pustostany nie martwią, zaludnią się, gdy mieszkańcy znajdą nowego nabywcę.

Portal Komunalni.pl był jednak mocno rozczarowany wiarygodnością zebranych w ankiecie danych. Na pytanie o pustostany odpowiedziało zaledwie 199 gmin (na ponad 2 tys.), 24 spółki Skarbu Państwa, jedna wspólnota. W sumie 3 proc.

zapytanych. Do zebranych danych należy więc podchodzić z dużym dystansem. Wynika z nich m.in., że na koniec 2020 r. zasób gminnych lokali mieszkalnych w Warszawie wynosił 81 310, z czego aż 4620 stanowiły pustostany. W Kielcach pustostanów miało być 142.

Państwu się nie opłaci

Lista pustostanów zrobiona przez GUS jest długa, ale nie pełna. Zabrakło na niej mieszkań bez lokatorów, których właścicielami prawnymi są spółki Skarbu Państwa, na czele z PKP Nieruchomości. Kontrolowana przez państwo spółka sprywatyzowała lokale w lepszym stanie, zostały jej te najgorsze: często ulokowane przy dworcach, przeważnie w złym stanie technicznym, powoli niszczejące. – *Przy różnych konsultacjach społecznych zwracają na nie uwagę okoliczni mieszkańcy, uważają, że stanowią zagrożenie* – mówi Hanna Milewska-Wilk z Instytutu Rozwoju Miast i Regionów (IRMiR).

Stają się pijackimi melinami, ludzie boją się, że może wybuchnąć w nich pożar. Stanowią problematyczne sąsiedztwo. Kolej jednak nie jest zainteresowana ich wynajmem. Korzyści nikłe, dużo zachodu, trzeba by inwestować w remont. Dla kontrolowanej przez państwo firmy o ogromnych obrotach te puste, niszczejące mieszkania to margines działalności, któremu nie poświęca uwagi. Chociaż wydawałoby się, że do tego celu powołała specjalnie spółkę-córkę PKP Nieruchomości. – *Do niedawna zajmowała się głównie sprzedażą kolejowej ziemi deweloperom, teraz grunty przejął Krajowy Zasób Nieruchomości* – informuje pracownik PKP, który wolałby pozostać anonimowy. Puste lokale zwykle czekają na realizację kosztownego programu rewitalizacji zabytków, ponieważ ich wartość historyczna bywa cenna. Nierzadko wcześniej się rozsypią.

Mnóstwo pustych kamienic, teoretycznie także objętych opieką konserwatora zabytków, stoi w centrum Łodzi. One także nie trafiły do zestawu pustostanów GUS, ponieważ nie są to mieszkania, ale były biurowce, które śmiało można by zaadaptować na lokale mieszkalne. One również należą do spółek Skarbu Państwa, które nie są tym zainteresowane, m.in. do Banku PKO. Karol Śmiechowski, historyk z Uniwersytetu Łódzkiego, zrobił nawet satelitarną mapę takich obiektów. W środku miasta zajmują kilka kwartałów między ulicami Wólczańską, 6 Sierpnia, Piotrkowską i Więckowskiego. W atrakcyjnych punktach miasta będą stały, dopóki się nie rozpadną. Zburzyć ich nie można, bo mają wartość historyczną.

Liczby pustych mieszkań będących własnością spółek Skarbu Państwa ani niszczących byłych biurowców, które mogłyby być zaadaptowane na mieszkania, nie zna nawet Instytut Rozwoju Miast i Regionów. Kontrolowane przez państwo firmy nie mają obowiązku takich krępujących danych ujawniać.

Ład i bezład

Do wykazu pustostanów sporządzonego przez GUS nie trafiły też domy widma. Widmem staje się budynek, który gmina wysiedla, żeby go wyremontować. Wtedy opuszczone lokale skreślane są z listy pustostanów, ponieważ nie są przeznaczone do zasiedlenia. Zwykle są w fatalnym stanie technicznym. – *Nie robimy remontu, ponieważ nie ma na to pieniędzy. Brakuje też środków, żeby zapłacić za rozbiórkę* – twierdzi pracownik warszawskiego Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami. Więc widmo straszy, nierzadko latami, jak wielka kamienica przy ul. Żelaznej. Zwłaszcza gdy w dodatku pojawiają się roszczenia przedwojennych właścicieli.

Sprawą fatalnej sytuacji finansowej samorządów lokalnych jest rząd PiS. Celem każdej z kilku przeprowadzanych pseudo-reform podatkowych było zmniejszenie strumienia pieniędzy, jaki trafiał do kas gmin z podatku PIT. Ciosem największym ►

► okazał się Polski Ład. Powiększenie do 30 tys. zł kwoty wolnej od podatku i nienazywanie podatkiem składki na zdrowie spowodowało gwałtowne zmniejszenie wpływów samorządów z podatków od dochodów osobistych. A to gminy zobowiązane są do zapewnienia lokali socjalnych dla mieszkańców znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji finansowej. Muszą też dokładać do gwałtownie rosnących kosztów utrzymania mieszkań komunalnych. Najwięcej pieniędzy gminnych pochłaniają dopłaty do czynszu najemców socjalnych.

Z danych GUS na koniec 2019 r. wynika, że w lokalach komunalnych i socjalnych mieszkało 642 tys. rodzin, a ponad 150 tys. rodzin czekało na ich przydział. Według najświeższego raportu NIK na mieszkanie komunalne w Polsce czeka się od 317 dni do ponad 6 lat, a rekordzista czekał w kolejce aż 17 lat. Teraz sytuacja gwałtownie się pogarsza. Aż 90 proc. gminnych mieszkań znajduje się w budynkach sprzed 1945 r., często będących w fatalnym stanie technicznym.

– *Czynsze nie finansują nawet bieżącego utrzymania mieszkań, a o ich remontach nie ma nawet co marzyć* – twierdzi Hanna Milewska-Wilk z Instytutu Rozwoju Miast i Regionów. Stawek czynszu nie można jednak podnieść, bo już teraz gwałtownie rośnie zadłużenie lokatorów. Tymczasem dodatek mieszkaniowy, czyli pomoc gminy dla najuboższych, od lat wynosi zaledwie 216 zł. Według naszego prawa długi lokatorów są nieściągalne. Jeśli najemca nie ma majątku, a najczęściej jest ubogi, nic mu nie można zrobić, wierzyciel nie ma po co zgłaszać się do komornika.

Z eksmisji dłużnik może się natomiast tylko ucieszyć. Procedura trwa ponad dwa lata, a sąd i tak przyzna dłużnikowi prawo do lokalu socjalnego, który zapewnić musi mu właśnie gmina. W myśl nowych przepisów lokal dla najemcy socjalnego ma być nierzadko o wiele lepszy niż ten, w którym obecnie mieszka. Mieszkanie socjalne ma być samodzielne, z łazienką, kuchnią, odpowiednim dostępem do światła. Warunki mieszkaniowe najemców socjalnych państwo poprawiło jedynie na papierze.

Gminy czynszu nie podnoszą, żeby długi rosły wolniej, a mieszkańcy nadal zajmowali lokale ze wspólnym WC na korytarzu, rozpaczliwie wymagające generalnego remontu. Pół biedy, jeśli samorząd może sprzedać deweloperowi atrakcyjny kawałek gruntu i dzięki temu wyremontować przynajmniej część zasobów, albo nawet zbudować nowe mieszkania. Jeśli atrakcyjnych gruntów do sprzedania nie ma, to o budowie lokali komunalnych trzeba zapomnieć.

Wszystko za złotówkę

Tymczasem rząd przekonuje, że jest świetnie. Na remonty zasobów mieszkaniowych gmina może dostać pieniądze z Funduszu Dopłat nawet 80 proc. w formie dotacji. Z badań IRMiR wynika, że 20-proc. wkładu własnego gminy często nie mają, dotacje są więc dla nich nieosiągalne. Istniejące mieszkania gminne ulegają więc dewastacji. Na początku lipca w Katowicach odbyło się Światowe Forum Miejskie. Podczas jednego z paneli Arkadiusz Urban, prezes państwowego Krajowego Zasobu Nieruchomości, stwierdził, że wszystkie mieszkania komunalne sprzedałby nawet za złotówkę, co uczestników forum mocno zbulwersowało.

Gminy prywatyzować mieszkań nie zamierzają, ale problem staje się coraz większy. Liczba pustostanów rośnie. Przez kilka lat bez lokatorów pozostają mieszkania, których właściciele umarli, a dzieci rozjechały się po świecie i coraz mniej wartych lokali po rodzicach nie chcą przyjąć w spadku. Jak Jakub, który założył przed dziesięć laty rodzinę w Londynie i do kraju wracać nie zamierza. – *Mama, już po odejściu ojca, przez kilka lat nie płaciła za mieszkanie, w dodatku zadłużyła się w jakiejś firmie pożyczkowej. Po konsultacji z prawnikiem przekonałem brata, że najbezpieczniej będzie spadek odrzucić* – wyjaśnia.

Szukanie spadkobierców trwa zwykle kilka lat. Potem sądy zadłużone mieszkanie przyznają zwykle gminie – mówi Hanna Milewska-Wilk. Oczywiście razem z zadłużeniem.

Samorządy nie udźwigną ciężaru utrzymania mieszkań komunalnych, pustostanów będzie przybywać. Szybko rośnie też liczba rodzin, które bez pomocy nie rozwiążą swoich problemów mieszkaniowych. Pustostanami zainteresowana jest fundacja Habitat for Humanity Poland, która także w Polsce remontuje je za pieniądze sponsorów. Zwykle są to globalne firmy, np. jak towarzystwo ubezpieczeniowe Pru, IKEA, ale także polski związek deweloperów. Największym problemem fundacji jest formalne przejęcie pustostanów, które mogłyby przywrócić do użytkowania. Samorządy boją się z nią współpracować. Spółki Skarbu Państwa, dla których niszczące lokale są kulą u nogi, nie chcą nawet rozmawiać. Na Śląsku i Dolnym Śląsku pustostanów jest najwięcej, kopalnie nie mają na nie pomysłu. Fundacja z żadną nie była w stanie się dogadać.

– *Przygotowaliśmy się do remontu dwóch zdewastowanych lokali w Katowicach, ale rozmowy zostały zawieszono* – żałuje Katarzyna Piwowarczyk z firmy architektonicznej Arcadis, która pomaga przy remontach pro bono. Na razie udało się tylko w Warszawie. Samorząd przekazał fundacji do remontu pięć pustostanów w starym bloku z wielkiej płyty w Białolegocie i jedno w centrum, w bardzo złym stanie technicznym. Po gruntownym remoncie i wymianie instalacji do pustostanu wprowadzili się ludzie. W sierpniu 2021 r. zamieszkały w nich osoby po kryzysie bezdomności.

Cichy odwrót

Wydaje się, że to świetny pomysł na zagospodarowanie mieszkań, które niszczeją. – *Za remont płacą sponsorzy, czasem, jak w przypadku IKEA czy Whirlpool, po prostu przekazują nam materiały czy meble* – wyjaśnia Mateusz Piegza z Habitat for Humanity Poland. Pomagają wolontariusze oraz firmy, takie jak Arcadis. Po zakończeniu remontu zawieramy umowę najmu z samorządem na trzy lata, płacąc gminie niewielki czynsz. Po trzech latach, bez wydania nawet złotówki, gmina albo spółka Skarbu Państwa może otrzymać z powrotem wyremontowane mieszkanie, które najwyżej trzeba będzie odmalować.

Dobrze wychodzą na tym obie strony, a jednak następnych pustostanów do remontu fundacja otrzymać nie może. Gminy się boją, bo choć wyremontowane pustostany stają się pełnowartościowymi mieszkaniami, to jednak klucze nie trafiają do rąk rodzin oczekujących w kolejce na lokal socjalny. O tym, kto je otrzyma, nie decyduje gmina, ale fundacja, a sponsorzy obecnie chcą płacić za lokale dla uchodźców z Ukrainy. Nie wszystkim radnym oraz wyborcom to się podoba.

Nie rozwinął się też, mimo dynamicznego startu, samorządowy program „mieszkanie za remont”. W Szczecinie pustych kamienic jest wiele, stworzenie możliwości przydziału dla rodzin, które wyremontują zrujnowane mieszkanie za własne pieniądze, wydawało się idealnym wyjściem z impasu. Chętnych nie brakowało, ale część osób oczekujących w kolejce na mieszkanie socjalne zaprotestowała. Ich sytuacja mieszkaniowa się nie poprawiała, kolejka posuwała się coraz wolniej. Rodziny oczekujące podejrzewały, że z listy pustostanów znikają lokale najmniej zniszczone, bo są przekazywane lepiej sytuowanym, których stać na remont. Gminy głośno z programu „mieszkanie za remont” nie rezygnują, ale po cichu się z niego wycofują.

Problem rosnącej liczby pustostanów okazuje się nierozwiązywalny. W Polsce, mimo malejącej dostępności do kredytów, ciągle łatwiej jest wybudować nowe mieszkanie, niż w dobrym stanie utrzymać stare.

JOANNA SOLSKA

Kiełbasa z wegemasy i inne frykasy

CEZARY KOWANDA

Roślinne zamienniki mleka i mięsa coraz częściej trafiają do domowych kuchni jako „sery, jogurty, steki czy kabanosy”. Nie wszystkim to w smak. Trwa dyskusja: czy to oszukiwanie konsumentów, czy też promocja ekologicznego stylu życia?

We Francji jedzenie to sprawa wagi państwowej. I właśnie państwo podjęło decyzję, która zapewne ucieszy najwierniejszych fanów mięsa, a zbulwersuje zwolenników żywności pochodzenia roślinnego. Od października nazwy takie, jak bekon, kiełbasa czy stek mają być zarezerwowane wyłącznie dla produktów mięsnych. Producentom coraz ►



© SHUTTERSTOCK

Między 2020 a 2021 rokiem sprzedaż roślinnych zamienników nabiału wzrosła o 40 proc., a artykułów zastępujących mięso – podwoiła się.

► popularniejszych roślinnych zamienników nie będzie wolno ich używać pod groźbą wysokich kar.

– *To efekt działalności silnego mięsnego lobby we Francji, które twierdzi, że stosowanie takich nazw w przypadku produktów wegetariańskich wprowadza konsumentów w błąd. Mamy jednak badania przeprowadzane w wielu europejskich krajach, z których wynika, że klienci nie czują się oszukiwani, jeśli tylko na opakowaniach jest jasno zaznaczone, że chodzi o wyroby wegańskie czy wegetariańskie* – mówi Marine Fahy z Assiettes Végétales, kampanii promującej we Francji produkty roślinne. Na pocieszenie Francuzom pozostaną zapewne wegeburgery, bo akurat tego słowa na razie nie ma na liście zakazanych określeń.

Francuskie przepisy, tak jak dzisiaj je przegotowano, będą zresztą dziwaczne i niespójne, a tym samym nieskuteczne. Zakaz ma dotyczyć tylko produktów roślinnych wyprodukowanych we Francji. Te importowane wciąż będzie można nazywać, jak się chce, np. sojowymi kiełbaskami czy wegańskim bekonem. Francuzi nie mogą łamać unijnego prawa, więc te regulacje nie obejmą produktów pochodzących z innych państw członkowskich.

W Unii mięsne lobby taką batalię na razie przegrało. W 2020 r. Parlament Europejski odrzucił propozycję zakazu używania nazw kojarzonych przede wszystkim z mięsem w przypadku produktów roślinnych. Wynik głosowania odzwierciedlał skalę emocji: przeciw było 379 europosłów, za opowiedziało się 284. Przeciwnicy ograniczeń

przekonywali, że zamiast wegańskich burgerów będziemy mieć „wegańskie dyski” albo podobne, równie kuriozalne określenia. Jednak Francja, jak widać, się nie poddała, a batalia o to, co może być stekiem, bekonem i kabanosem, jeszcze potrwa.

Bezmięсны boczek i hummus z indyka

O co tak naprawdę chodzi? Jak zwykle o pieniądze. Rynek produktów roślinnych, reklamowanych jako alternatywa dla mięsa (mają przecież przypominać je w smaku), jest na razie wciąż mały, ale szybko rośnie. Jak szacuje firma badawcza GfK, w samej Polsce jego wartość to już 1,5 mld zł rocznie. Między 2020 a 2021 r. sprzedaż roślinnych zamienników nabiału wzrosła o 40 proc., a artykułów zastępujących mięso podwoiła się.

Jeszcze niedawno takie wyroby można było znaleźć w nielicznych sklepach, najczęściej ukryte na półkach z wegańskim jedzeniem. Jednak teraz są coraz mocniej promowane przez największe sieci handlowe, które sprzedają je pod własnymi markami. Hipermarkety oferują takie produkty nawet na wagę jak tradycyjne mięso i wędliny. Roślinne zamienniki stały się dodatkowo niezłym narzędziem promocyjnym dla sklepowych sieci, nie tylko tych największych. Ich eksponowanie w alejkach czy gazetkach reklamowych ma przekonać konsumentów o społecznej odpowiedzialności handlu i oczywiście firm produkujących żywność.

Do zastępowania mięsa produktami roślinnymi jeszcze niedawno najczęściej zachęcano, eksponując nasze własne dylematy etyczne. Chodziło przede wszystkim o tragiczny los zwierząt hodowlanych. Najpierw życie w drastycznych warunkach, potem śmierć nierzadko w męczarniach. W ostatnich latach doszedł dodatkowy argument, związany z niekontrolowanym ociepleniem planety wywołanym coraz większym stężeniem dwutlenku węgla w atmosferze.

Jest oczywiste, że przy produkcji mięsa powstaje znacznie więcej tego gazu niż przy wytwarzaniu roślinnych zamienników. Nie znaczy to oczywiście, że samo powszechne przejście na dietę roślinną (na razie zresztą niewyobrażalne) rozwiązałoby wszystkie problemy ochrony środowiska. Jednak ograniczenie konsumpcji mięsa z pewnością pomogłoby przynajmniej w stworzeniu bardziej zrównoważonego światowego rolnictwa.

W tej chwili główny przedmiot sporu to nazwy używane w reklamach i na opakowaniach. – *Wszelkie zakazy w praktyce ograniczają wybór konsumentom* – przekonuje Weronika Pochylska, specjalistka ds. public relations w firmie Bezmięсны (to jeden z liderów polskiego rynku roślinnych zamienników). – *Mamy nadzieję, że nie dojdzie do rozszerzenia francuskich regulacji na całą Unię. Tradycyjne nazwy wykorzystujemy przede wszystkim po to, aby poinformować klientów, jakiego mogą spodziewać się smaku. Zawsze zresztą dodajemy słowo „bezmięсны”, żeby uniknąć nieporozumień. Wielu językoznawców akceptuje takie sformułowania, jak kotlet sojowy czy pasztet warzywny. Nasz flagowy produkt to Bezmięсны Boczek. Nie wyobrażam sobie, jak mielibyśmy zmienić jego nazwę, która już się upowszechniła. Zresztą sama branża mięsna stosuje analogiczne zabiegi. Pojawił się na przykład hummus z piersi indyka. Nazwa kojarzona dotąd z produktem wegańskim jest używana dla określenia wyrobu mięsnego* – mówi.

Mleko kipi

Czy klienci mogą poczuć się wprowadzani w błąd? – *Według mnie nie. Zresztą spójrzmy na to, że sama branża mięsna wcale nie mówi jednym głosem. Największe obawy mają mniejsi producenci, którzy czują się już teraz zagrożeni stopniową zmianą nawyków żywieniowych. Tymczasem większe firmy, jak Tarczyński czy Sokołów, same do swojej oferty dodają roślinne zamienniki. Zabiegają też o to, żeby były one w sklepach widoczne tuż obok wyrobów mięsnych, a nie ukryte na półkach wegańskich. Niektóre koncerty starają się wręcz prezentować*

już nie jako producenci mięsa, co raczej producenci białka pod różnymi postaciami. W ten sposób myślą o swojej przyszłości, przewidując, że trend ograniczania mięsa w naszej diecie będzie się nasilał – zauważa Maciej Otrębski, menedżer kampanii społeczno-biznesowej Roślinniejemy.

Nie znaczy to jednak, że cała branża mięsna pogodziła się z nową konkurencją. – Owszem, część firm sama wprowadza roślinne produkty do oferty, ale robi to przede wszystkim, by nie oddawać pola rywalom. Prawda jest taka, że producenci np. „roślinnych kiełbasek” bezceremonialnie wykorzystują nazwy, których renomę producenci mięsa budowali przez dziesiątki lat. Promują się na ich uniwersalnej rozpoznawalności wśród konsumentów. Nie rozumiem takiej strategii. Jeśli chcemy kogoś zachęcić do rezygnacji z mięsa, dlaczego jednocześnie nazywamy swoje wyroby w sposób do tegoż mięsa jednoznacznie nawiązujący? – pyta Witold Chojiński, prezes związku Polskie Mięso.

Nieoficjalnie branża mięsna przyznaje, że zazdrości mlecznej. To kolejne pole bitwy o nazewnictwo. Tyle że akurat w tym przypadku unijne regulacje są inne. W 2017 r. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej rozpatrywał pozew niemieckiego stowarzyszenia Verband Sozialer Wettbewerb przeciw firmie TofuTown. Stwierdził wówczas, że roślinne zamienniki nabiału nie mogą używać w swoich nazwach słów, takich jak mleko, ser, jogurt czy śmietana. Stało się zatem dokładnie to, o co teraz walczy część producentów mięsa. W sklepach w całej Unii, także w Polsce, nie znajdziemy od tego czasu mleka migdałowego,

jogurtu owsianego czy serka tofu. Firmy muszą posługiwać się określeniami neutralnymi jak napój albo produkt. Jednak i tak próbują nawiązywać do tradycyjnego nabiału, przykładowo informując na opakowaniach, że to alternatywa dla wyrobów mlecznych.

Taka strategia z kolei denerwuje branżę mleczną, która próbowała niedawno zaostriżyć unijne regulacje. W 2021 r. pojawił się projekt poprawki doprecyzowującej i tak kontrowersyjne zasady. Zgodnie z nią producenci roślinnych odpowiedników mleka, jogurtów czy serów nie mogliby na opakowaniach w ogóle odwoływać się do terminologii mlecznej, na przykład pisząc, że produkt nie zawiera mleka albo jest odpowiedni dla osób nietolerujących laktozy. Branża roślinna straszyla cenzurą i obawiała się, że nawet zdjęcie białego płynu na pudełku czy użycie określenia „kremowa konsystencja” albo „smak śmietankowy” może spowodzić na producentów ogromne kary finansowe.

Po burzliwej debacie Parlament Europejski poprawkę odrzucił. Triumfowała wówczas polska europosłanka Sylwia Spurek (Zieloni), niepokieszony był za to Ryszard Czarnecki (PiS), nazywając decyzję postów zwyczajem ideologii nad zdrowym rozsądkiem.

Powoli roślinniejemy

Jednak nawet pewne ograniczenia i słowna ekwilibrystyka nie są dla branży roślinnej barierą nie do przejścia. – Okazuje się, że napoje roślinne to w Polsce najważniejsza kategoria produktów wśród alternatyw dla wyrobów odzwierzęcych. Myślę, że dzisiaj już nikt nie podjąłby takiej decyzji jak pięć lat temu i nie

wprowadzał żadnych ograniczeń w używanych nazwach. Tym bardziej że przecież oficjalnym filarem unijnej polityki jest stawianie na produkty roślinne – podkreśla Maciej Otrębski z Roślinniejemy.

Podobnie jak na rynku mięsnym, także część producentów dotąd koncentrujących się na nabiale wprowadza roślinne zamienniki do swojej oferty. U nas robi tak na przykład Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska Piątница, która promuje pod marką Piątница Roślinna napoje owsiane i sojowe. Słowa „mleko” na opakowaniu oczywiście nie znajdziemy, ale już z materiałów reklamowych dowiemy się, że te produkty „wyróżniają się konsystencją zbliżoną do mleka krowiego”.

Postępowanie się terminologią kojarzoną przez dziesiątki lat z mlekiem i mięsem oczywiście budzi kontrowersje. Zwolennikom ograniczeń językowych w dłuższej perspektywie trudno wróżyć sukces. Chociaż formalnie w sklepach nie możemy kupić np. mleka owsianego, to przecież w kawiarni kelner nie pyta, czy do kawy zamiast krowiego mleka chcemy dodać „napój owsiany”.

Żywy język nie znosi urzędniczych absurdów, a odwrotu od roślinnych kabanosów, kiełbasek czy burgerów już raczej nie ma. Firmy z branży mięsnej czy mlecznej mają zatem prosty wybór. Mogą dalej lobbować za ograniczeniami, co na dłuższą metę większych korzyści im nie da, albo kontratakować, wprowadzając roślinne zamienniki i wykorzystując do tego własną, często dobrze rozpoznawalną markę.

Francuska biurokracja, w przeciwieństwie do francuskiej kuchni, nie wydaje się godna naśladowania. Bon appétit!

CEZARY KOWANDA

REKLAMA



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Dla Aktywnych, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Pobyty: 24.07 - 25.09 oraz 25.09 - 23.10.2022r.

www.podtezniami.pl tel. 54 416 70 00

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek



Dimon

Grozi światu wojną jądrową i obrzuca wyzwiskami zagranicznych polityków. Co się stało z **Dmitrijem Miedwiediewem**, kiedyś nadzieją liberalnej Rosji?

N

PAWEŁ RESZKA

a swoim kanale w Telegramie Dmitrij Miedwiediew cieszy się, że Rosja jest już dziś takim postrachem dla świata jak kiedyś ZSRR. A to wszystko dzięki konsekwentnej polityce Władimira Putina, który nie zawahał się rozpocząć „specjalnej operacji” w Ukrainie. Już za chwilę nastąpi i denazyfikacja, i demilitaryzacja groźnego sąsiada. Od Miedwiediewa dostaje się wszystkim: „masochistom z Brukseli”, „brudnym psom wojny” (z USA) i rządzącym Zachodem „imbecyjom”. Bohaterką jego wpisów jest i Polska – rządzona przez „miernych polityków i ich lalkarzy zza oceanu”.

Dziwna przemiana. 56-letni dziś Miedwiediew był przez lata uznawany za lepszą, cywilizowaną wersję Putina. Za człowieka, który nie tylko lubił Zachód, ale wręcz się nim fascynował. Był m.in. fanem grupy Deep Purple – miał pełną kolekcję płyt i chwalił

się osobistą znajomością z jej członkami. Uwielbiał elektroniczne gadżety z Zachodu (iPhone4 podarował mu osobiście Steve Jobs). Dobrze układały mu się też relacje z USA, szczególnie z Barackiem Obamą. Rosyjska telewizja państwowa w kółko pokazywała, jak dwaj wyluzowani przywódcy jedzą razem hamburgery. On sam był nazywany rosyjskim Obamą.

W tym czasie dla części Rosjan ważna była zupełnie nierosyjska maksyma, którą Miedwiediew wypowiedział w 2008 r., tuż przed objęciem prezydentury: „Wolność jest lepsza od jej braku”. Sporo 20-, 30-latków uwierzyło wtedy, że petersburski prawnik może być prawdziwą alternatywą dla rządzącego Rosją byłego oficera KGB.

Pan liberal

Wtedy jeszcze Miedwiediew używał dawno zapomnianych przez Putina słów: innowacje, rozwój, modernizacja. W przemówieniu inauguracyjnym mówił o konieczności „rozwoju wolności obywatelskich i gospodarczych”. Liberalowie – ci, którzy współpracowali z systemem Putina, i ci pozasystemowi – nadstawili uszu. To było coś nowego, nieoczekiwanego.

W 2009 r. w Moskwie umówiłem się na rozmowę z Dmitrijem Muratowem, wówczas naczelnym opozycyjnej „Nowej Gaziety”, dziś także laureatem Pokojowej Nagrody Nobla. Było to niedługo po zabójstwie kolejnej dziennikarki tej gazety. 25-letnia Anastazja Baburowa została zastrzelona w biały dzień w centrum Moskwy. Kilka dni po morderstwie do Muratowa zadzwonił prezydent Miedwiediew. Współczuł, obiecał dać wywiad. Muratow zapytał, dlaczego właśnie jego pismu. „Bo nigdy nikomu nie lizaliście” – usłyszał w odpowiedzi.

Muratow, wyraźnie zafascynowany, relacjonował mi wizytę u dobrego cara: – *Zauważyłem mnóstwo nowych komputerów. Sam Miedwiediew często siedzi w internecie, prowadzi bloga. Putin dostawał na stół teczek z tajnymi raportami. Miedwiediew*



też je dostaje, ale może je skonfrontować z inną rzeczywistością. Z tym, co myślą najbardziej wykształceni Rosjanie, którzy kontaktują się ze sobą i wymieniają informacje w wirtualnym, niezależnym od władzy świecie.

Pan prymus

Miedwiediew wygląda jak wieczny prymus. Marynarka, krawat, nieśmiały uśmiech, przyлизane włosy. „Zaczynał karierę jako wykładowca – i do tej pory jest w nim sporo z młodego nauczyciela, który wchodzi do klasy, niepewny, jak będzie przyjęty przez uczniów. Dlatego stara się udawać bardziej dorosłego, niż jest, bardziej poważnego. A niekiedy zupełnie odwrotnie – zaczyna mówić młodzieżowym slangiem” – tak opisuje Miedwiediewa w swojej książce znany rosyjski dziennikarz Michaił Zygar.

Od początku nie bardzo pasował do ekipy Putina, pełnej oficerów KGB i byłych wojskowych. Twardzi faceci – mieli za sobą wojny, w czasach ZSRR byli szpiegami, trenowali sporty walki. A Miedwiediew? Nawet nie służył w wojsku. Był w Komsomole, potem w 1986 r. (w wieku 21 lat) wstąpił do KPZR. Skończył prawo na uniwersytecie w Leningradzie, potem został na uczelni, gdzie obronił doktorat i był wykładowcą. Trochę trenował ciężary, trochę dorabiał jako stróż. Nuda.

Z Putinem poznali się w latach 90. Obaj pracowali dla pierwszego demokratycznego mera Petersburga Anatolija Sobczaka. Miedwiediew był jego doradcą, a także ekspertem prawnym miejskiego Komitetu Spraw Zagranicznych. Na czele komitetu stał Putin – mówiono, że narobił tam sporo przekrętów i „przytulił” część środków. I to właśnie prawnik Miedwiediew pomógł mu wykaraskać się z kłopotów. Putin z Miedwiediewem – to drugi ważny moment – odeszli z merostwa w 1996 r., gdy Sobczak przegrał wybory. To był test na lojalność, który Putin zapamiętał.

Pan urzędnik

Gdy Putin w 1999 r. został premierem, zaprosił do Moskwy młodszeo o 13 lat kolegę. Zrobił z niego zastępcę szefa rządowej administracji. Potem sprawy potoczyły się szybko. Putin miał zostać – z nadania Borysa Jelcyna – prezydentem. Operacja „następca” to był trudny moment. Przekazanie władzy poprzedzały narady, ustalenia, targi. Sens był prosty: nowa ekipa musi zapewnić bezpieczeństwo odchodzącym: żadnych śledztw, szukania ukradzionego majątku, zemsty.

Miedwiediew został szefem sztabu wyborczego Putina, a po wygranej – zastępcą szefa administracji prezydenta. Szefem był nadal Aleksandr Wołoszyn, wyznaczony jeszcze przez Jelcyna do pilnowania interesów jego „familii”. Dima dostał też miejsce w radzie dyrektorów Gazpromu. To największa firma w kraju, która pracowała na rodzinie, ale miała za jakiś czas zacząć przynosić dochody putinowcom.

Wokół nowego cara kłębiło się wielu jego starych znajomych. Z grubsza można ich podzielić na dwie kategorie: ci związani ze służbami i armią (siłowicy), jak Igor Sieczyn czy Siergiej Iwanow, oraz prawnicy, finansisci, przywiązani do liberalizmu i wolnego rynku, jak Aleksiej Kudrin czy German Gref. Miedwiediew z kolei cały czas był blisko wodza. Putin cenił w nim przede wszystkim brak charyzmy, zaplecza oraz politycznych ambicji. Dlatego Dima szybko awansował na szefa administracji, czyli stał się najważniejszym urzędnikiem w Rosji.

Notabene natychmiast zajął się czymś śmiertelnie nudnym – napisał ustawę o służbie cywilnej, która wprowadzała tabele rang urzędniczych i określała drogę awansu w służbie państwowej. Takie coś obowiązywało jeszcze w carskich czasach. Za kadencji Miedwiediewa urzędnicy mieli się jak pączki w maśle. A ich pensje rosły z roku na rok.

Rosja w ogóle miała się nieźle w porównaniu ze „smutą” lat 90. Ekipa Putina korzystała z wysokich cen na ropę i gaz. Zwykli Rosjanie odczuli to w kieszeniach. Oligarchowie, którzy zarobili miliardy w czasach Jelcyna, zrozumieli, że czasy się zmieniły. Najbogatszy z nich Michaił Chodorkowski trafił do łagru, kilku uciekło za granicę. Pozostali ustawili się w kolejce do gabinetów ludzi władzy, gotowi płacić na cokolwiek: wybory, fundusze socjalne, akcje charytatywne – byleby tylko zostawiono im chociaż część biznesu.

Pan prezydent

Tymczasem dobiegała końca druga kadencja Putina. Według konstytucji nie miał prawa ubiegać się o trzecią. Co prawda doradcy podpowiadali mu, żeby odpowiednio zmienić ustawę zasadniczą, ale Putin miał inny plan.

Kandydatów do jego zastąpienia było dwóch. Pierwszym był Siergiej Iwanow, sowiecki James Bond – po długoletniej służbie w KGB, gdzie poznał Putina. Tyle że Iwanow – inaczej niż Putin w NRD – działał na najtrudniejszych odcinkach za granicą. Potem pracował w zarządzie wywiadu zagranicznego. Był wiceszefem FSB i pierwszym cywilnym ministrem obrony Rosji, a także wicepremierem odpowiedzialnym m.in. za prowadzenie wojny w Czeczenii.

Na jego tle kandydat drugi, czyli Miedwiediew, wypadł dość blado. I dlatego Putin postawił właśnie na niego. „Jesteśmy bliskimi znajomymi od 17 lat. W całości i w pełni popieram jego kandydaturę” – ogłosił w grudniu 2007 r. i kłamka zapadła. Wybory były formalnością, ale Miedwiediew w tej „niby kampanii” zaczął mocno upodabniać się do Putina. Przed kamerami uprawiał sport, często rezygnował ze sztywnych marynarek i krawatów. Zaczął nawet używać – z pewnym zakłopotaniem – knajackiego języka.

Rosyjscy liberałowie liczyli, że po wyborach proces upodabniania się wyhamuje. I kraj dzięki nowemu przywódcy ▶



© AP/PEAST NEWS

► wróci do normalności. Co prawda niedługo po objęciu urzędu przez Miedwiediewa Rosja rozpoczęła wojnę z Gruzją, ale wielu chciało wierzyć, że to tylko zły spadek po epoce Putina.

Było w tym wiele prawdy. Ówczesny prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili opowiadał po latach, że zanim wybuchła wojna, usiłował dotrzeć się do nowego prezydenta, unormować stosunki. Próbował, ale za każdym razem łączono go z Putinem, który mówił: „Miedwiediew nie ma nic do tego, to ja zajmuję się Gruzją”. Podobnie wynika ze wspomnień prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy’ego. W czasie konfliktu dwa razy był w Moskwie (Francja wówczas przewodniczyła UE) i za każdym razem na rozmowach prezydentów pojawiał się bez zapowiedzi premier Putin.

Pan z białą flagą

Przez pierwszą część kadencji Miedwiediew był słabo widoczny. Z czasem jednak zaczął ponoć wykrzykiwać na kremlofskich korytarzach, że to on jest prezydentem i to on wydaje rozkazy. Ta frustracja rosła, a wokół Miedwiediewa zaczęło się kręcić sporo demokratów i wolnorynkowców.

Ciekawym wydarzeniem była zorganizowana przez prezydenta konferencja w 150. rocznicę zniesienia pańszczyzny. „Historia dowiodła, że to Aleksander II miał rację, a nie Mikołaj I czy Stalin” – mówił. Oczywiście z carem liberałem, okcydentalistą utożsamiał się sam Miedwiediew. Drugi obóz, stalinowsko-mikołajowski, to towarzysze z KGB, z Putinem na czele.

Historyczna analogia miała zostać przeniesiona na grunt współczesny. Miedwiediew wraz z otoczeniem doszli do wniosku, że dla Rosji najlepszy byłby system dwupartyjny. Pierwsza partia to Jedna Rosja Putina, drugą będzie liberalne ugrupowanie Miedwiediewa, na którego czele stanie on sam. Projekt miał finansować oligarcha Michaił Prochorow.

To środowisko doszło do wniosku, że dobrym początkiem projektu byłaby walka o drugą kadencję prezydencką dla Miedwiediewa. Leonid Gozman, opozycjonista, jeden z twórców nowego ugrupowania, mówił w Radiu Swoboda, że kolejna kadencja dla Miedwiediewa to najbardziej sensowne rozwiązanie: „Mogłoby to doprowadzić do tego, że następne wybory byłyby wolne”.

Te harce coraz bardziej irytowały obóz Putina. W końcu, w sierpniu 2011 r., premier zaprosił prezydenta na ryby. Łowili przez kilka dni na Woldze, pod Astrachaniem. Tam Putin prawdopodobnie powiedział Miedwiediewowi: Wiesz, teraz ja będę prezydentem. Ty zostaniesz premierem. Miedwiediew poddał się bez walki. Upokorzenie było tym większe, że sam musiał publicznie ogłosić nowego kandydata.

– *To był dowód na to, że Miedwiediew nigdy nie był samodzielną figurą, a jedynie członkiem putinowskiej mafii* – mówi Anastazja Siergiejewa, członkini zarządu opozycyjnej organizacji Za Wolną Rosję. – *Przykre to, bo iluzji, że jest inaczej, uległo całe pokolenie ówczesnych 20- i 30-latków, aktywistów, menedżerów.*

Zdaje się, że poddając się bez walki, Miedwiediew stracił też największą życiową szansę. Pod koniec 2011 r. dziesiątki tysięcy Rosjan wyszły na plac Bagienny w Moskwie, by zaprotestować przeciwko sfałszowanym wyborom do Dumy Państwowej. Były to największe od niepamiętnych czasów protesty w Rosji. A wśród demonstrantów przemycali niepocieszeni współpracownicy Miedwiediewa, którzy nie odegrał wówczas żadnej roli.

Pan z bocznicy

Putin dotrzymał umowy. Miedwiediew został premierem i przewodniczącym Jednej Rosji. Musiał patrzeć, jak Duma pod dyktando nowego-starego prezydenta likwiduje nieliczne liberalne reformy, które udało się wprowadzić. Rosja w tym

czasie zmieniła się w agresywną dyktaturę. Zlikwidowano wolne media i organizacje pozarządowe. Za krytykę władz, armii, podważanie rosyjskiej wersji historii można od tamtego czasu trafić do łagru. Tak samo za próby protestu. Szczególnie groźni przeciwnicy władzy zaczęli ginąć w niewyjaśnionych okolicznościach.

Miedwiediew, znów szary i lojalny, bez mrugnienia okiem brał udział w tym ogólnokrajowym przykręcaniu śruby. Był malowanym premierem przez kolejne sześć lat, ale potrafił też zadbać o własne interesy. Warto tu przypomnieć film Fundacji Aleksieja Nawalnego, w którym były prezydent jest ukazany jako właściciel potężnego majątku. W jego skład wchodzi wielkie posiadłości z przystaniami i lądowiskami dla helikopterów, luksusowe mieszkania, winnice, jachty.

Miedwiediew z premierowskiego stołka zleciał w 2020 r., po tym jak Rosjanie masowo skrytykowali reformę emerytalną. Putin wyznaczył go na zastępcę szefa Rady Bezpieczeństwa – wcześniej nie było takiego stanowiska, stworzono je, żeby boczny tor, na którym zaparkował były prezydent, miał jakąś nazwę.

Wszyscy by o nim dawno zapomnieli, gdyby nie jego aktywność w mediach. Jest w nich agresywny, bardziej pryncypialny i putinowski od Putina. Zaczęło się od artykułu w „Kommiersancie” w październiku zeszłego roku, który był agresywnym atakiem na Ukrainę i Wołodymyra Zełenskigo. Miedwiediew nazwał prezydenta Ukrainy człowiekiem „z określonymi korzeniami etnicznymi”, który „zaczął gorliwie służyć najbardziej agresywnym siłom nacjonalistycznym”. Według Miedwiediewa „to tak, jakby przedstawiciele żydowskiej inteligencji w nazistowskich Niemczech z ideologicznych przyczyn poszli służyć w SS”.

Artykuł odbił się szerokim echem – rzadko byli prezydenci używają tak chamskiego języka. To zachęciło Miedwiediewa do dalszej, coraz bardziej brutalnej pisaniny. Pytanie: po co? Anastazja Siergiejewa uważa, że Miedwiediew realizuje zamówienie: – *To jasny przekaz idący do elit regionalnych i biznesowych. Jest wojna. Należy popierać linię Putina. Nie ma wobec niej alternatywy.*

Pan porażka

Niektórzy w Rosji wciąż wierzą, że on jest liberałem. Ale w kręgach opozycyjnych Miedwiediew częściej jest przedmiotem kpin. Żartobliwie nazywają go Dimonem albo złym pluszakiem. – *Dimon przypomina prymusa, którego posadzono za karę w ostatniej ławce* – mówi anonimowo moskiewski politolog. – *Jego agresywna, antyzachodnia retoryka to w istocie wołanie: Tu jestem, Władimirze Władimirowiczu! Nie zapominajcie o mnie koledzy! Jestem lojalny, mogę się przydać!*

Takie wołanie zyskuje większy sens w obliczu dość powszechnych plotek o tym, że Putin jest ciężko chory. I że operacja „następca” być może już trwa. Jeśli tak jest, to Miedwiediew obserwuje ją z głębokiego autu i źle to znosi. Siłowicy się z nim nie liczą, opozycja kpi, USA objęły go sankcjami. Jego syn też został z Ameryki wyrzucony. Nawet Deep Purple się do Dimy nie przyznaje – członkowie zespołu odesłali Miedwiediewowi pamiątkowy autograf, który im podarował jako prezydent.

Jest coraz bardziej samotny. W sieci huczy o tym, że się rozwodzi po 30 latach małżeństwa. Ukraińskie media informowały nawet, że były prezydent usiłował targnąć się na własne życie. Ochrona podobno dba, by zbyt często nie zaglądał do kieliszka, a w sieciach społecznościowych robił tylko takie głupstwa, na które ma zielone światło Kremla.

I jeśli chodzi o Dimona, to chyba by było tyle.

PAWEŁ RESZKA



Ostatnie „buuu”

Rząd Marka Ruttego postanowił, że w imię ratowania planety krowy będą musiały zniknąć z holenderskiego krajobrazu. Hodowcy i rolnicy się buntują, same zainteresowane jeszcze nie.

MAREK ORZECZOWSKI Z AMSTERDAMU

W holenderskich oborach zawsze sporo od nich wymagano, w ostatnich dekadach ekstremalnie wiele. A one bez szmerania spełniały najbardziej wygórowane oczekiwania. Teraz rząd mówi, że za dużo szkodziły, sporo paskudziły i swoimi odchodami naruszają równowagę w przyrodzie.

Rzadko która dziedzina gospodarczej aktywności regulowana jest w Unii Europejskiej tak drobiazgowo, podlega tylu kontrolom i przymuszana jest do ustawicznych inwestycji, co hodowla zwierząt. Podobnie jak rzadko kto w zagrodzie ►

► jest tak cierpliwy i posłuszny gospodarzowi jak krowa; wystarczy traktować ją jak członka rodziny, nadać jej imię, rozmawiać z nią, czasem puścić Mozarta, pochwalić, pogłaskać, spojrzeć w maślane oczy – i już stara się jak może. I wtedy długo żyje.

Królowa Jak Big Boukje192 (po polsku – wielka mądralińska, przyjaciółeczka), beniaminka fryzyskiej rasy z gospodarstwa Josa Knoef-Hendriksena w Geesteren/Overijssel w centralnej Holandii, która nie miała sobie równej. Niedawno została pierwszą krową w historii kraju, która do 19. roku życia dała ponad 200 000 kg mleka, 200 ton!, kilkanaście cystern i wydała w tym czasie na świat 14 cieląt. Dumnemu Josowi sprawiała oczywiście tylko radość. Rolnik opowiada, że zawsze była zdrowa, szczególna, towarzyska. A kiedy pojawiała się wśród koleżanek na pastwisku albo w oborze, wszystkie ustępowały jej miejsca, respektowały ją. Królowa.

Hodowla, którą Jos prowadzi razem z żoną Ingrid, jest mistrzowska: mają 63 krowy i wszystkie dały już co najmniej po 100 tys. kg mleka. Dzięki nim Jos jest mlecznym baronem. Na razie; jak będzie dalej, nie wiadomo. Dostosowanie się do nowych reguł emisji azotu, czyli w gruncie rzeczy likwidacja hodowli, ma dotknąć co trzecie z 16 tys. holenderskich gospodarstw produkujących mleko. Szczególnie tych położonych najbliższej 168 holenderskich obszarów Natura 2000 (17 proc. powierzchni kraju). Redukcja tlenu azotu i amoniaku wydzielanych w oborach ma sięgnąć 70 proc.

Fryzyskie krowy Josa są długowieczne, a według ekologicznych aktywistów nawet zbyt długowieczne. Takie np. cielaki trafiają pod nóż już po trzech miesiącach, woły po 15, a krowy arystokratki dopiero jak przestają dawać mleko, co u ambitnych hodowców, jak Jos, trwa dekady. Taka Big Boukje, którą się Jos przechwala, to było – według pomiarów ekologów – jedno wielkie źródło środowiskowej dewastacji. Strach pomyśleć, ile ton trujących gazów Boukje zdążyła z siebie wydalić i jaki ślad ekologicznych spustoszeń pozostawiła po sobie w niderlandzkiej glebie, zanim odeszła wreszcie do krowiego nieba.

W dodatku jadła, żuła, puszczała bąki, wypróżniała się na ciasnych pastwiskach. Holandia to niewielki kraj, posiada osiem razy mniej uprawnej ziemi niż Polska, na jedną krowę (jest tu ich 1,5 mln) przypada 10 mieszkańców, w hodowlach tłoczno jak na stadionach, o krowę ociera się od urodzenia każdy Holender.

Jednocześnie ich wyśrubowana wydajność sprawia, że rocznie dają tyle samo mleka, co ich liczniejsze (2,2 mln krow)

polskie koleżanki – około 14 mln ton. Ale mogą im tylko pozazdrościć – polskie wprawdzie są skromniejsze, ale na pastwiskach mniej zestresowane, nikt ich nie goni do ciągłego bicia rekordów. Holenderskie kuzynki od lat żyją natomiast pod morderczą presją korporacyjnego rygoru.

Skoro jednak brakuje dla nich miejsca na łądzie, może powinny znaleźć go na wodzie, której w Holandii nie brakuje? Jak w Rotterdamie. Miasto słynie już z wodnych autobusów z turystami. Ponad dwa lata temu dołączyła do nich pierwsza w Holandii i na świecie pływająca krowia farma, Floating Farm, na razie pilotażowa. Na specjalnej, dwupoziomowej, w pełni zautomatyzowanej platformie – 1200 m kw. – ażyl znalazło 40 mlecznych krow.

To taki luksusowy hotel dla krow, a przy tym w pełni ekologiczny: prąd zapewniają baterie słoneczne, woda jest tylko deszczowa, posiłki pochodzą z biofarm, trawa jest dowożona z pól golfowych. Jest nawet mała mleczarnia, jej produkty sprzedawane są od ręki. Każda krowa otrzymała imię nadane jej przez pierwszych gości, za każdy patronat zapłacili po 1500 euro. Co jakiś czas platforma dobija do brzegu z trawiastym pastwiskiem, na którym mogą pohasać.

Taki sposób hodowli to według Minke i Petera van Wingerdena, autorów projektu i właścicieli wodnej farmy, przyszłość holenderskiej produkcji mleka: tylko patrzeć przecież, jak podniesie się poziom wody w morzu i takie pływające farmy zapewnią wówczas niezbędną świeżą żywność.

Pływająca obora musiała krowom przypaść do gustu, skoro dają mleka nie mniej od swoich koleżanek z łądy. Ale odkąd jedna z pensjonariuszek przez nieuwagę wpadła do wody, do akcji wkroczyli aktywiści z Partii Przyjaciół Zwierząt (ma reprezentację w parlamencie), którzy zaczynają paraliżować tę ścieżkę postępu. Twierdzą, że woda nie jest naturalnym środowiskiem dla holenderskich krow.

Symbol Ślad pozostawiany przez przez Big Boukje i jej koleżanki jest w Holandii szczególnie, bowiem w Niderlandach znalazły swoją „ziemię obiecaną”. To nie tylko ich ziemia, ale są jej prawdziwymi gospodarzami, nie rząd. I dlatego nawet ryczą inaczej od sąsiadek: francuskie i niemieckie robią „muuu”, a holenderskie „buuu”, więc Holender rozpozna swoją krowią rodaczkę nawet na końcu świata. „Powiedz mi, jak buczy twoja krowa, powiem ci skąd jesteś” – głosi stare porzekadło.

Niewiele brakowało, aby krowa Holenderka stała się oficjalnym symbolem kraju; nieoficjalnym i tak jest. Kiedy

w XVI w. rodziły się zręby holenderskiej republiki, rozglądano się za politycznymi symbolami spinającymi jedną klamrą niderlandzkie prowincje i jak zwykle, w 1578 r., sięgnięto po najbardziej typowy, nie nadwyrażający zbytnio wyobraźni symbol – po lwa.

Lew, oczywiście odważny i bojowy, uosabiać miał siłę całego kraju. Okazało się również, że dzięki nietypowemu kształtowi Niderlandów sylwetka lwa zmieściła się na mapie kraju. Do pazurów włożono mu strzały symbolizujące poszczególne prowincje i w ten sposób stał się motywem niderlandzkiej jedności.

W politycznej publicystyce wzywano jednak, aby poszukać jeszcze jednego motywu, tym razem oddającego prawdziwą istotę Niderlandów. Sięgano wzrokiem w kierunku orła, ale ten lata wysoko, jest drapieżny i niedostępny, rzadko kto go widział. Tymczasem tuż obok, na ziemi, wiodła cichy żywot istota wpisana w krajobraz Niderlandów jak żadna inna. Nie tylko była pracowita i karmiła, nie tylko apolitycznością wykluczała spory, ale i świetnie eksponowała rolę, jaką Niderlandy odgrywały globalnie dzięki swojej rolnej produkcji i handlowemu rozmachowi.

To właśnie krowa holenderka. Skromna, czarno-biała, odzwierciedlać miała z jednej strony przyjazną naturę żyjących obok niej ludzi, pozbawioną ekstrawagancji i osobistych ambicji. Z drugiej symbolizować zasobną, bogatą i najważniejszą prowincję kraju – Holandię, od której zresztą zapożyczono nazwę całego kraju. I bezwstydnie dojona przez wszystkich krowa miała być jej wizerunkiem.

Na wielu rycinach z tamtych czasów widać ten wyzysk – w zależności od międzynarodowych konstelacji zmieniali się „mleczarze” – dojenie Holandii niczym krowy przez chciwców. A to hiszpański król Filip II ciągnie bezlitośnie Holandię za ogon, uważa ją bowiem za swoją własność, a to Earl of Leicester do jej wymionna aż do krwi, a to Herzogowi von Anjou wciąż mało pieniędzy.

Już wtedy krowa symbolizowała różny ciężar gatunkowy poszczególnych prowincji w ramach republiki i ich odmienne gospodarcze znaczenie. Najzasobniejsza centralna Holandia nie tylko najwięcej wpłacała do wspólnej kasy, ale i musiała wyrównywać budżetowe deficyty pozostałych. Prawdziwym workiem bez dna był Amsterdam, który miał najdłuższe ręce, chciał najwięcej i jak najszybciej.

Tradycja jednej tustej krowy dojonej przez wszystkich wokół tkwi w holenderskich głowach do dziś, stąd u tych, którzy mają więcej od innych, dominuje niechęć do dzielenia się, wydawania, skąpstwo,



W Rotterdamie powstała pierwsza ekologiczna **pływająca krowia farma** – dwupoziomowa w pełni zautomatyzowana platforma, na której przebywa 40 mlecznych krow.

nawyk oszczędzania i dyscypliny finansowej. Odbija się ona również w krytycznej i powściągliwej postawie Holendrów wobec biedniejszych unijnych partnerów.

Chociaż holenderskie krowy ze swojej natury same nie pchają się do polityki, zdarzało się, że i one stawały się jej ofiarą oraz przedmiotem międzynarodowego konfliktu. W 2017 r. rząd holenderski zakazał przedstawicielom władz z Ankarą udziału w wiecach wyborczych organizowanych w Holandii przez mniejszość turecką, a dwóch tureckich ministrów, którzy naruszyli zakaz, nawet wydalili z Holandii. W Turcji podniósł się rwetes, głośne stały się żądania odwetu.

Pierwsi po retorsje sięgnęli importerzy bydła i postanowili oficjalnie wydalic z Turcji wszystkie holenderskie krowy, zerwać kontrakty i zakonczyc ich hodowle. Kilka pierwszych stad załadowali ponoć już na statki do Rotterdamu. Sprawa nabrała emocjonalnego rozmachu, uruchomiono dyplomację. Aż okazało się, że w Turcji nie było żadnych holenderskich krow...

Redukcja To są oczywiście groteskowe krowie kłopoty w obliczu aktualnych zamierzeń rządu premiera Marka Ruttego. O determinacji władzy świadczy choćby fakt, że Rutte powołał specjalnego ministra bez teki – do spraw przyrody i azotu, który ma przypilnować redukcji krow.

Azot jest dla naszego życia niezbędny, jest podstawowym elementem wszystkich enzymów sterujących metabolizmem roślin, zwierząt, ludzi i sam z siebie nie jest szkodliwy. Szkodliwe są natomiast jego związki – i rząd zdiagnozował, że największym ich siedliskiem jest obora (mocz i kał zwierząt), choć odpowiada za 40 proc.

szkodnictwa. Mniej więcej tyle samo gazów napływa do Holandii z zagranicy, no ale tu ręce rządu są za krótkie, reszta pochodzi z gospodarstw domowych, przemysłu, ruchu drogowego i lotniczego. Najbliżej więc, pod ręką, były krowy.

Ostrą redukcję emisji tlenu azotu i amoniaku władze nazywają „nieuniknioną transformacją”, co brzmi już nie tyle jak zapowiedź walki z ich emisjami, ile raczej, twierdzą rolnicy, jak generalne przemeblowanie holenderskiego rolnictwa, które w konfrontacji z zieloną polityką za dużo produkuje, jest zbyt intensywne i przesiąknięte chemią.

Protestujący rolnicy są przekonani, że rządowi chodzi o to, aby oni zwinęli swoje gospodarstwa i w najbardziej atrakcyjnych regionach zrobili miejsce pod nowe osiedla, wiatraki, farmy fotowoltaiczne itd. A generalnie – o zmniejszenie powierzchni użytkowej ziemi. Redukcja emisji azotu to więc jedno, redukcja gospodarstw to drugie.

Owa nieunikniona transformacja może przybierać różne oblicza i nie ogranicza się wyłącznie do bydła. W centralnej Holandii rozciąga się tzw. De groene gordel, zielony pas, na którego polach rzadziej można spotkać Boukje, a częściej tulipany. Kraina ta pokryta jest niczym tafla morza szklarniami (pierwsza, dla ananasów, powstała już w 1682 r. w Amsterdamie), matczynkami holenderskich warzyw. To stąd pochodzą sławne pomidory, za którymi kiedyś Polacy tak tęsknili, dziś już mniej.

W wielu tych szklarniach dzieją się prawdziwe cuda, panuje w nich atmosfera jak w laboratorium albo na szpitalnej sali, wpuszczają tam tylko w strojach ochronnych. Tu także panuje korporacyjny rygor

i ciśnienie bicia rekordów – na jednym metrze kwadratowym uzyskuje się tu 70 kg pomidorów, dziesięć razy więcej niż w Hiszpanii czy Maroku, gdzie rosną swobodnie na polu pod słońcem.

Te pomidory nie znają nawet prawdziwego słońca. Ale obchodzą się praktycznie bez pestycydów, potrzebują osiem razy mniej wody od ich hiszpańskich kuzynów, ich korzenie wrastają nie w ziemię, a w torebki z watą szklaną, jaką uszczelniamy dachy. Niezbędny dwutlenek węgla dostarcza im rurami rafineria. W pochmurne dni – częsty przypadek w Holandii – słońca dostarczają im ledowe lampy. Podlewane są deszczową wodą i tylko tyle, ile naprawdę potrzebują, to znaczy, ile wyznaczy im komputer. Kiedy pojawiają się jakieś szkodniki, czujnik wywołuje reakcję trującej aparatury. Produkty, które opuszczają tę fabrykę, nadal nazywają się pomidorami i smakują ponoć jak pomidory, może lepiej powiedzieć – jak holenderskie pomidory.

Walka To właśnie początek nadciągającej przyszłości. Szklarnie jutra będą samowystarczalne, będą działać tylko przy sztucznym świetle. Pomidory przyszłości – czerwone, równe, błyszczące, będą rosły i dojrzewały w całkowitym oderwaniu od klimatu, zapewne poradzą sobie i na Marsie, niezależnie od kaprysów przyrody i warunków otoczenia, i nigdy nie zawiodą.

Chodząca po ziemi Big Boukje także nigdy nie zawiodła, a miała trudniej. Mogła przeciw zachorować, złamać nogę, stracić cielaka. Ale i miała w odróżnieniu od produktów z fabryki pomidorów jeszcze bijące serce, wątrobę, nerkę, no i swoje zwykłe, fizjologiczne potrzeby, które teraz objęte zostały sankcjami. Czy mogłaby nam dać 200 ton mleka w oderwaniu od klimatu, otoczenia, pogody, dnia i nocy, ziemi i nieba?

Niderlandy to mały kraj z dużą gęstością zaludnienia. Prawie jedna trzecia powierzchni leży poniżej poziomu morza. Żeby się przed nim chronić, kraj potrzebuje tysiące kilometrów tam, wałów. I akurat właśnie tu, na tym małym skrawku ziemi, rozstrzygnąć się ma walka z tlenkiem azotu, która ma uratować świat? Właśnie tu, w holenderskich oborach ma zostać znaleziona odpowiedź na jedno z największych wyzwań ludzkości?

Być może da się jeszcze znaleźć rozsądne miejsce dla kuzynki Boukje, Holendrzy wiedzą przecież, jak to robić. Jak mówi ich stare przysłowie, „wiatru wprawdzie nie można zabronić, ale można postawić wiatraki”. I to właśnie Holendrzy robią od wieków.

MAREK ORZECOWSKI



Nic osobistego

Zabójstwo byłego premiera **Shinzō Abe** było pod wieloma względami bardzo japońskie.

MACIEJ PLETNIA

Nie wszyscy w Japonii kochali Shinzō Abe. Jego mglisty stosunek do wojennej przeszłości czy też do pacyfistycznych zapisów konstytucji zjednały mu tyle samo zwolenników co przeciwników. Pomimo ustąpienia z urzędu w 2020 r. pozostawał jednak politykiem popularnym, przyciągającym wyborców. Udział Abe w wiecu w Narze gwarantował nie tylko zainteresowanie mediów, ale, co ważniejsze, dawał szansę jego partii na lepszy wynik w zbliżających się wyborach. Jemu przyśnił jednak śmierć.

W piątek, 8 lipca rano Tetsuya Yamagami zaszedł byłego premiera od tyłu i dwukrotnie wystrzelił ze skonstruowanej w domowych warunkach strzelby. 41-latek został zatrzymany na miejscu. Zgon Abe, który od razu stracił przytomność, ogłoszono sześć godzin później w szpitalu.

Yamagami od początku współpracował z policją. Niczego się nie wypierał. Przyznał nawet, że 67-letni Abe był dla niego celem zastępczym.

Wcześniej próbował zabić wdowę po słynnym założycielu koreańskiego Kościoła Zjednoczeniowego Sun Myung Moona. Kilka lat temu matka zamachowcy przekazała Kościołowi większość rodzinnych oszczędności, co rzekomo doprowadziło Yamagamich do bankructwa. Z powodu pandemii od 2019 r. nikt ze ścisłego kierownictwa Kościoła nie odwiedził jednak Japonii.

Tetsuya Yamagami uznał więc, że równie dobrze może zabić Abe, bo... jego dziadek Nobusuke Kishi, również premier Japonii, pod koniec lat 50. zaprosił Kościół Zjednoczeniowy do kraju. Abe był więc częściowo współodpowiedzialny. Yamagami miał też powiedzieć policji, że Abe przyczynił się

do sukcesu Kościoła, bo legitymizował go, występując na jego spotkaniach i zachwalając m.in. jego działania na rzecz zjednoczenia obu Korei.

W sumie nie było to więc nic osobistego. Zabójca nie działał w afekcie, a nawet jeśli – to w bardzo odległym i przemyślanym. Raczej nie planował ucieczki po zamachu, nie wypierał się czynu i starał się go racjonalnie wytłumaczyć. Teraz zapewne bez słowa sprzeciwu podda się karze. I będzie liczył na to, że jego przesłanie zostanie usłyszane i zrozumiane.

To było bardzo japońskie zabójstwo.

Kwiat wiśni i seppuku

Przemoc w życiu politycznym Japonii jest dziś zjawiskiem dość rzadkim. Ale choć ze swej natury bardzo dramatycznym, podlega pewnym regułom. Od zakończenia drugiej wojny światowej aż do lipcowego piątku doszło zaledwie do trzech zabójstw polityków. Mogłoby się więc wydawać, że tego typu akty przemocy nie odgrywały większego znaczenia w japońskim życiu publicznym. Nic bardziej mylnego.

Jednym z symboli Japonii jest kwiat kwitnącej wiśni. Oznacza on piękno, ale również ulotność życia doczesnego. Sakura, bo tak ów kwiat nazywa się po japońsku, jest nierozdzielnie związany ze średnio-wiecznym kodeksem samurajów bushidō,

ale również z armią cesarską, szczególnie z pilotami samobójcami kamikaze. Śmierć w trakcie pełnienia służby, szczególnie śmierć samobójcza, miała być aktem ostatecznego poświęcenia dla państwa i dla cesarza.

Do pierwszego samobójstwa osoby publicznej, które wstrząsnęło Japonią, doszło w 1912 r. Hrabia Nogi był wówczas jednym z najpopularniejszych generałów. Na znak żałoby po śmierci cesarza Meiji popełnił seppuku, rytualne samobójstwo, niczym samuraj po śmierci swojego pana, zgodnie z kodeksem samurajów. Jego gest nie tylko spotkał się z powszechnym podziwem, generał stał się też wzorem posłuszeństwa i oddania dla cesarza, często wykorzystywanym w przedwojennej edukacji.

Drugi raz rytualne samobójstwo wywołało tak powszechne poruszenie dopiero 60 lat później. Yukio Mishima, jeden z najwybitniejszych i najpopularniejszych powojennych japońskich pisarzy, wielokrotnie deklarujący swoje przywiązanie do bushidō, wkroczył pod koniec listopada 1970 r. do budynku Japońskich Sił Samoobrony, gdzie po odczytaniu odezwy wzywającej między innymi do przywrócenia władzy cesarskiej popełnił seppuku.

Zamachy na japońskich polityków, często przy użyciu mieczy i sztyletów, wywołują jednak zupełnie inne reakcje. A emocje nie zawsze są po stronie poszkodowanych, co ma swoje źródła w przeszłości. Późne lata 20. oraz 30. to okres militarystyki japońskiego społeczeństwa. Edukacja koncentrowała się nie tylko na wpajaniu wartości patriotycznych, a wręcz nacjonalistycznych, ale również na utrwalaniu wartości związanych z kodeksem bushidō. Młodzi ludzie mieli być gotowi walczyć i ginąć za Japonię, a szczególnie za cesarza. Konsekwencją takich nastrojów był m.in. pravicowy ekstremizm.

Właśnie na początku lat 30. przypada fala zabójstw na tle politycznym. W ciągu zaledwie kilku lat pięciu polityków – w tym liczni byli premierzy, a w 1932 r. nawet urzędujący premier Tsuyoshi Inukai – zostało zamordowanych przez pravicowych radykałów, dla których ci politycy odeszli od tradycyjnych wartości.

Reakcja opinii publicznej była niejednorodna. Sprawcy oskarżali zamordowanych o działanie na szkodę Japonii, a swoje czyny uzasadniali głębokim patriotyzmem oraz oddaniem cesarzowi. Śmierć, która potencjalnie czekała sprawców, nie była przez nich odbierana jako kara, ale jako ostateczny dowód ich poświęcenia dla ojczyzny. Zarówno opinia publiczna, jak i sam cesarz nie potępili napastników, a wymierzone im kary były wyjątkowo łagodne. W efekcie japońska polityka zradycalizowała się jeszcze bardziej,

a ostateczny jej kres przyniosło dopiero zniszczenie Hiroszimy i Nagasaki.

Po wojnie wydawało się, że nie ma już powrotu do kodeksu samurajów czy poświęcenia życia dla cesarza. Jednak ekstremizm ani przemoc nie zniknęły z życia publicznego. W 1960 r. w trakcie transmitowanej na żywo w telewizji debaty 17-letni sprawca zabił Inejirō Asanuma, sekretarza Socjalistycznej Partii Japonii. Zabójca później sam nazwał się ultranacjonalistą, a do zbrodni – zgodnie z tradycją – użył krótkiego samurajskiego miecza. Nawiązywał przy tym do samurajskiego kodeksu i podkreślał swoje oddanie krajowi.

Przemocowi pravicowcy

Niecałe pół roku później ekstremiści zaatakowali dom redaktora naczelnego jednego z poczytnych tygodników. Jego samego nie było akurat w domu, ale zginęła służąca, a żona została poważnie ranna. Powód ataku? Pozornie prozaiczny – magazyn opublikował krótkie satyryczne opowiadanie, w którym cesarz i cesarzowa zostają ścięci na gilotynie przez lewicowy tłum. Uzbrojony w nóż, a także chusteczkę z poematem wychwalającym cesarza, zabójca postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość.

Ten akt terroru miał jednak paradoksalne konsekwencje. Zamiast potępienia, rozgorzała publiczna debata na temat wolności prasy i tego, czy i w jaki sposób powinna się ona odnosić do rodziny cesarskiej. Wtedy właśnie ukuto termin „chryzantemowe tabu” na określenie nieoficjalnego zakazu krytykowania i opisywania w jakimkolwiek negatywnym świetle rodziny cesarskiej.

O obowiązywaniu wciąż tego zakazu przekonał się 1990 r. burmistrz Nagasaki. Po tym jak prawie dwa lata wcześniej publicznie obarczył cesarza odpowiedzialnością za drugą wojnę światową, również stał się celem ataku przeprowadzonego przez pravicowego radykała. Hitoshi Motoshima przeżył i sprawował swój urząd do 1995 r.

Przemoc polityczna w Japonii jest niewątpliwie związana z pravicowym ekstremizmem. Pojedynczy sprawcy – przekonani, że wartości wpajane w okresie przedwojennym powinny być obecne również współcześnie – brali sprawę w swoje ręce. Bez nich, jak twierdzili, Japonia miała stać się słaba, podatna na zewnętrzne wpływy.

Owe akty przemocy jednak zawsze były jednostkowe, incydentalne, nie pociągały za sobą gwałtownych reakcji, nie nakręcały spirali nienawiści. Sprawcy – tak jak zabójca Abe – chętnie przyznawali się do winy i współpracowali z policją, ich czyny były bowiem w ich mniemaniu głęboko uzasadnione i moralnie słuszne. Kara, która

miała ich spotkać, niezależnie jak surowa, nie wzbudzała w nich strachu.

Ale również ofiary – z racji tego, że traciły życie i zdrowie w trakcie pełnienia publicznej służby – stawały się w istocie ucieleśnieniem tradycyjnych wartości. Ich śmierć stanowiła przykład ostatecznego poświęcenia dla nowej, demokratycznej Japonii, która nie może zbroczyć z wyznaczonej przed laty ścieżki. Taki zapewne będzie los legendy Abe.

Nie wszystkie japońskie zamachy można jednak wytłumaczyć politycznym czy ideologicznym radykalizmem. Morderstwo polityka Partii Demokratycznej w 2002 r. czy zabójstwo burmistrza Nagasaki w 2007 r. stanowiły raczej dowód na niebezpieczne związki polityków z organizacjami przestępczymi. Te zabójstwa wywołały z kolei debatę o bezpieczeństwie osób publicznych w Japonii. Ale ostatecznie nie doprowadziły do zmiany prawa, a tym bardziej do zmiany zachowania polityków.

Taki bezpieczny kraj

Pomimo zabójstwa Abe Japonia pozostaje krajem bezpiecznym nie tylko w wyobrażeniach samych mieszkańców, ale i w liczbach. Zarówno generalny wskaźnik przestępczości, jak i dane dotyczące przestępstw z użyciem broni czy też morderstw pozostają na niezmiennie niskim poziomie.

Wszelkie demonstracje, wiece polityczne, publiczne wystąpienia odbywają się zazwyczaj w sposób niezwykle zorganizowany, a uczestnicy zawsze bardzo blisko współpracują z władzą. Dla Japończyków ważne jest bowiem, aby ich publiczna aktywność w jak najmniejszym stopniu wpływała na tych, którzy nie są w nią zaangażowani. Harmonia, również w życiu społecznym, jest wartością nadrzędną. Ale od tej harmonii są oczywiście wyjątki.

Przesadne poczucie bezpieczeństwa miało tragiczne konsekwencje dla Abe. Skromna ochrona, która mu towarzyszyła, nie była wynikiem nieodpowiedzialności, lecz brała się z głębokiego poczucia, że w japońskim społeczeństwie politycy mogą czuć się bezpieczni również w trakcie bezpośrednich spotkań z wyborcami. Tragedie z przeszłości były traktowane nie tylko jako aberracje, ale też jako element skostniałej i dawno już odrzuconej tradycji.

Ta tradycja przemawia jednak wciąż do niektórych Japończyków. I jest tym bardziej niebezpieczna, że wyposaża ich w poczucie moralnej wyższości, czasami usprawiedliwiającej zabójstwo.

Dr Maciej Pletnia jest kulturoznawcą, specjalistą od Japonii w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Im więcej dziupli, tym zdrowszy las

Dziuple to skarbcze bioróżnorodności. Szukajmy ich i zgłaszajmy leśnikom. To prosty i skuteczny sposób na ocalenie najcenniejszych przyrodniczo drzew, które zbyt często znikają w tartaku, papierni lub kotle elektrociepłowni.



DJĘDRZEJ WINIECKI

dziuple są ważne. W polskich lasach korzysta z nich ok. 40 gatunków ptaków oraz dwudziestka ssaków. W tym czwórka gryzoni z rodziny pilchowatych, przesypiających we wnętrzu drzew większą część życia. Opatulone puszystymi ogonami żołądnice czy popielice są częstą ilustracją memów o śpilukolocie, młodzieżowym słowie 2021 r. W dziuplach schronienie znajduje także 9 gatunków nietoperzy. I zwierzaki tak duże jak wilki i niedźwiedzie, choć one oczywiście potrzebują odpowiednio przestronnych wnętrz tuż przy ziemi, także przechodzących w nory oraz drzew stosownie starych i potężnych. Do tego trzeba doliczyć sporo grzybów i owadów, w tym pszczoł. Ustalono na przykład, że w polskiej części Puszczy Białowieskiej z dziuplami związane jest przynajmniej 455 gatunków chrząszczy – a przecież to tylko wycinek wybitnie różnorodnego owadziego towarzystwa.

Dziuple są różne. Najłatwiej rozpoznawalne są te tworzone przez dzięcioły. Wyglądają jak kieszenie głębokie na kilkanaście do kilkudziesięciu centymetrów z jednym okrągłym otworem u góry. – Wykucie dziupli w litym drewnie to poważna praca i nic dziwnego, że dzięcioły ewolucyjnie dostosowały się do starannego wyszukiwania drzew odpowiadających ich potrzebom. Biorą

pod uwagę gatunek, wielkość drzewa i grubość pnia – zauważa prof. Grzegorz Mikusiński, czołowy badacz europejskich dzięciołów ze Szwedzkiego Uniwersytetu Rolniczego. Dzięcioły są racjonalne: szukają drewna, które jest miękkie dzięki obecności grzybów. Znaczenie ma również otoczenie – w tym ekspozycja na wiatry i słońce oraz to, czy w pobliżu mogą się dostać drapieżniki. – *Dzięcioły wykutej przez siebie dziupli legowej używają zazwyczaj tylko raz i co sezon potrzebują innego dogodnego miejsca na nową* – mówi prof. Mikusiński. Ale dla wielu innych organizmów takie schronienie jest skarbem na długo.

Biologowie przyglądają się dynamice wykorzystywania pustostranów. Ornitolodzy zauważyli, że wśród podzięciolich dziupli największe wzięcie mają te świeże, wykute do pięciu lat wstecz. Chociaż ze starych, wykutych w sosnach, korzystają np. jerzyki (występujące dziś przede wszystkim w miastach, do których przeniosły się z lasów).

– Ptaki wykorzystują dziuple także poza sezonem legowym – dodaje prof. Mikusiński. – *Potrzebują wręcz całych sieci sypialni, tu idealne są duże, wypróchniałe drzewa z kilkoma wyjściami pozwalającymi łatwiej uciekać przed drapieżnikami.* Dziuple zamieniane są także w spiżarnie. Zapasy na zimę robią w nich m.in. kowaliki i niektóre sikory. Na przykład czubatka potrafi dzięki temu przetrwać zimę w lesie znacznie bardziej komfortowo niż powszechnie znana modraszka, która zapasów nie gromadzi. Zapobiegliwe są również ssaki oraz sowy, w tym te najmniejsze – sóweczki i włochatki.



Jednym z mieszkańców dziupli jest pachnica dębowa – rzadki i chroniony gatunek chrząszcza. Obok: pójdzka (*Athene noctua*).

O dziuple trzeba dbać. Oprócz tych kutyh przez dzięcioły są jeszcze „naturalne”, czyli powstające m.in. w wyniku uszkodzeń mechanicznych, takich jak odłamanie konaru lub jego części. Największe mogą być zaś konsekwencją skałeczenia przez powalonego przed laty wiatrem sąsiada, który upadając, zerwał korę z dużej powierzchni pnia. Jeśli rana jest tak rozległa, że drzewo nie radzi sobie z jej zablźnieniem, uczują na niej grzyby rozkładające materię drzewną.

Komora wchodząca głęboko w głąb pnia staje się tzw. mikrosiedliskiem, czyli miejscem zamieszkiwanym przez bogatą faunę żyjącą w próchnie. Nawet w naszej części Europy występują tam zapewne gatunki jeszcze nieopisane przez naukę. Podobnie ważne są rozmaite wklęsłości, zwłaszcza wtedy, gdy gromadzi się w nich woda deszczowa. Właśnie w takich drzewnych wanienkach zwanych dendrotelmami rozwija się sporo gatunków owadów, w tym komarów.

– Na Zachodzie aktywnie szuka się w lasach tych tzw. legacy trees, czyli drzew stanowiących rezerwuuar bioróżnorodności. Pierwszym oczywistym wyborem będą te dziuplaste, łatwe do zidentyfikowania. Z badań wiadomo, że lasy z większą liczbą dziupli mają bardziej różnorodną faunę – stwierdza prof. Mikusiński. Dzięcioła dziupla jest wskaźnikiem, że wybrane przez ptaka drzewo ma najprawdopodobniej właściwości cenne także dla wielu innych gatunków. Nawet jeśli wykuta komora zarośnie, to drzewo nadal utrzymuje swój charakter dostarcyciela mikrosiedlisk. Prawie na pewno obecne są

w nim grzyby, pojawić się mogą ich owocniki. A same huby zapewniają miejsce dla owadów i ponownie dzięciołów, które w sąsiedztwie hub chętnie kuja nowe mieszkania.

Z dziuplami w lesie ma być jak z lodowcem, który potrzebuje corocznego zaopatrzenia w śnieg w ilości większej niż porcja topniejąca w ciepłym sezonie. Ich niezbędna obecność będzie utrzymana, jeśli będą wykuwane co roku, a drzewa z nimi pozostaną w lesie. – *Jeśli jakieś ma dużą wartość, to zostawiłbym także drzewa rosnące po sąsiedzku, bo one też mają wpływ na warunki panujące w dziuplach* – dodaje prof. Mikusiński.

Tu kluczowa jest postawa Lasów Państwowych.

Dziuple wpadły jednak w prawną próżnię. Od 13 lutego nie obowiązuje rozporządzenie ministra środowiska z 18 grudnia 2017 r. w sprawie wymagań dobrej praktyki w zakresie gospodarki leśnej, a co za tym idzie przepis, że „drzewa dziuplaste pozostawia się do ich naturalnego rozpadu”. Rozporządzenie uchylono, bo wydano je na podstawie przepisów oprotestowanych przez Komisję Europejską. – *Nowych dobrych praktyk nie ma, znany jest tylko ich projekt* – mówi Marta Jagusztyn-Krynicka, założycielka Lasów i Obywateli, fundacji najbardziej znanej z mapy planowanych leśnych wycinek. – *Teoretycznie przewiduje on, że drzewa z dziuplami powinno się w lesie oznaczać, ale wykreślono przepis, by pozostawiać je do samoistnego rozpadu. Zresztą wytycznych poprzedniego rozporządzenia też nie traktowano poważnie.*



© PIOTR KAMIŃKA/REPORTER

Dzięcioły wykutej przez siebie dziupli lęgowej używają zazwyczaj tylko raz. Później mogą z niej korzystać inne organizmy.

► Lasy Państwowe zarządzają 7,3 mln z 9,2 mln zalesionych polskich hektarów i mają własne reguły obchodzenia się z drzewami. Te dziuplaste w przygotowanym przez instytucję dokumencie „Zasady hodowli lasu” wymienione są dwukrotnie: uważane są za pożyteczne i cenne, więc – obok m.in. drzew pomnikowych – powinny pozostawać jako „pożądane elementy strukturalne i funkcjonalne nowego drzewostanu”.

Więcej uwagi drzewom z dziuplami poświęca „Instrukcja ochrony lasu”. Jeśli zasiedlają je ptaki lub inne gatunki zwierząt, są wypełnione próchnem lub są w nich próchnowiska powstałe w miejscach zranień po obumarłych gałęziach, są traktowane jako tzw. biocenotyczne, czyli zwiększające różnorodność biologiczną. Co do zasady powinny one zatem pozostać w lesie, bo to sposób na czynną ochronę ptaków owadożernych i nietoperzy.

Aczkolwiek są wyjątki: ścinane są wypróchniałe drzewa stojące przy drodze czy szlaku turystycznym. Argumentem – bardzo szerokim – jest zagrożenie pożarowe albo związane z masowym pojawem owadów (w tym przypadku kłodę należy wręcz wywieźć). Dyrekcja generalna Lasów Państwowych zapewnia, że leśniczowie przed rozpoczęciem prac „mają obowiązek wyszukiwać m.in. drzewa dziuplaste, wyraźnie je oznaczyć, aby wykonawca prac je widział, oraz pozostawić w stanie nienaruszonym do naturalnego rozpadu”. Przyznaje jednak, że zdarzają się przypadki przeoczenia dziupli. Bo jedno są widoczne z daleka, ale inne są umieszczone w miejscach zupełnie niedostępnym dla obserwatora stojącego na ziemi. Poza tym w lasach liściastych późną wiosną, latem i wczesną jesienią znalezienie dziupli jest trudniejsze. I stwierdza, że „aby mieć stuprocentową pewność, należałoby wejść na każde drzewo, a to z oczywistych powodów nie jest możliwe”.

Dodajmy, że wycinki prowadzone są także w sezonie lęgowym i Lasom Państwowym zdarza się wycinać drzewa z pisklętami wewnątrz. Leśnicy deklarują, że ewentualnych nieszcześnieńków – o ile młode przeżyją zniszczenie ich domu – odstawiają do ptasich azylów, część z nich prowadzona jest przez Lasy Państwowe. Co robić gdy spotkamy w lesie wycięte drzewo z pisklętami w środku? Dać znać leśnikom – odpowiadają aktywiści leśni – i dzwonić na policję, która nie może zignorować sprawy, bo prawdopodobnie doszło do istotnej szkody przyrodniczej i popełnienia przestępstwa.

Lasy Państwowe muszą też kierować się wytycznymi certyfikatu Forest Stewardship Council (Rada Odpowiedzialnej Gospodarki Leśnej, FSC), który jest zbiorem dobrych praktyk leśnych, mających gwarantować, że surowiec drzewny uzyskano z poszanowaniem interesów przyrody. Znak FSC jest szeroko rozpoznawalny,

pożądaną go branżę budowlana, meblarska czy papiernicza. Standard stawia wymóg nie tylko identyfikowania i zachowania drzew z dziuplami (znów, z wyjątkami), ale także tych, w których mogą się one dopiero tworzyć. Ale i z tym w praktyce bywa różnie – czasami działania są rażąco sprzeczne z deklaracjami systemu FSC.

Dziuple z lasów i tak znikają. Wiele dowodów na to zebrał Adam Bohdan z fundacji Dzika Polska. Regularnie znajduje drzewa z nimi zaznaczone do wycięcia. Często z tak dużymi, że można do nich włożyć rękę, więc nadającymi się np. na gniazdo dla puszczyka lub włośchatki. – *W Puszczy Boreckiej, gdzie w ubiegłym roku prowadziliśmy monitoring pachnicy dębowej, rzadkiego i ściśle chronionego chrząszcza, znaleźliśmy dziesiątki drzew już wyciętych – mówi biolog. – A mogły one być siedliskiem i dla pachnicy, i dla wielu innych gatunków.*

Z drugiej strony Bohdan jest pozytywnie zaskoczony, gdy leśnicy sami znakują drzewa biocenotyczne literką E. I dodaje, że wszystko zależy od dobrej woli konkretnego leśniczego: – *Jeśli mu nie zależy, drzewa dziuplaste są usuwane.*

Dziuplom brakuje jasnej definicji. Otwiera to pole do twórczych interpretacji. – *Często spotykamy się z leśnikami w terenie – relacjonuje Adam Bohdan. – Podczas dyskusji padają różne, czasem absurdatne argumenty: że dziupla w drzewie zaznaczonym do wycięcia jest za mała, za wąska, umiejscowiona pod niewłaściwym kątem, za wilgotna, niewłaściwa dla ptaka – jakby innych gatunków w lesie nie było. Zdarzało się, że staliśmy przy dziupli z funkcjonującym gniazdem, a leśnik i tak upierał się, że żaden ptak nie będzie z niej korzystał. Niemniej jakąś część wskazanych drzew udaje się zachować. – W Puszczy Knyszyńskiej kilka lat temu realizowaliśmy projekt ochrony włośchatki – opowiada. – Wskazaliśmy leśnikom około pół tysiąca drzew, głównie sosen z dziuplami wykutymi przez dzięcioła czarnego. I zdecydowaną większość zachowano, choć kilkadziesiąt i tak wyjechało z lasu.*

Z praktyki wynika, że leśnicy mają osobliwe nabożeństwo przede wszystkim do wykorzystywanych przez ptaki dziupli dzięciolich. – *Wersja, że tylko one zasługują na pozostawienie w lesie, to z naukowego punktu widzenia bzdura, a w najlepszym wypadku straszliwie uproszczenie – oburza się prof. Grzegorz Mikusiński.*

Usunięcie drzewa z dziuplą to dla lasu mała katastrofa – pisze w poradniku ich ochrony fundacja Lasy i Obywatele. I skoro dzieje się tak przez nieuwagę lub zaniedbanie leśniczek i leśników z Lasów Państwowych, które nie prowadzą ewidencji drzew dziuplastych, to postanowiła wesprzeć system, tworząc narzędzie ułatwiające zgłaszanie drzew dziuplastych w lasach. Takie „dziuplobranie” sprostada się do wypełnienia prostego formularza, dostępnego pod adresem: lasyobywatele.pl/dzrewa-dziuplaste. – *Mamy nadzieję, że jeżeli wiele osób będzie szukać drzew dziuplastych i je zgłaszać, to uda się ochronić więcej drzew i zbudować masę krytyczną dopingującą leśników do większej staranności – mówi Marta Jagusztyn-Krynicka.*

Dziuple są dobrem luksusowym. W naturalnych grądach Białowieskiego Parku Narodowego jest ich przeciętnie raptem 12 na hektar. Średnia dla lasów gospodarczych, stanowiących zdecydowaną większość krajobrazu leśnego Polski, tylko wyjątkowo przekracza 5 na hektar, z reguły jest ich sporo mniej. W takich lasach najważniejsze są dziuple dzięciolów. Z prostej przyczyny: „naturalnych” dziur w drzewach prawie tam nie ma, bo nie mają szans się uformować. To skutek praktyk gospodarczych w leśnictwie i – w tym wypadku rzetelnie przestrzeganych – zaleceń o usuwaniu drzew o obniżonej kondycji. A właśnie w nich w pierwszej kolejności mogłyby powstać porządne spiżarnie, stołówki i schowki.

JĘDRZEJ WINIECKI

Problem musi być piękny

KAROL JAŁOCHOWSKI

Ukrainka **Maryna Wiazowska** dostała medal Fieldsa – najbardziej prestiżową nagrodę branży, matematyczny odpowiednik Nobla. Jest drugą kobietą wyróżnioną w ten sposób. Za co?

Kula wpisana w walec. Jej powierzchnia stanowi dwie trzecie jego powierzchni. Podobnie jest z objętościami. Dowiódł tego Pitagoras. Był tak dumny z wyniku, że kazał uwiecznić dwie bryły na swoim nagrobku. Grób genialnego Greka nie przetrwał, ale obraz tak – na medalu wręczanym co cztery lata najwybitniejszym matematykom świata.

W tym roku złoty krążek trafił w ręce trzech wybitnych naukowców, których nazwiska zapewne szybko znikną z kolektywnej pamięci. To James Maynard z University of Oxford, June Huh z Princeton University i Hugo Duminil-Copin z podparyskiego Institute of Advanced Scientific Studies. Wyjaśnienie tematyki ich badań wykracza poza ramy prasy głównego nurtu.

Fields trafił też do Maryny Wiazowskiej. Jej nazwisko szybko wybiło się na szczyt listy zapytań Google'a. Bo nie dość, że jest kobietą, to jeszcze kobietą ukraińską. A przy tym istotę jej odkrycia da się wyjaśnić bez ofiar wśród czytelników – bo budzi skojarzenia z czymś codziennym i namacalnym. Zastosowanie tu mają słowa samej Wiazowskiej. – *Jak wybieram problemy, których się podejmuję? Muszą być piękne. I muszą odnosić się do czegoś już mi znanego.*

Struktury skrajnie nieoczywiste

Kwestia, którą zajęła się Wiazowska, jest stara jak świat: Jak możliwie gęsto wypełnić przestrzeń kulami? W dwóch wymiarach sprawa jest prosta, bo w nich kula to nic innego jak koło. Każda pszczoła budująca ul zna rozwiązanie: plastry miodu składa z sześciokątnych komórek. Koła należy ułożyć identycznie. Wypełnią ponad 90 proc. powierzchni.

Jak się rzeczy mają w trzech wymiarach? Johannes Kepler pytał o to już w roku 1611 i wpadł na dobry pomysł: kule należy ułożyć w piramidę, tak ►

© FRED MERZ/LUND13

► jak to robią sprzedawcy pomarańczy na bliskowschodnich czy azjatyckich straganach. Wypełnią wtedy ok. 74 proc. przestrzeni. Ale wielki Niemiec nie potrafił udowodnić, że kul nie da się upakować jeszcze gęściej.

Niemal 400 lat później zrobił to matematyk amerykański Thomas Hales. Ale w mało przekonującym, siłowym stylu: do dowodu, który spisał na 250 stronach, doszedł, wspomagając się komputerem. Upłynęło wiele czasu, zanim matematycy zdołali osiągnąć graniczące z pewnością przekonanie, że miał rację.

Kiedy liczba wymiarów przekracza cztery, prosta intuicja i metafory pomarańczy zdają się zawodzić. Wiadomo, że ważniejszy od kształtu przestrzeni, w którym zamknięte są wielowymiarowe kule, staje się ich rozmiar. Wiadomo też, niestety, że nie ma jednej skutecznej metody szukania optymalnego upakowania. Każdy wymiar wymaga osobnej. Oparcia trzeba szukać w rozmaitych skomplikowanych, słabo poznanych funkcjach pomocniczych. Tu właśnie Wiazowska okazała się bezkonkurencyjna.

Henry Cohn, matematyk z Microsoft Research i Massachusetts Institute of Technology, mówi, że Ukrainka sięga po rozwiązania, które są dla większości matematyków całkowicie nieoczywiste. „Odkrywa bardzo proste, naturalne, wspaniałe struktury, których istnienia nikt się nie spodziewał” – zachwycał się w magazynie naukowym „Quanta”.

Skoki oraz małe kroki

Tego, że urodzona sześć lat przed rozpadem Związku Radzieckiego Wiazowska wejdzie w bliskie związki z matematyką, można się było spodziewać. W dzieciństwie czytała powoli (choć później zaczytywała się w powieściach braci Strugackich), pisała chaotycznie, ale liczyła błyskawicznie. Z czasem równie szybko i sprawnie zaczęła się poruszać między dziedzinami wydawałoby się odległymi – algebrą i analizą matematyczną. Stąd, między innymi, jej skuteczność. – *Jaki jest mój styl pracy? – zastanawia się dziś. – Małe kroki czy raczej skoki? Duże skoki są fajne, ale niebezpieczne. Można się przewurcić.*

Z przyczyn tajemniczych dla samych matematyków nie wszystkie przestrzenie stawiają jednakowy opór. Nieco przyjaźniejsze dla badaczy maksymalnego upakowania kul wydawały się przestrzenie ośmio- i dwudziestoczterowymiarowe. Czuli to, ale nie potrafili udowodnić. Czekali na nowego geniusza w rodzaju samouka Srinivasy Ramanujana. Aż pojawiła się Maryna



Maryam Mirzakhani jest laureatką medalu Fieldsa z 2014 r. E-mail o przyznaniu jej tej nagrody matematyczka uznała za spam.

Wiazowska. Też trochę jakby spoza systemu, bo z Ukrainy. Jej analizy i dowody porównywane są do najwspanialszych, przełomowych osiągnięć matematyki XIX w. Czasu, kiedy uczeni zaczęli rozwiązywać problemy niepoddające się analizie od setek lat.

W pierwszym przypadku (gdy wymiarów jest osiem) wraz ze współpracownikami Wiazowska udowodniła, że najefektywniejszym sposobem ułożenia kul jest tzw. sieć E8, w której upakowanie wynosi ok. 25 proc. To dużo jak na tego typu przestrzeń, bo wraz ze wzrostem liczby wymiarów rośnie liczba wielowymiarowych luk między wielowymiarowymi kulami. W przypadku ośmiu wymiarów stają się one na tyle duże, że mieszczą się w nich dodatkowe kule. Dokładnie, „na styk”.

W drugim przypadku (w 24 wymiarach) – jak dowiodła Wiazowska – najlepiej układać je w tzw. sieć Leecha. Wypełnienie wynosi wtedy ok. 0,019 proc. Niewiele, ale każda sfera styka się tam z blisko dwustoma tysiącami innych sfer (jak myśleć o takich zjawiskach, podpowiada Jerzy Tyszkiewicz, dyżurny matematyk pulsara – projektulsar.pl).

– *Sieci Leecha są obiektami ekstremalnie pięknymi. Ale wyobrażanie ich sobie jest niebezpieczne dla zdrowia psychicznego* – wyjaśnia Wiazowska w wykładzie, który dała tydzień temu, podczas organizowanej przez Uniwersytet Warszawski konferencji String-Math. – *Mówienie*

o tych obiektach zajęłoby mi cały semestr albo nawet dwa. A czasu miała jeszcze mniej niż planowano, bo pozytywny wynik testu na obecność popularnego obecnie wirusa sprawił, że spotkanie odbyło się w formie zdalnej. Pytania zadawaliśmy więc na youtubowym czacie.

Na przykład dotyczące kolejnej przestrzeni, w której uda się określić maksymalne upakowanie. – *Gdybym miała typować, wskazałabym na czwarty wymiar. Ile lat minie, zanim znajdziemy odpowiedź? Może rok, może 100. Moja optymistyczna prognoza to czas od roku do 10 lat* – stwierdziła Wiazowska konkretnie, głosem mocnym, niskim nie z choroby, a z natury.

Układanie abstrakcyjnych kul w wielowymiarowych przestrzeniach wydaje się czynnością skrajnie niepraktyczną. Ale matematyka niejedną już raz pokazała jeden z palców wszystkim tym, którzy uważają ją za dziedzinę oderwaną od rzeczywistości.

Przesyłanie sygnałów zaszumionymi kanałami stało się znacznie efektywniejsze dzięki odkryciom podobnym do tego, które było udziałem ukraińskiej matematyczki. Usprawniają one łączność radiową i światłowodową. To dzięki nim telefon komórkowy nie jest telefonem głuchym i mamy szansę zobaczyć, jak internetem rządzą kotki. To także za ich właśnie sprawą niewiarogodnie słabe sygnały z podróżujących poza Układem Słonecznym sond

Medal i ideologia

Dla nagrodzonych medal Fieldsa to bilet do lepszej przyszłości. Ale nie wszyscy chcieli lub mogli przyjąć.

Alexander Grothendieck – jeden z najwybitniejszych matematyków XX w., postać kalibrem zbliżona do Einsteina, a zarazem szerzej nieznaną – odmówił przyjęcia nagrody. Był 1966 r., a Związek Radziecki intensywnie ingerował w politykę wewnętrzną krajów Europy Wschodniej. Medal miał być wręczany w Moskwie, co wzbudziło sprzeciw Grothendiecka, człowieka, który z czasem bardziej niż nauce poświęcał się działalności pokojowej i medytacjom. Ostatnich kilkanaście lat spędził w ukryciu, w małej wiosce u podnóża Pirenejów, żywiąc się zupą z mniszka. Medal jednak w końcu odebrał.

Polityka weszła też w kolizję ze świętem matematyki w przypadku **Siergieja Nowikowa**, laureata z 1970 r., i **Grigorija Margulisa**, medalisty z 1976 r. Obu przyblokowało ich opiekuńcze państwo. Nie mogli odebrać medali – odpowiednio z Nicei i Helsinek. Nikt natomiast nie pojawił się na kongresie Międzynarodowej Unii Matematycznej w 1982 r. Miał się odbyć w Warszawie, ale imprezy z udziałem gości zagranicznych w stanie wojennym nie były mile widziane.

Być może najwięcej uwagi skupił medal Fieldsa w 2006 r., kiedy to w ślady Grothendiecka poszedł rosyjski matematyk **Grigorij Perelman**. „Nie jestem zainteresowany pieniędzmi ani sławą – miał wtedy powiedzieć. Nie chcę być pokazywany na wybiegu jak zwierzę w zoo. Nie jestem tym rodzajem matematyka. Nie jestem nawet tak dobry; dlatego nie chcę, żeby wszyscy na mnie patrzyli”.



Voyager 1 i Voyager 2 po pokonaniu miliardów kilometrów przestrzeni kosmicznej wciąż dają się odczytać.

Ścieżka w dżungli

Maryna Wiazowska jest drugą kobietą wyróżnioną nagrodą, którą ustanowiono w 1936 r. dla uczczenia kanadyjskiego matematyka Johna Charlesa Fieldsa. Pierwszą była Maryam Mirzakhani – badaczka urodzona w Iranie, a w chwili otrzymania nagrody, w 2014 r., żyjąca w Stanach Zjednoczonych. Sześćdziesiąt dwie pozostałe osoby to mężczyźni.

„Nie mam żadnej recepty. To jak zgubić się w dżungli i próbować użyć całej wiedzy do wynalezienia nowych tricków. Przy odrobinie szczęścia może uda się znaleźć wyjście” – w ten sposób Mirzakhani opisywała proces poszukiwania rozwiązań problemów, których nikt jeszcze przed nią nie rozwiązał. Efekty były monumentalne. Wydeptując ścieżki przez las tropikalny, Iranka znalazła ukryte połączenia między topologią, geometrią i innymi dziedzinami matematyki. Rozkładała arkusze papieru na podłodze, godzinami rysowała wyobrażone struktury z takim zapamiętaniem, że jej mała córka zwykła wykrzykiwać: „O, mama znouu maluje!” (cytaty za magazynem „Quanta”).

Państwo, które opuściła w wieku dwudziestu paru lat, uważało ją za symbol mocy perskiej myśli naukowej. I ponieważ słusznie – przeszła publiczną ścieżkę

edukacji – podobnie zresztą jak Maryna Wiazowska. Ale nie widziała siebie w kategoriach symbolicznych. Już mając status międzynarodowej sławy, równie chętnie wdawała się w rozmowy z innymi medalistami Fieldsa, jak i ze studentami pierwszego roku. Samą natomiast informację o otrzymaniu medalu – e-mail od Ingrid Daubechies, szefowej Międzynarodowej Unii Matematycznej – uznała za spam.

Przechodziła już wtedy chemioterapię. Guz piersi miał się wkrótce rozprzestrzenić po całym ciele. Była tak słaba, że podczas związanych z nagrodą uroczystości na każdym kroku towarzyszyły jej koleżanki. Sześć znakomitych matematyczek, z Daubechies na czele, broniło Mirzakhani przed ciekawością mediów i entuzjazmem przypadkowych rozmówców. Umarła 17 lipca 2017 r., w wieku 40 lat.

Właśnie – pisząc o medalu Fieldsa, czasem zapomina się dodać, że zgodnie z życzeniem fundatorów otrzymują go tylko osoby przed czterdziestką. Jednym z powodów niskiej reprezentacji kobiet może być fakt, że obniżają swoje szanse na wyróżnienie, decydując się na posiadanie dzieci. Poświęcają kilka lat na ich wychowanie i w wyścigu zwanym karierą zawodową zostają zwykle w tyle za mężczyznami. A regulamin nagrody jest ślepy na tę różnicę. Maryna Wiazowska ma dwuletnią córkę i trzynastoletniego syna. Ten ostatni pamięta, że kiedy rodzina mieszkała w Berlinie, a matka pracowała właśnie nad trudnym

problemem, był ostatnim dzieckiem odbieranym z przedszkola.

Kwiaty z ogrodu matki

Ogłoszenie zdobywców medalu Fieldsa miało się odbyć podczas uroczystości otwarcia Międzynarodowego Kongresu Matematyków, największej imprezie tego typu. Osiem lat temu naukowcy zjechali do Seulu, cztery lata temu do Rio de Janeiro. W tym mieli spotkać się w Petersburgu. Ale zamiast przechadzać się nad Nową, werdykt komitetu omawiali nad rzeką Vantaa, przepływającą przez Helsinki. Międzynarodowa Unia Matematyczna zapewnia, że decyzja o wyróżnieniu Ukrainki zapadła jeszcze przed wybuchem wojny.

Wiazowska studiowała m.in. na Uniwersytecie im. Tarasa Szewczenki, ale od lat mieszka w Szwajcarii. Pracuje na EPFL (École Polytechnique Fédérale de Lausanne), jednej z najlepszych uczelni na świecie. Kieruje tamtejszą Katedrą Teorii Liczb. W marcu dołączyła do niej siostra z dziećmi. Reszta rodziny pozostała w Ukrainie. Także jej rodzice.

Matematyczka wspominała o nich podczas warszawskiego spotkania. Wykład poświęcony historii badań nad wielowymiarowymi przestrzeniami i własnych dociekań zamknęła w nietypowy sposób. – *Między wojnami są chwile pokoju. Widzieliśmy tyle przerażających obrazów. Dziś pokazuję więc wam zdjęcia z ogrodu mojej matki. Kwiaty spod Kijowa.*

KAROL JAŁOCHOWSKI

Kosmos w ziarnku piasku

Teleskop Jamesa Webba zakotwiczył na dobre 1,5 mln km od Ziemi. Odpalił aparaturę, przetestował systemy – i 11 lipca, pół roku po wystrzeleniu, zaczął przysyłać zdjęcia. Odsłaniają one najbardziej ukryte regiony wszechświata.

ŁUKASZ TYCHONIEC

O zawrót głowy mógł przyprawić już pierwszy obraz wykonany przez James Webb Space Telescope (JWST) – ten, który w poniedziałek, 11 lipca z dumą prezentował prezydent USA Joe Biden **1**. Nazwano go Webb's First Deep Field – „głębokie pole Webba”. Przedstawia niezwykle bogatą i różnorodną gromadę galaktyk oddaloną o 4,6 mld lat świetlnych od Ziemi.

podczerwieni Near-Infrared Spectrograph (NIRSpec) zbadał 48 obiektów, używając specjalnych sieci detektorów o rozmiarach przekroju ludzkiego włosa. Odkryte przez ten wyrafinowany spektrograf linie emisyjne pierwiastków pozwalają nie tylko dokładnie wyznaczyć odległość do galaktyk (najdalsza zarejestrowana przez Webba znajduje się 13,1 mld lat świetlnych od nas), lecz także zbadać podstawowy skład chemiczny tych obiektów.

Kolejne cele wydają się całkiem bliskie. W odległości 290 mln lat świetl-

nych od Ziemi znajduje się Kwintet Stephana, wspaniała grupa galaktyk, które łączą się w kosmicznym tańcu (fot. **3**). Webb jest w stanie obserwować regiony aktywnego powstawania gwiazd w każdej z nich, a także – co szczególnie fascynujące – narodziny gwiazd, do których między nimi dochodzi. Dzięki temu dowiemy się, jaki wpływ na to zjawisko mają interakcje między galaktykami.

Inny instrument Webba – Mid-Infrared Instrument (MIRI) – dostarczył informacji o spektrum światła pochodzącego z jądra jednej z galaktyk (długości fal od 5 do 28 mikrometrów). Wiemy już zatem, jaki rodzaj gazu odpowiada za emisję światła (zaobserwowano w nim m.in. siarkę, tlen i żelazo) oraz z jakiego regionu galaktyki dokładnie jest on emitowany. To przedsmak tego, jak dane z JWST wpłyną na zrozumienie procesów chemicznych w odległych galaktykach i w bliżej położonych obłokach molekularnych.

Pozostałe obiekty zaobserwowane przez Webba znajdują się w naszej Galaktyce. Należy do nich wspomniana już mgławica planetarna o nazwie Południowy Pierścień – wyjątkowy układ podwójny w ostatnich



W skrawku nieba o rozmiarach ziarnka piasku trzymanego w wyciągniętej dłoni (tak to tłumaczył szef NASA Bill Nelson).

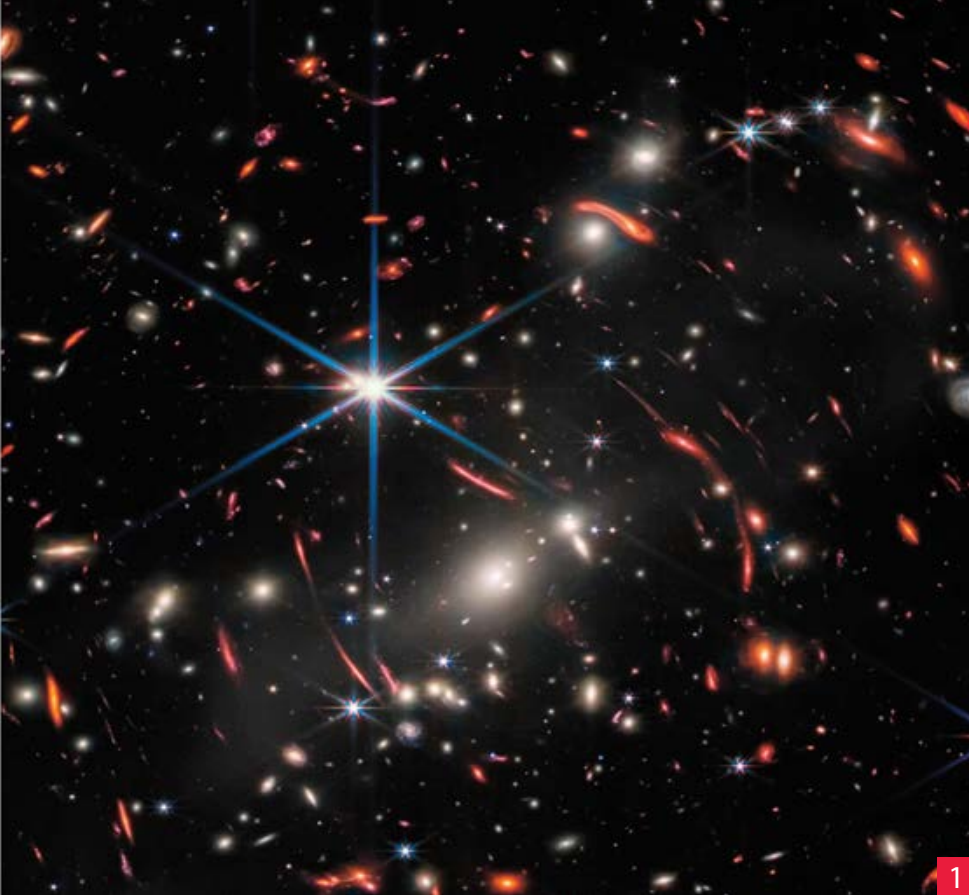
Przegląd pozostałych zdjęć dowodzi jednak, że każde pole widzenia Webba to głębokie pole, czyli obraz najodleglejszych i najstarszych części wszechświata. Na przykład na zdjęciach mgławicy planetarnej o nazwie Południowy Pierścień, między strumieniami pyłu możemy dostrzec spektakularną galaktykę występującą w roli „mistrza drugiego planu” (ukośna kreska w lewej części fot. **4**, **5**).

Każdy z instrumentów JWST miał swój moment chwały. Pracujący w zakresie

W skrawku nieba o rozmiarach ziarnka piasku trzymanego w wyciągniętej dłoni (tak to tłumaczył szef NASA Bill Nelson).

W skrawku nieba o rozmiarach ziarnka piasku trzymanego w wyciągniętej dłoni (tak to tłumaczył szef NASA Bill Nelson).





1

zbadał atmosferę gazowego olbrzyma WASP 96-b i odkrył w niej wodę. Ukazał sygnaturę tej substancji w atmosferze egzoplanety już w pierwszych obserwacjach i to z dużo większą precyzją niż teleskop Hubble'a, który potrzebował na to aż 23 lat. W momencie jego uruchomienia, w 1990 r., nie znaliśmy ani jednej planety pozasłonecznej. Dziś wiemy o ponad pięciu tysiącach.

Na deser otrzymaliśmy – najbardziej moim zdaniem spektakularne – zdjęcie przedstawiające „kosmiczny klif” obłoku Carina – obszar gwiazdotwórczy znajdujący się niespełna 8 tys. lat świetlnych od Ziemi (fot. 2). Mamy tu wszystko: mrowie młodych gwiazd zanurzonych w pyłowym kokonie (z którego powstają). Wyrzucane w przestrzeń strumienie plazmowej materii zwane dżetami (obwieszczające narodziny nowej gwiazdy). Wreszcie: pióropusze ulatniającego się gazu i pyłu na krawędzi klifu. Ten obraz wykonany w podczerwieni zwiastuje początek nowej ery badań pierwszych etapów życia gwiazd.



4



5

fazach ewolucji. Umierająca gwiazda w pożegnalnych fajerwerkach wyrzuca w przestrzeń ogromne ilości gazu i pyłu. Sprawczyni tego spektakularnego widowiska była do tej pory trudna do uchwycenia z powodu kompana, który zdecydowanie dominuje w świetle widzialnym (fot. 4). Ale schowana za pyłowym dyskiem gwiazda stała się widoczna w podczerwieni (fot. 5). Czulość teleskopu Webba w tym zakresie jest bezprecedensowa.

Rewolucyjnych wyników należy się spodziewać w obserwacjach egzoplanet (planet krążących wokół gwiazd innych niż Słońce). Na dobry początek Webb

To dopiero początek odkryć teleskopu Webba. Dane z 12 lipca już trafiły do ogólnodostępnego archiwum. Tysiące astronomek i astronomów (wraz z niżej podpisanym) już się nimi bawią. Przeglądając je z zachwytem, planują kolejne obserwacje.

Autor jest astrofizykiem pracującym w Europejskim Obserwatorium Południowym w Garching (Niemcy). Bada procesy formowania się planet i gwiazd. Używa w tym celu danych z teleskopów radiowych, takich jak ALMA i VLT, a teraz także z Kosmicznego Teleskopu Jamesa Webba.



Ching Shih podczas „pracy” na rysunku z pierwszej połowy XIX w.

Smocza pani

ŁUKASZ WÓJCIK

Ching Shih nie była kuternogą, nie miała papugi ani nawet przepaski na oku. Ale dowodziła najpotężniejszą piracką flotą w historii świata.

Puszczała z dymem wieś i miasteczka, przeprowadzała abordaże, podpalała statki. Zjadała serca wrogów, rzucała ich ciała rekinom, w najlepszym przypadku – skracala ich o głowę. Ale też zbierała podatki, prowadziła politykę redystrybucji, stworzyła system ubezpieczeń i negocjowała porozumienia zbiorowe.

Jej historia zaczyna się u południowych wybrzeży Chin ponad 200 lat temu i wyraźnie odbiega od zachodniego stereotypu piratów. Jak pisze harwardzki historyk Robert J. Antony w książce „The Golden Age of Piracy in China” (Złoty wiek piractwa w Chinach), w okolicach roku 1800 chińskie piractwo przechodzi małą rewolucję. Wcześniej było zajęciem dorywczym, dodatkowym źródłem dochodów

dla tysięcy drobnych rybaków, którzy szczególnie latem i w porze monsunów nie byli w stanie wyżyć z połowu ryb.

Ci właśnie rybacy z czasem doszli do wniosku, że w większych grupach na większych statkach jest łatwiej. Dodatkowo dostali wsparcie ze strony chłopskiej rebelii Taysonów, która przejęła władzę w pobliskim Wietnamie – jej przywódcom zależało na osłabieniu Chin. Piratom zapewniali więc nie tylko finansowanie, ale również spokojne przystanie niedaleko największych portów południowych Chin.

Antony pisze, że na początku XIX w. po tamtejszych morzach pływały floty pirackie, mające swoją odrębną symbolikę, zwyczaj i przede wszystkim odrębne dowództwo. Dochodziło między nimi do bitew morskich, przy których ta pod Trafalgarem – rozegrana mniej więcej w tym samym czasie – była małą utarczką.

Wtedy właśnie na scenę wpłynęła Ching Shih. – *Wywodziła się prawdopodobnie z ludu Tanka, zwanego również ludźmi łódek lub morskimi Cyganami, którzy zajmowali samo dno ówczesnej struktury społecznej Chin, zarówno pod względem statusu, jak i majątku* – mówi Ronald Po, sinolog z London School of Economics. – *Ta grupa etniczna za czasów poprzedniej dynastii Ming miała zakaz osiedlania się na lądzie, dlatego mieszkala głównie na barkach wzdłuż południowochińskich wybrzeży. Samo słowo tanka oznacza po chińsku jajko, odnosząc się do kształtu łódek używanych przez ten lud, ale również do kruchości ich życia jako podklasy w Chinach.*

Według Ronalda Po to „wypychanie” Tanka na wodę było opakowane klasowym szowinizmem, ale jednocześnie wynikało z boomu demograficznego, jaki w XVIII w. przeżyły Chiny – populacja skoczyła wówczas ze 150 do 300 mln. Szczególnie gwałtowny wzrost odnotowały południowe prowincje, z Kantonem na czele. Nie tylko zaczęło fizycznie brakować miejsca do życia, ale też zainteresowanie gospodarcze coraz wyraźniej przesunęło się na morze. – *Odkąd miliony „ściśniętych” Chińczyków zaczęły opuszczać ojczyznę, stali się oni niejako przedstawicielami handlowymi Chin – zaczął kwitnąć handel morski. A co za tym idzie – piractwo.*

Ching Shih urodziła się ok. 1775 r. Kanton był już wówczas tak przeludniony, że ubożsi mieszkańcy – tak jak wcześniej Tanka – musieli wynosić się na wodę. Mieszkali w pływających barakach, wokół których z czasem powstawały pływające miasteczka z całym usługowym zapleczem, również z „łodziami publicznymi”, zwanymi kwiatowymi.

Na jednej z takich łodzi pracowała Ching Shih, wówczas znana jeszcze jako Shih Yang – z początku jako prostytutka, później jako menedżerka średniego szczebla. Jak większość Chinek wówczas nie chodziła do szkoły. Z pewnością nie umiała czytać ani pisać.

I właśnie na takiej łodzi kwiatowej poznała – jeśli tak można powiedzieć – Ching Yi, znanego pirata, który dowodził tzw. Flotą Czerwonej Flagi. Ich romans relacjonowany jest na różne sposoby. Niektórzy historycy twierdzą, że jego ludzie mieli spłądrować pływający przybytek i porwać przyszłą piratkę w ramach łupu. Inne źródła twierdzą, że Ching Yi po prostu poszedł i się oświadczył, a ona miała się zgodzić na małżeństwo dopiero wtedy, gdy pirat obiecał jej równy udział w łupach.

Według słynnej amerykańskiej sinolożki Dian Murray, to właśnie Ching Shih przekonała męża do pomysłu szerokiej konfederacji pirackiej pod jego banderą. W pirackim kontrakcie z 1805 r., odnalezionym przez Murray kilkanaście lat temu w pekińskich archiwach, zapisano ogólne zasady współpracy, rejestrowania statków, reguł komunikacji. – *Wraz z tym dokumentem chińskie piractwo z zajęcia amatorskiego przerodziło się w zawód i profesjonalizowało* – mówi Murray.

Przez kolejne lata rządów pirackiego duetu do ich Czerwonej Flagi dołączały kolejne kolorowe bandery – Biała, Żółta, Zielona i Czarna. Sama Czerwona w trzy lata urosła z 200 do 600 statków, a cała konfederacja w swoich najlepszych latach 1807–09 liczyła nawet ponad 1700 jednostek z ok. 70 tys. marynarzy na pokładach – czyli jakieś 35 razy więcej niż wszyscy piraci z Karaibów w swoim najlepszym momencie. Słynny angielski pirat Czarnobrody u szczytu sławy miał pod sobą sześć, siedem statków i kilkuset marynarzy.

W odróżnieniu też od karaibskich odpowiedników chińskie małżeństwo pirackie budowało lojalność konfederacji nie na przemoc, ale np. podsyłając kapitanom podległych im flot swoich krewnych na wysokie stanowiska. Dian Murray pisze: „Z braku prawdziwych więzów krwi Chingowie i ich ludzie stworzyli fikcyjne relacje rodzinne, adoptując często młodszych marynarzy i oferując im najpiękniejsze kobiety. Dzięki temu piraci byli w stanie zrezygnować z osobistych ambicji i współpracować na skalę w tym biznesie wcześniej nie widzianą”.

Cała konfederacja o mało się nie zawałiła, gdy w 1807 r. Ching Yi stracił życie na morzu w rejsie powrotnym z Wietnamu. Są dwie wersje: albo odniósł śmiertelne rany podczas sztormu, albo dostał kulą armatnią podczas jakiejś drobnej potyczki.

Natychmiast po jego śmierci Ching Shih sięgnęła po pełną władzę. Najlepszym dowodem na to, jak ważną rolę odgrywała w konfederacji jeszcze przed śmiercią męża, jest fakt, że żaden dowódca konfederacji nie zaprotestował. A przejście władzy przez kobiety musiało być rewolucyjne obyczajowo, zarówno w kontekście mizoginii pirackiego towarzystwa, jak i mocno patriarchalnej struktury ówczesnego społeczeństwa Chin.

Ching Shih postanowiła jednak złagodzić tę rewolucję. Kilka lat wcześniej wraz z mężem „adoptowali” chłopaka porwanego jakiemuś rybakowi. Prawdopodobnie był już wtedy homoseksualnym partnerem swojego przybranego ojca. Gdy jego przybrana matka przejmowała władzę w konfederacji, Cheung Po Tsai był już doświadczonym 21-letnim kapitanem. Inteligentny, odważny i obdarzony naturalną charyzmą, a jako człowiek pobożny (jeden ze swoich statków kazał przebudować na pływającą świątynię) mimo młodego wieku miał duży posłuch wśród z reguły religijnych piratów.

Już kilka tygodni po śmierci męża Ching Shih zaczęła romansować z własnym „synem”, niedługo potem wzięli ślub i zaprezentowali się jako nowy duet rządzący konfederacją, co osłabiło wątpliwości związane z wprowadzeniem de facto pirackiego matriarchatu. Przez kolejne lata Cheung Po Tsai był kimś w rodzaju frontmena swojej żony – przekazywał piratom jej rozkazy, zastępował ją podczas oficjalnych uroczystości. W nowym układzie został kimś w rodzaju naczelnego wodza, choć jednocześnie wszyscy wiedzieli, kto jest prawdziwą szefową.

Ta nowa struktura władzy była jednak wciąż płynna, oparta na osobistych relacjach Ching Shih z najważniejszymi kapitanami. A ona chciała to jak najszybciej zmienić i już rok po przejściu władzy wprowadziła restrykcyjny kodeks konfederacji pirackiej, w którym karą za niemal wszystkie przewinienia było skrócenie o głowę.

Ścięcie groziło więc za jakiegokolwiek nieposłuszeństwo wobec przełożonego, za kradzież, za złupienie zaprzyjaźnionej wioski, za zgwałcenie kobiety jeńca. A jeśli doszło do stosunku za obopólną zgodą, pirata ścinano, a kobietę wrzucano do morza z obciążnikami. Schwytane kobiety, które uznano za brzydkie, puszczano wolno. Te ładniejsze rozdawano lub sprzedawano piratom. A resztę oddawano za okup. Ale gdy taki pirat dostał ▶

► lub kupił sobie kobietę, automatycznie zostawała jego żoną z całym wachlarzem praw, w tym do udziału w majątku. Gdy mężczyzna tego nie przestrzegał... no cóż, ścinano mu głowę i wrzucano do morza.

Tu dygresja w sprawie kobiet – na pirackich statkach pływało ich zaskakująco dużo. Rzadko walczyły na pierwszej linii, zazwyczaj służyły jako siły wsparcia, gotowały, prały. I oczywiście zajmowały się dziećmi – to też charakterystyczna cecha chińskiego piractwa: w odróżnieniu od zachodnich piratów, dla których obecność kobiety na pokładzie przynosiła pecha, Chińczycy często pływali całymi rodzinami, ściśnięci w niewielkich kajutach.

W nowym kodeksie pirackim nie wszystko jednak opierało się na strachu przed karą. Ching Shih stworzyła też system zachęt, przede wszystkim dotyczący zasad podziału łupów. 20 proc. dostawali ci, którzy mieli bezpośredni udział w jego zrabowaniu. Reszta szła do czegoś w rodzaju wspólnego skarbca, żeby nie powiedzieć – budżetu. I była przeznaczana na wspólne potrzeby: zakup i remont statków, wynagrodzenie dla tych załóg, którym akurat się nie powiodło (prawie państwo dobrobytu), zaopatrzenie w proch, broń krótką, prowiant itd.

Piracki budżet z czasem zyskał też bardziej stabilne źródło dochodów – za czasów Ching Shih konfederacja wprowadziła coś na kształt abonamentów dla statków, które chciały mieć święty spokój na wodach kontrolowanych przez piratów. Ich kapitanowie raz na jakiś czas wykupywali więc stosunkowo niedrogi „abonament” i nawet dostawali dokument przypominający paszport – wystarczyło go okazać spotkanym piratom i włos z głowy nikomu nie spadł.

Jak pisze Robert J. Antony, to właśnie zinstytucjonalizowanie konfederacji, charyzma jej szefowej i umiejętności pomniejszych dowódców sprawiły, że piraci stali się potęgą na morzu. Taktyka ich walki była dość prosta i nie odbiegała od zachodnich standardów. Statki pod komendą Ching Shih miały armaty, ale niezbyt liczne i jeszcze mniej celne. Dlatego jej ludzie najszybciej jak mogli – i najlepiej z zaskoczenia – podpływali do statku-ofiary, zarzucali haki za jego burty i dokonywali abordażu, po którym dochodziło do krótkiej walki wręcz.

Schwytane przez nich załogi nie miały łatwo. Standardowa procedura przewidywała związanie wszystkich jeńców w jeden „kłębek” i bicie ich do nieprzytomności, oczywiście o ile nie mieli abonamentu. Dużo gorzej mieli cesarscy marynarze. Zdarzało się, że przyszpilano ich do pokładu, ćwiartowano, a potem kolejnymi fragmentami karmiono rekiny. Oficerów i cesarskich urzędników ścinano od razu, ale nie wrzucano do wody. Wpiero wycinano im serca i je zjadano, zgodnie z przekonaniem o zawartej w nich sile, którą konsument przejmuje.

Kolejne podobne masakry doprowadzały dwór cesarski do wrzenia, o czym zresztą Ching Shih doskonale wiedziała, bo miała tam szpiegów. Na początku 1809 r. cesarz podjął największą próbę rozbicia konfederacji – wysłał na morze armadę liczącą ponad 200 okrętów. Ale piraci ją rozgromili, przejmując 63 okręty i składając jej załogi do zmiany stron (marynarze nie mieli wielkiego wyboru; opornych czekała wersja z przybijaniem do pokładu itd.). W akcie desperacji, co już było ostatecznym upokorzeniem największej cywilizacji świata, chiński cesarz najął francuskich, holenderskich i portugalskich kapitanów do ścigania piratów – znów bez rezultatów.

– Po kilku latach porażek rządząca Chinami dynastia Qing postanowiła zmienić taktykę – zwraca uwagę Murray. – Władze dotarły do kilku pomniejszych dowódców konfederacji, najbardziej

skłóconych z Ching Shih, i zaproponowały piratom amnestię i coś w rodzaju cesarskiej emerytury – mieli dostać pieniądze za to, że nie będą już dłużej piratami. Chętni mogli przystać do cesarskiej marynarki. Konfederacja zaczęła pękać, dochodziło do „bratobójczych” bitew, w końcu i sama Ching Shih zdecydowała się na rozmowy.

Piratka postawiła twarde warunki – miała zachować wszystkie łupy, czyli zakonspirowany w kilku jaskiniach skarb (de facto uwłaszczyła się na majątku konfederacji) oraz flotę 20–30 statków, którą miał dowodzić jej drugi mąż. Aby je przedstawić, bez zapowiedzi zacumowała okręt w porcie kantońskim i wraz z 17-osobową delegacją, w której były kobiety i dzieci, stanęła bez broni przed lokalnym gubernatorem. Cesarz zgodził się na wszystkie jej warunki i 20 kwietnia 1810 r. kilkadziesiąt tysięcy piratów oficjalnie „podało się”, przekazując cesarstwu 226 okrętów, a Ching Shih otrzymała od cesarza tytuł szlachecki.

Potem zapiski o niej są rzadkie. Wiadomo tylko, że jej drugi mąż trafił do cesarskiej marynarki na stanowisko oficerskie i szybko awansował. Ching Shih, która już na emeryturze miała z nim syna, wróciła do Kantonu, a potem przeniosła się dalej na wschód, do Fujijanu, gdzie otworzyła duże kasyno z adekwatnym przybytkiem, w prowadzeniu którego korzystała ze swoich przedpirackich doświadczeń. Zmarła spokojnie we własnym łóżku na kilka miesięcy przed 70. urodzinami.

Legenda Ching Shih nigdy nie dorównała globalnej sławie Czarnobrodego

czy Francisa Drake’a, choć w skali działalności biła ich obu na głowę. Jej postać coraz częściej przebijają się jednak do popkultury. Pojawiła się m.in. w trzeciej części „Piratów z Karaibów” jako „Mistress Ching”. Na południu Chin legenda o Smoczej pani jest powszechnie znana. Chińskie media często przypominają jej postać, pasującą do partyjnej narracji o walce zwykłych ludzi ze skorumpowanymi władcami dawnych Chin.

A zasługuje zdecydowanie na więcej. Podczas długiego życia złamała niemal wszystkie zasady konfucjanizmu – nie zamierzała być kurą domową ani podlegać decyzjom mężczyzny, ani nakładać na siebie jakiegokolwiek formy małżeńskiego celibatu. Złamała w końcu wielkie tabu, wychodząc za mąż za adoptowanego syna. Ale przede wszystkim zrewolucjonizowała piractwo, de facto budując organizację niemal pod każdym względem przypominającą ówczesne państwa, a nawet w pewnych dziedzinach je wyprzedzającą. Jedyne, czego zabrakło, to uznania ze strony panującego systemu międzynarodowego.

To właśnie jest ta cienka granica między starym porządkiem i rebelią, cywilizacją i barbarzyństwem. Ching Shih, przegrywając ostatecznie z chińskim cesarstwem, trafiła na złą stronę historii, którą napisał za nią ktoś inny i nazwał ją „piratką”. Miarą sukcesu tej narracji historycznej jest zresztą fakt, że Ching Shih jest „piratką” również w tym artykule. A przecież stworzyła morskie państwo, którego polityka podatkowa, społeczna czy wręcz równościowa – w stosunku do kobiet, o całe dekady wyprzedzała ówczesne, oficjalne „cywilizacje”. A że było to państwo oparte na brutalnej przemocy? Nie różniło się w tym specjalnie od wszystkich dookoła.

ŁUKASZ WÓJCİK

Więcej o kulturze i dziejach Państwa Środka w Pomocniku Historycznym POLITYKI „**Historia Chińczyków**” do kupienia od 20 lipca w dobrych punktach sprzedaży i na www.sklep.polityka.pl



Komunista, ale narodowy



Władysław Gomułka był postacią tragiczną – opowiada Józef Tejchma, członek Biura Politycznego typowany na jego następcę na stanowisku pierwszego sekretarza partii, w niepublikowanym dotąd wywiadzie, jakiego udzielił przed śmiercią.

MIKOŁAJ MIROWSKI: – W jakich okolicznościach poznał pan Władysława Gomułkę?

JÓZEF TEJCHMA: – Jako przewodniczący Związku Młodzieży Wiejskiej znalazłem się w czymś, co dzisiaj nazwalibyśmy establishmentem. Gomułka, I sekretarz PZPR, chcąc poznać ludzi, z którymi będzie miał do czynienia, zaprosił zarząd ZMW – w tym mnie – na rozmowę.

Powiedział pan kiedyś: „Za czasów Gomułki słowo »komunizm« było prawie nieobecne w języku politycznym, nie przylegało do polskiej rzeczywistości. Upowszechniło się dopiero z dojściem do władzy Gierka. Nie znosiłem tego języka. W żadnym ze swoich licznych tekstów nie mówiłem o sobie – komunista”.

To prawda. Wywodziłem się z ruchu ludowego, z „Wici”, a nie ze Związku Walki Młodych. I Gomułka też niechętnie używał tego słowa, bo miał wyczucie, że nie leży ono w polskiej psychice. Choć sam był komunista.

Mówi się powszechnie, że Gomułka był narodowym komunista. Jak on traktował ramy ideologiczne, takie jak marksizm?

Myszę, że poważnie, ale... inaczej. Wtedy był dla mnie działaczem politycznym i partyjnym nowej rzeczywistości. A inaczej – to znaczy narodowo. A narodowy to bardziej niezależny od Moskwy.

W 1956 r. Gomułka – jak nikt z pierwszych sekretarzy – cieszył się ogromnym poparciem społecznym. Natomiast w 1970 r. kazał strzelać do robotników. Jak ten sam człowiek mógł podjąć taką decyzję? Pamiętamy przecież jego słowa o Poznaniu '56. Przyznał wówczas, że ten protest był robotniczy i uprawniony, choć nie przeciwko socjalizmowi, a jedynie przeciwko jego „błędowi i wypaczeniom”. Czy naprawdę wierzył, że w grudniu 1970 r. mieliśmy do czynienia z kontrrewolucją?

On tego tak nie nazywał, nie pamiętam, by użył słowa kontrrewolucja. Natomiast wierzył, że to może doprowadzić do obalenia władzy, a była tylko taka władza, a nie inna. To dramat polityka, który wpadł w sytuację, którą sam stworzył. Jak gdyby wbrew sobie musiał robić rzeczy, których nie przewidział. Gomułka nie miał wyobrażenia, że może być inna władza niż ta związana z obozem socjalistycznym i z ZSRR. A skoro nie ma alternatywy...

© KAROL SZCZECIŃSKI/EAST NEWS

► **Zenon Kliszko, jego najbliższy współpracownik, mówił o kontrrewolucji...**

Kliszko miał skłonność do ideologicznego szufladkowania. Gomułka po prostu uważał, że grozi to obaleniem władzy – to jego słynne słowa, że raz zdobytej władzy nie oddamy nigdy. On to mówił z przekonaniem, choć w innym czasie. Uznał, że ta zdobyta władza została zagrożona.

Czy podczas obrad Biura Politycznego w 1970 r. Gomułka miał świadomość, że podwyżki cen mogą spowodować tak gwałtowne reakcje?

Odnieśliśmy właśnie wielki sukces – mam na myśli polsko-niemieckie porozumienie [Układ zawarty 7 grudnia 1970 r. uznawał polsko-niemiecką granicę na Odrze i Nysie, a RFN zobowiązywał się do niekwestionowania „teraz i w przyszłości” istniejącego stanu prawnego – przyp. MM]. A konieczność regulacji cen była oczywista – to nie było tak, że Gomułka zrobił jakieś głupstwo ekonomiczne. Tylko było to zrobione źle, w nieodpowiednim czasie – grudzień, święta... Gomułka był zdziwiony, że po takim sukcesie, jakim mógł się poszczycić, ludzie większą wagę przykładali do kiełbasy niż do układu z RFN. Ale obowiązywała doktryna, że w socjalizmie nie wolno ruszać stopy życiowej i cen – to miało dowodzić wyższości socjalizmu nad Zachodem i nad kapitalizmem. Padliśmy ofiarą własnej doktryny.

Jak przebiegała rozmowa, gdy poszedł pan do Gomułki i zasugerował mu ustąpienie?

W mojej książce „Pożegnanie z władzą” świadomie przytoczyłem relację Gomułki z tej rozmowy. Nie chciałem być oskarżany o brak obiektywizmu, który może się wkraść, gdy ktoś relacjonuje wydarzenia tylko ze swojego punktu widzenia. Gomułka też opisał to z własnej perspektywy. Nie wyobrażał sobie, by to była moja własna inicjatywa – postulat, by on ustąpił. Podejrzał, że za drzwiami gabinetu stoją już inni, którzy wyprowadzą go wprost na Rakowiecką, tj. do więzienia. Nie chcę powiedzieć, że z mojej strony to była jakaś heroiczna postawa. Dla mnie strzelanie do robotników było nieludzkie i niewiarygodne – stąd wzięła się moja determinacja, by iść i przerwać kryzys polityczny, co było możliwe tylko po odejściu Gomułki. Uważałem, że człowiek, który strzelał do robotników, nie może dalej rządzić państwem robotniczym. Rozmowa była dramatyczna. Gomułka rzeczywiście był chory, kiedy wszedłem do gabinetu, siedział na fotelach półleżąc, miał twarz człowieka przemęczonego i oczy czerwone z niewyspania.



Od lewej: Józef Tejchma i Mieczysław Rakowski na Kongresie Kultury Polskiej przerwany wprowadzeniem stanu wojennego w grudniu 1981 r.

Z jego strony to było duże zaskoczenie, a z mojej moralny kac. On mnie lubił i cenił, podobno nawet szykował na swojego następcę. Potem napisał, że wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego, że przyjdzie Tejchma. Bo to człowiek przez niego awansowany i wydzwignięty na członka Biura Politycznego, i to on nagle przychodzi... to zdrada. Ale to nie była zdrada. Można powiedzieć, że z człowieka o pewnych walorach moralnych zamieniłem się w polityka, który robi rzeczy konieczne, choć dramatycznie trudne.

Czy Gomułka faktycznie szykował pana na swego następcę?

Kliszko [druga osoba pod względem ważności w Biurze Politycznym – przyp. MM] wyraził się o mnie: „ktoś, kto ma przyszłość”. Gomułka się starzał, czas się zmieniał, więc już wtedy obmyślano, kto będzie następcą. Dwóch nas wtedy było, tzw. młodych, ja i Stanisław Kociołek. W Kociołku Gomułka dostrzegł człowieka zdolnego i przyszłościowego w sektorze gospodarczym, a mnie – w polityczno-ideowym, ponieważ byłem z wykształcenia historykiem. Kociołek zajmował się ekonomią jako wicepremier.

Jak pan zareagował na to swoiste namaszczenie?

Może to brzmieć niewiarygodnie, ale nie miałem w sobie woli walki o władzę. Ludzie w to nie wierzą, uważają, że teraz tak mówię, ale to była prawda. Gdybym

chciał stanowiska dla siebie, to nie byłbym pierwszym, który sformułował postulat, że na miejsce Gomułki powinien przyjść Edward Gierek. A ja Gierka nie lubiłem, to nie był partner, którego ceniłem czy szanowałem. Śląsk był odrębnym królestwem, „Katangą”, jak wtedy nazywano, ja tam nie miałem dostępu, byłem tam może raz za czasów Gomułki. Ale wybór Gierka to nie była z mojej strony sprawa moralno-ideowa, tylko polityczna: wiedziałem, że to najmocniejszy politycznie człowiek w tym układzie personalnym. Za nim stała potężna organizacja partyjna: Śląsk, gospodarka, górnicy. Zresztą i dziś władza nie może sobie do końca poradzić z górnictwem. Podsumowując sprawę następstwa: nie wiedziałem, nie wierzyłem, nie chciałem i byłem potem szczęśliwy, że moje losy nie potoczyły się tak, jak się skończyły dla innych.

Według relacji wielu osób więzienie zmieniło Gomułkę. Ludzie, którzy spotkali go w 1956 r., mówili, że to nie jest ten sam człowiek co przed 1948 r. Jan Olszewski wspominał, że robił na nim wrażenie zmęczonego, bardziej pokornego, słuchającego, a nie apodyktycznego. Tymczasem koniec lat 60. to Gomułka autorytarny, krzyczący, zamknięty na innych. Skąd ta zmiana?

To trudne pytanie. Mam chyba tylko jedną odpowiedź, która nie zadowala nikogo: że po prostu władza zmienia

ludzi. Słynne powiedzenie, że władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie, jest trafne. Gdy Gomułka stykał się z coraz trudniejszą rzeczywistością, stawał się coraz trudniejszym człowiekiem do współpracy. Rzadko słuchał krytyki – uznawał, że społeczeństwo nie dojrzało do przyjęcia tego, co on uważał za słuszne. Gomułka był człowiekiem doświadczonym w każdym sensie, także ludzkim. W jego wspomnieniach o politycznych kursach w Moskwie uderzyła mnie krytyczna obserwacja tego, co dzieje się w Związku Radzieckim – wymagająca odwagi i samodzielności intelektualnej. Bardzo wcześniej znalazłem u Gomułki takie ślady krytycyzmu – że w ZSRR stosunek do ludzi mają niedobry, że władza uważa człowieka za przedmiot, którym trzeba manipulować, a człowiek ma być posłusznym. Gomułka dostrzegł więc to, o czym sam potem zapominał.

Jeśli by spojrzeć na I sekretarzy partii, począwszy od Bolesława Bieruta, skończywszy na Mieczysławie Rakowskim, to jak by pan uplasował Gomułkę w skali ważności i dokonania?

Jak wypadła na tle innych?

Nie potrafili bym dokonać takiej oceny. Każdy I sekretarz miał jakiś mocny punkt. O Bierucie nie mówię, bo go nie znałem. Gomułka to był dla mnie człowiek pozytywnych rzeczy. Pozytywna była próba znalezienia w zależności od Moskwy niezależności Polski. To, co jest konieczne – zależność, i to, co ewentualnie jest możliwe – niezależność. I to jest ta „polska droga” czy jak mówiono „socjalizm z ludzką twarzą”. A drugi pozytyw to Niemcy. Gomułka dość wcześniej, wręcz profetycznie, przejrzał, jak się to będzie rozwijać – nie tylko na linii Polska–RFN, tylko szerzej, na linii ZSRR–Polska–Niemcy. Nie wierzył w stabilność istnienia NRD. Przewidywał – ze smutkiem – że Niemcy się zjednoczą. I bał się porozumienia niemiecko-radzieckiego, myślę, że miał dużo racji, nie tylko na tamte czasy.

Potem przyszedł Gierek, zaczął szermować ideologicznymi hasłami.

Oni mieli na Śląsku te frazesy ideologiczno-komunistyczne – może u Gierka było to związane z jego biografią belgijsko-francuską, bo we Francji słowo „komunista” brzmiało zupełnie inaczej niż u nas. Tam było jedną ze zwyczajnych sił politycznych, a nie jakimś diabełstwem. Ale równocześnie Gierek był na tyle sprytny, żeby się przypodobać Moskwie. Miał takie powiedzenie „my, komuniści”, czego szczerze nie znosiłem. U Gierka przeważało myślenie ekonomiczne, że ZSRR dla pewnych ekonomicznych

spraw jest ważny, ale postęp technologiczny jest możliwy tylko z Zachodu. Jego symbole to był samochód, telewizor... Prozachodnia orientacja była jego silną stroną. I zasługą – to było korzystne dla Polski. Jeździłem mercedesem na wakacje na Zachód i jak zobaczyłem pod Watykanem malucha z walizką na dachu, to miałem satysfakcję, że wreszcie Polak wyrwał się swoim samochodem poza granice obozu. Inną pozytywną stroną Gierka były stosunki z Kościołem. Gomułka nie walczył z Kościołem, tylko nie mógł strawić tego, że Kościół wtrąca się do polityki. Wierzący – niewierzący: to dla niego jakieś znaczenie miało, ale nie takie doktrynalno-sekciarskie.

Ale prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu rzucił wyzwanie w 1966 r.

Chodzi o obchody tysiąclecia chrztu Polski. Sprawa była polityczna. Gdyby Kościół zajął się tylko obchodami czysto religijnymi, Gomułka by to spokojnie przyjął. Oczywiście nie chciał silnej pozycji Kościoła, bo była to pozycja polityczna, zwłaszcza jeśli chodzi o Wyszyńskiego. A Gierek był łagodniejszy, nie szedł na zwanie. Może jego matka odgrywała tu jakąś rolę, może Śląsk, bo to był region, gdzie Kościół miał duże znaczenie.

A inni „pierwsi”?

Jaruzelskiemu wszystko można zarzucić, ale jedną zasługę trzeba podkreślić: Okrągły Stół. W końcu doszedł do wniosku, że ten system się nie utrzyma, trzeba go zreformować. Z pewnością nie przypuszczał, że komuniści całkiem stracą władzę. Ale na pewno utracił wiarę w system. Pamiętam jedną wypowiedź Jaruzelskiego: łatwiej zniósł rąbanie drzewa na Syberii niż rozmowę z Breżniewem. Bo Breżniew miał kartkę, z której czytał, a tych, co się buntują, wysyłał do więzienia. Z moimi partnerami od spraw kultury, oczywiście na niższym szczeblu hierarchii partyjnej, rozmowy też były trudne. Nasze argumenty dotyczące spraw wolności i swobody twórczej były im niedostępne. Rakowski rozwiązał PZPR – taka zasługa wystarczy. Byłem na tym ostatnim zjeździe. Całe życie od 1952 r. byłem w partii, do końca.

Po drodze był jeszcze Stanisław Kania. Byłem z nim w bliskich stosunkach. Najgłupszą rzeczą, jaką zrobiłem, była rezygnacja z ambasadorowania w Szwajcarii, bo chciałem w Polsce włączyć się do rozgrywających się wydarzeń. Kania został wtedy I sekretarzem. Dramatycznie przeżyła to moja żona, bo czuła się szczęśliwa w takim spokojnym kraju jak Szwajcaria. Kania napisał potem, co było dla mnie zaskoczeniem, że był przeciwnikiem stanu wojennego. A przecież od lat bardzo blisko współpracował z Jaruzelskim.

Chciałbym jeszcze wrócić do relacji Wyszyńskiego z Gomułką. Gomułka po 1956 r. cenił Wyszyńskiego, jego postawę wobec wyborów „bez skreśleń”. Czy prawdą jest, że potem miał jego kompleks? Przypomnę 1966 r., obchody milenijne i aresztowanie obrazu Matki Boskiej.

Aresztowanie obrazu Matki Boskiej było śmieszne... i żenujące dla mnie, jako człowieka, który był w tamtym systemie i nie może powiedzieć: to nie ja. Owszem, to nie ja robiłem, ale w jakimś sensie to firmowałem. Może w stosunkach z Wyszyńskim rolę odegrał list polskich biskupów do niemieckich w formule przebaczenia, bo Gomułka, który chciał mieć w ręku sprawy polsko-niemieckie, bał się rozluźnienia swojej polityki.

I uznał, że list jest wtrącaniem się w działkę, w którą Kościół mieszać się nie powinien? Potraktował nie jako list duszpasterski, lecz polityczny?

Dokładnie tak.

Czy można w takim razie stwierdzić, że Gomułka był antyklerykałem?

Nie. Ja bym tego nie powiedział. Antyklerykałem nie był, pochodził z tych samych stron co ja, z Galicji, ja trochę bliżej, z Rzeszowa, on dalej. To też ma znaczenie, bo to był region religijny w tradycyjnym sensie i Gomułka wychowywał się w końcu w tamtym klimacie. Jeśli już coś było, to jego wściekłość na księży zajmujących się polityką, ale to nigdy nie była obsesja antyreligijna. Może bardziej Rakowski był taki, mimo że inteligent, ale to już inna historia.

ROZMAWIAŁ MIKOŁAJ MIROWSKI



Józef Tejchma – członek Biura Politycznego KC PZPR (1968–80), minister kultury i sztuki (1974–78 i 1980–82), minister oświaty i wychowania (1979–80), wiceprezes Rady Ministrów (1972–79), poseł na Sejm PRL II, III, IV, V, VI i VII kadencji (1957–80), ambasador PRL w Grecji, Szwajcarii i na Cyprze. Jeden z najważniejszych działaczy partyjnych lat 60. i 70. Przez środowisko artystyczne uznawany był za partyjnego liberała pozostawiającego twórcom stosunkowo znaczącą swobodę pracy. Zmarł 13 grudnia 2021 r. w wieku 94 lat. Rozmowa odbyła się w 2016 r.



w galerii

Witkacy totalnie 5/6

Witkacy. Sejsmograf epoki przyspieszenia,

Muzeum Narodowe w Warszawie, do 9 października

Witkacy na nowo odkryty! – chciałoby się wykrzyknąć, śledząc wysiłki kuratorów wystawy, by słynnego artystę osadzić w różnych, także współczesnych, kontekstach. Tym sposobem dzieła gwiazd światowej sztuki mają np. dowodzić, że Witkacy nie był wcale – jak się przyjęło – artystą osobnym, ale doskonale osadzonym w artystycznych nurtach epoki. Kilka prac to oczywiście wąty argument, ale za to atrakcyjne urozmaicenie, bo udało się pozyskać m.in. dzieła Marcela Duchampa, Maxa Ernsta czy Wassiliego Kandinskiego. Drugim śmiałym zabiegiem jest odejście od tradycyjnego, chronologicznego postrzegania dorobku artysty. Tym razem sięgnięto po kategorie problemowe. Niekiedy czytelne i oczywiste, jak „ciało”, „ruch”, „historia” czy „kosmologia”, czasami jednak wymagające dodatkowych

wyjaśnień, jak „Indywidualna na tle tajemnicy istnienia” czy „jedność osobowości”. Tytuł wystawy sugeruje, że sztuka Witkacego precyzyjnie odnotowywała wstrząsy i drgania epoki, i cywilizacyjne zmiany. Z tym akurat można by polemizować, bo mimo niewątpliwej wrażliwości, typowej dla wielkich twórców, pozostawał Witkacy artystą skoncentrowanym raczej na sobie i najbliższym otoczeniu. Wprawdzie jest na wystawie nieco rysunków, które odnoszą się do kwestii politycznych czy społecznych, ale także filtrowanych przez jego oniryczną i podkreśloną narkotykami wyobraźnię. I to ona przede wszystkim jest królową tej wystawy: niepojętą wizję, błędzącą bez granic pomysłami i skojarzeniami. Choć niekiedy zaskakująco współczesne, gdy trafia się choćby na takie tytuły prac, jak „Schujowacenie mózgowia”.

Był Witkacy artystą totalnym i w dużym stopniu wystawa ów fakt podkreśla (szkoda tylko, że z wyłączeniem jego dorobku literackiego) – także swoimi rozmiarami. Niekiedy jest w tym wręcz przytłaczająca, jak wtedy, gdy kuratorzy 60 pasteli z Firmy Portretowej umieszczają naprzeciwko tyłu portretów fotograficznych. Zgromadzenie 500 obiektów budzi szacunek, choć ta mnogość nie sprzyja skupieniu i delektowaniu się szczegółami.

PIOTR SARZYŃSKI

na ekranie

Rodzinne przepychanki 3/6

A oni dalej grzeszą, dobry Boże!

(Qu'est-ce qu'on a tous fait au bon Dieu?),

reż. Philippe de Chauveron,

prod. Francja, 98 min

Trzecie spotkanie z – bardzo liczną – rodziną Claude'a Verneuila (Christian Clavier), nieudacznego pisarza zmuszonego przez życie do zmierzania się z własnymi uprzedzeniami i zaściankowością. W poprzednich filmach cztery córki Claude'a poślubiły czterech mężczyzn różnych narodowości,



wyznań i kolorów skóry, co mocno wstrząsnęło konserwatywnymi fundamentami życia ich ojca. Tym razem pan Verneuil – wciąż nie do końca przekonany do idei multi-kulti, skoro marzy, że „doczeka pierwszego rozvodu w rodzinie” – stanie przed jeszcze większym wyzwaniem, gdy na jego rocznicę ślubu do posiadłości zjedzie

cała wielobarwna i hałaśliwa rodzina, nie wyłączając rodziców każdego z zięciów. Zderzenie kultur i obyczajów powinno być naturalnym źródłem komizmu, lecz – podobnie zresztą jak w poprzednich częściach serii – satyra na drobnomieszczański rasizm opiera się na mało wyszukanych stereotypach. Ot, afrykański patriarcha okazuje się obżartuchem i pantoflarzem, zaś Arab i Żyd zmieniają przydomowy ogródek w prywatną wersję Zachodniego Brzegu. Christian Clavier zawsze niezłe wypadł w rolach bigotów, którzy nie chcą i nie potrafią nadażyć za zmieniającą się rzeczywistością i to dzięki niemu pan Verneuil jest najbardziej żywotną postacią filmu. Jednak towarzyszenie mu w jego rodzinnych kombinacjach jest przyjemnością cokolwiek perwersyjną.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Stan świata i teatru 3/6

Michael Frayn, **Czego nie widać**,
reż. Jan Klata, Teatr Wybrzeże w Gdańsku

Nazywane królową fars „Czego nie widać” Brytyjczyka Michaela Frayna oferuje widzom wycieczkę za teatralne kulisy, a twórcom szansę spojrzenia z dystansem na swoją profesję i los. Premiera jutro, a aktorzy myślą kwestie i zapominają rekwizytów, reżyser traktuje spektakl jak chałturę i okazję do romansów, brakuje czasu na próby i pieniądze na zatrudnienie ekipy z prawdziwego zdarzenia. Chaos narasta, katastrofa nadciąga. Kolejne podboje miłosne reżysera (ucharakteryzowany na Jana Klatę Piotr Biedroń) uruchamiają lawinę scen zazdrości i zemsty, sam reżyser się w nich gubi, a „prawdziwa”, czyli progresywna sztuka, nad którą pracuje w Zabrzdu, „nieprzemocowy» Makbet. Szczątki«” jest w podobnej rozspycie... Śmiesznie jest tylko momentami, częściej jest żałośnie czy tragikomicznie, bo Klata zdaje się tym spektaklem komentować stan polskiego teatru, biedniejącego i skonfliktowanego, a kontekstem czyni militaryzujący



się kraj. Wyszło z tego przedsięwzięcie dość karkołomne. Aktorzy grają w kojarzących się z pasiakiemi kostiumach, w dekoracji w różowy rzucik, który podświetlony na zielono zmienia się w moro, a jeszcze upiorniej wygląda w czerwonym świetle, soundtrack składa się z piosenek o bombie atomowej. W dopisanych scenach pchają obrotówkę, podśpiewując przez zęby pieśń

niewolników, z refrenem „Motherfucker”, albo biegają, zapętleni w odgrywaniu farsowych schematów. A wszystko to na otwarcie nowo wyremontowanej Sceny Kameralnej, w teatrze, w którym niedawno praca nad innym spektaklem zakończyła się oskarżeniem reżysera Grzegorza Wiśniewskiego przez kompozytora o mobbing.

ANETA KYZIOŁ

w telewizji

Ikona wykorzystana 5/6

Tajemnice Marilyn Monroe: Nieznane nagrania,
reż. Emma Cooper, Netflix

Przypadająca 5 sierpnia 60. rocznica tragicznej śmierci najsłynniejszej kobiety show-biznesu zapewne rozpali kolejny raz dyskusje na temat fenomenu jej popularności, romansów, okoliczności odejścia. Niezłym do tego pretekstem są też dwie prace, sygnowane nazwiskiem jednego z najlepszych współczesnych reporterów śledczych, Amerykanina Anthony'ego Summersa, od 40 lat zajmującego się życiem Marilyn Monroe. W „Bogini”, najpełniejszej biografii aktorki, Summers przedstawia owoc wieloletniego dochodzenia, dając wgląd nie tylko w przeraźliwą samotność i zachwianą równowagę psychiczną hollywoodzkiej gwiazdy. Jego książka to wnikliwy portret dziecka, dziewczyny, kobiety wykorzystywanej i niszczonej przez mężczyzn. Dokument Netflix'a, opierający się na 650 rozmowach dziennikarza z jej bliskimi i znajomymi, skupia się na ostatnim okresie jej życia. Poza szczegółami nie są to nowe fakty, ale rozszerzone o skomplikowany kontekst polityczny, zimnowojenną atmosferę lat 60. robią na ekranie ogromne wrażenie. Zaś kulminacją obchodów będzie wrześniowa premiera „Blondynki” Andrew Dominika, dramatu fabularnego z Aną de Armas na podstawie bestsellerowej powieści Joyce Carol Oates – intymnej opowieści przeddefiniującej tożsamość MM.



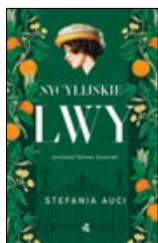
JANUSZ WRÓBLEWSKI

Zrozumieć mordercę 4/6

Czarny ptak (Black Bird), scen. Dennis Lehane,
6 odc., Apple TV+

Próba przeniknięcia umysłu seryjnego mordercy przypomina spojrzenie w piekielną czeluść. Przynajmniej dla bohatera „Czarnego ptaka”, Jimmy'ego Keene'a (**Taron Egerton**, znany m.in. z roli Eltona Johna w „Rocketmanie”), handlarza narkotyków, który w zamian za skrócenie wyroku ma nakłonić do zeznania współwzięcia podejrzanego o zamordowanie kilkunastu kobiet. Larry Hall (Paul Walter Hauser), choć początkowo przyznał się do winy, teraz twierdzi, że zabójstwa, które opisywał, jedynie mu się śniły, a bez fizycznych dowodów zbrodni wyjdzie na wolność. I Keene jest najwyraźniej jedyną osobą, która może temu zapobiec. To mógłby być wymarzony scenariusz dla hollywoodzkiego kina akcji – tym bardziej atrakcyjny, że oparty na faktach. Jednak twórca serialu Dennis Lehane, jeden z czołowych amerykańskich autorów literatury kryminalnej, poświęca szybkie tempo na rzecz budowania relacji między bohaterami. Pozwala spojrzeć na wydarzenia z różnych perspektyw: równorzędnym wobec więziennego wątku jest śledztwo prowadzone w sprawie morderstw przez doświadczonego policjanta (Greg Kinnear). I choć „Czarny ptak” nie osiąga mistrzowskiego poziomu „Mindhuntera” – także poświęconego zgłębianiu psychiki seryjnych morderców – to wciąż kawałek porządnego, gatunkowego kina. Wart uwagi również ze względu na jeden z ostatnich ekranowych występów Raya Liotty w roli ojca Jimmy'ego. JD



książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Zapach Palermo 4/6

Stefania Auci, **Sycylijskie lwy**, tłum. Tomasz Kwiecień, W.A.B., Warszawa 2022, s. 508

Sirocco jest jak mokry koc narzucony na Palermo – pisze Auci w „Sycylijskich lwach”. W tej powieści o losach prawdziwego rodu Florio, na Sycylii też się marznie (o czym dobrze się czyta w czasie upałów). Saga rodu Florio nie zawodzi, czytelnik dostaje dokładnie to, czego może się spodziewać: historię rodziny, która na przełomie XVIII i XIX w. przyjeżdża z Kalabrii do Palermo, próbuje podbić to miasto, zakorzeni się w nim. Wielka, burzliwa historia XIX w. na Sycylii jest tłem zdarzeń rodzinnych równie burzliwych. Zresztą burzliwie jest od początku, od trzęsienia ziemi, które skłoni Paola, Ignazia i Giuseppinę do osiedlenia się w Palermo, aż po epidemię cholery i rewolucję 1948 r. W Palermo braciom udaje się zdobyć fortunę od zera, ale ciągle wytyka im się, że są „tragarzami”, arystokracja,



która się u nich zadłuża, pogardza nimi. Auci opisuje historię awansu społecznego i przy okazji ciekawie portretuje kobiety, które są w centrum powieści: Giuseppina, nieszczęśliwa i bierna, oraz Giulia, kochanka syna Giuseppiny, Vincenza, najciekawsza postać, która pozbawiona statusu żony walczy, by móc być partnerką mężczyzny i mieć swoje zdanie. Do emancypacji jeszcze daleka droga, ale Auci dobrze pokazuje kobiety w klatce, całkowicie pod władzą mężczyzn, które już wtedy chcą się z niej wydostać. Vincenzo dopiero pod koniec życia zrozumie, że bez siły Giulii byłby nikim. A w tle jest samo miasto, w którym zapach jaśminu miesza się z zapachem obornika: „Palermo, niewolnica i pani, zdaje się sprzedawać wszystko, ale należy tylko do siebie”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Duch puszczy 5/6

Paweł Średziński, **Puszcza Knyszyńska. Opowieści o lesunach, zwierzętach i królewskim lesie, a także o tajemnicach w głębi lasu skrywanym**, Paśny Buriat, s. 346

Podlasie nie ma dobrej passy. Czar najbliższego Wschodu stratowała geopolityka, wątpliwą pamiętką gehenny uchodźców z dalekich stron będą druty kolczaste i płot rżnący sielski krajobraz pogranicza. Sporo czasu upłynię, nim powróci dawna harmonia, ale Paweł Średziński dopinguje, by szukać jej już teraz w najmniej znanej podlaskiej

puszczy. Ze skrupulatnością doktora nauk humanistycznych, biglem publicysty i troską miłośnika przyrody upiera się, że Puszcza Knyszyńska tylko pozornie wygląda na uboższą sąsiadkę Białowieskiej. Pisze o lesie, drzewach i zwierzętach, ale nie zapomina też o ludzkich mieszkańcach puszczy, ich teraźniejszości i historii. Niestety nierówny wyścig ludzi, którzy chcą ciąć las z obrońcami przyrody trwa. Piły i ciężki sprzęt bezpowrotnie niszczą chronione siedliska i gatunki, a nie wycinkę skazywane są blisko dwustuletnie dęby, broni ich ledwie garstka społeczników. I choć puszcza ta jest zmaltretowana gospodarką leśną, to zachowała potencjał regeneracyjny i powinna być traktowana jak przyszły park narodowy, a nie plantacja desek. Białodzy dopiero rozpoznają wartość tego różnorodnego lasu. Od pokoleń znają ją za to prowadzący leśne bimbrownie. Ich zagęszczenie jest tu pewnie największe w Polsce, a ma to być zasługa spokoju i czystej wody z licznych strumieni, będącej podstawą ceniego w regionie trunku zwanego duchem puszczy.

JĘDRZEJ WINIECKI



Apetyt na krew 5/6

Tom Shone, **Tarantino. Nieprzewidywalny geniusz**, tłum. Alka Konieczka, Znak Koncept, Kraków 2022, s. 273

Podobno dziesiąty film Tarantino ma być jego pożegnalną produkcją. Potem reżyser zapowiedział, że uda się na zasłużoną emeryturę w celu uniknięcia pokusy powtarzania w kółko tego samego (w co nikt nie wierzy). Tymczasem trwa wysyp książek omawiających jego dorobek, wśród nich jest bogato ilustrowana pozycja autorstwa Toma Shone'a, która faktycznie pozwala nieźle zsumować dokonania autora nieśmiertelnego „Pulp Fiction”. To coś w rodzaju entuzjastycznego leksykonu, eliminującego zbędne silenie się na dystans i okraszonego połączkami pod adresem kilku nierozgarniętych anglojęzycznych recenzentów, którzy nie docenili geniuszu Wielkiego Artysty. Po krótkiej grze wstępnej, z żelaznymi punktami w postaci powszechnie znanych faktów z życiorysu, w stronę czytelnika płyną peany o każdym tytule, z ogromną ilością anegdot, cytatów, szczegółowych odniesień i kontekstowych analiz systematyzujących wiedzę. Można się dowiedzieć np., jak kręcono słynną scenę znaną jako „obłęd 88”, bo rzekomo taką liczbę członków yakuzy Panna Młoda zabija w klubie nocnym The House of Blue Leaves w „Kill Billu”. Albo że Leonardo DiCaprio podczas wygłaszania kluczowego monologu w „Django” – tyrady zainspirowanej rasistowską książką o frenologii, jaką ma w swojej bibliotece jego bohater, psychopatyczny właściciel niewolników – kilkakrotnie stracił głos, a podczas szóstego ujęcia uderzył dłonią w stół, trafił w szklankę i o mało nie wylądował w szpitalu. Bałwochwalczy ton, który zresztą przestaje razić już po kilku stronach lektury, wpisuje się w ogólnoswiatową tarantinomanie. A za researcherski trud należy się autorowi szacunek.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Obóz przetrwania 5/6

The Quarry, Supermassive Games, 2K, PlayStation 5, 4, Xbox SX, One, Windows

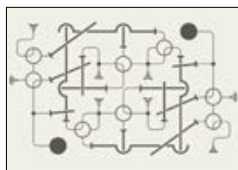
Letni obóz w leśnej gęstzinie nad jeziorem, po zakończeniu turnusu wychowawcy zostają na jeszcze jedną noc, rozświetloną pełnią Księżycy. Komu uda się dożyć świtu? Nowa gra Brytyjczyków z Supermassive Games szlifuje formułę, którą zadebiutowali w udanym horrorze „Until Dawn”. Przeżyć mogą wszyscy lub nikt, los bohaterów zależy od decyzji i refleksu gracza. Produkcje SG to najbardziej udane warsztatowo próby stworzenia fuzji gier z kinem. Bohaterowie są cyfrowymi klonami aktorów. W obsadzie widzimy m.in. Davida Arquette i Lance'a Henriksena, ale show kradną młodzi, nieznanzi jeszcze szerzej artyści. Profesjonalne aktorstwo, błyskotliwe dialogi, dobrze naszkicowane postacie decydują o atrakcyjności tego interaktywnego filmu, motyw fabularny to bowiem gatunkowa sztampa. Co ciekawe, „The Quarry” oferuje także pasywne tryby filmowe, prezentujące przygodę w różnych wariantach scenariusza. W trosce o nadszarpięte nerwy wybrałem opcję, w której wszyscy dożywają ranka i był to całkiem udany seans.



Bierki na ekranach 4/6

The Hook 2, Rainbow Train, Windows, Android, Apple

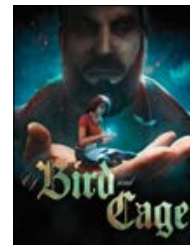
Maciej Targoni tworzy gry od 2012 r., z myślą o użytkownikach nie tylko komputerów i tabletów, ale i smartfonów. Warto to podkreślić, bo nie jest łatwo stworzyć grę, w którą gra się równie komfortowo na dużym ekranie, jak i na urządzeniach kieszonek. Targoni to potrafi. „The Hook 2” to jego kolejna udana logiczna łamigłówka. Przypomina bierki. Przedstawiony konstrukt graficzny trzeba rozmontować, krok po kroku usuwając poszczególne elementy. Zadań jest sto, poziom trudności sukcesywnie wzrasta. Pierwsze łamigłówki oswajają z grą, ale to nie znaczy, że są nudnym obowiązkiem. „The Hook 2”, także te najprostsze wyzwania, przede wszystkim odpręża, pozwala oczyścić umysł. Duża w tym zasługa minimalistycznej prezentacji. Każdy element graficzny jest czytelnie przedstawioną informacją, nie ma tu żadnej zbędnej ornamentyki. Lepiej nie można było tego zrobić. W dodatku gra kosztuje mniej niż ciastko w kawiarni. Błędem byłoby ją przeoczyć.



Sztuczny miód 2/6

Of Bird and Cage, Capricia Productions, All in! Games, PlayStation 4, Xbox One, Windows

Of Bird and Cage” to pierwszy w historii album muzyczny wydany jako hybryda z grą wideo. Wkład twórczy wnoszą muzycy znani z m.in. takich zespołów metalowych, jak King Diamond, Guns N' Roses, Therion, Epica czy Within Temptation. Poszczególne piosenki ilustrują epizody opowieści o 25-letniej kelnerce z tragicznym dzieciństwem i adresem w przyczepie kempingowej. Chciałaby powtórzyć muzyczną karierę Amos lub PJ Harvey, ale jej głównym codziennym wyzwaniem jest zdobycie kolejnej dawki narkotyku (sprostytować się? ukraść?). Elita metalu, ciekawie zapowiadająca się historia, odważna formuła – co mogło pójść nie tak? Erupcja grafomanii. Wykonanie – rozpaczliwie nieudolne. Gdyby to miała być praca zaliczeniowa na pierwszym roku studiów projektowania gier wideo, niezbędne byłoby podejście do egzaminu w kolejnym terminie. Muzykę nie mniej oceniać, ale chyba metal nie powinien smakować jak sztuczny miód.



OLAF SZEWCZYK

festiwale

Kino przesilenia

22. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Nowe Horyzonty, 21–31 lipca, Wrocław, 21 lipca – 7 sierpnia, online



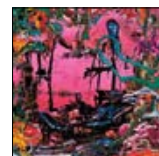
Film „Io” w reż. Jerzego Skolimowskiego, wizjonerska przypowieść nawiązująca do „Na los szczęścia, Baltazarze!”, z oślem w roli głównej, otworzy, a „Silent Twins”, nakręcona przez Agnieszkę Smoczyńską w Anglii historia córek karaibskich imigrantów od wczesnych lat życia stygmatyzowanych na tle rasowym zamknie tegoroczną edycję wrocławskiego festiwalu. W programie znajduje się 271 tytułów, wśród nich m.in.: surrealistyczny dramat „W trójkacie” Rubena Östlunda (zdobywca Złotej Palmy), trzymający w napięciu kryminał neonoir „Podejrzana” Parka Chan-wooka (nagroda za reżyserię) czy „Boy from Heaven”, thriller polityczny dziejący się za murami kairskiej szkoły dla imamów (wyróżnienie za najlepszy scenariusz). Bohaterkami retrospektyw będą: Agnieszka Holland, francuska pisarka i reżyserka bośniackiego pochodzenia Lucile Hadžihalilović oraz Brytyjka Joanna Hogg, autorka m.in. „The Souvenir I i II”, „Archipelag” i „Kapyrs” z Tildą Swinton. Dwanaście filmów konkursowych (w tym „Nie zgubiłimy drogi” Anki i Wilhelma Sasnali) oceni jury z m.in. trzema światowej klasy reżyserami w składzie: Michelelem Franco, Radu Jude i Nadavem Lapidem. JW

Szczegóły: nowehoryzonty.pl

na płycie

Nieemożliwe granie 6/6

Black Midi, **Hellfire**, Rough Trade



Muzyka, którą gra angielskie trio Black Midi, nie należy może do prostych przyjemności, ale członkowie tej formacji – rocznik 1999! – to najlepsi instrumentalisci swojego pokolenia. Pomysł łączenia estetyk – od jazzu, przez rock progresywny, po metal – doprowadzają do absurdu, tworząc utwory niemal niemożliwe do zagrania i wykonując je na pełnym luzie. Szczególnie dotyczy to perkusisty Morgana Simpsona. Partie wokalne to wspinają się na poziom musicalowego efekciarstwa, to znów schodzą do deklamacji w stylu Adriana Belewa w King Crimson. A w całej muzyce zebranej na „Hellfire” nawiązania do tej grupy sąsiadują z gestami w stylu Franka Zappy, kiedy to brawura przechodzi w beczelność, a powaga szybko zamienia się w parodię. Akcenty lekkie i delikatne („Still”), czasem zahaczające o esetykę Sinatry („The Defence”), gaszą potencjalną patetyczność tych mocniejszych („Welcome to Hell”), wszystko jest przejrzyste brzmieniowo i wyśmienicie nagrane. Paradoxem jest to, że choć „Hellfire” jest najbardziej wirtuozerską płytą w dorobku BM, w pełnym dyscypliny zespołowym graniu nie ma niepotrzebnych popisów. A na żywo zespół bywa jeszcze lepszy.

BARTEK CHACIŃSKI



„Top Gun: Maverick”



Popkultura wciąż nie może porzucić lat 80., nie tylko za sprawą serialu Tymczasem na horyzoncie majaczy już powrót kolejnej dekady.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Niekończąca się

D

zięki czwartemu sezonowi „Stranger Things” znów na parę godzin mogliśmy przenieść się w lata 80., do epoki popularności kina nowej przygody, gier role playing i rozbrzmiewających muzyką disco wrotkowisk. A jednocześnie do schyłkowych czasów zimnej wojny,

gdy zagrożenie konfliktem ze Związkiem Radzieckim wciąż wydawało się realne (co dziś, niestety, nie jest jedynie wspomnieniem). Serial Netflixa od początku działa niczym wehikuł czasu. Odtwarza rzeczywistość wczesnych powieści Stephena Kinga, filmów Stevena Spielberga, Johna Carpentera i Johna Landisa, horrorów o Freddy Kruegerze (Robert Englund, odtwórca roli Kruegera, gra zresztą w nowym sezonie znaczący epizod), czy pionierskich teledysków nadawanych przez MTV.

Wbrew pozorom „Stranger Things” nie jest serialem wyłącznie dla żyjących przeszłością czterdziestoparoletnich nerdów (choć to oni najchętniej wliczają w mediach społecznościowych wszystkie popkulturowe nawiązania i cytaty). Jego twórcy, bracia Matt i Ross Dufferowie – sami urodzeni w 1984 r., więc przeboje z tamtej dekady poznawali niejako retrospektywnie – doskonale potrafią wykorzystać stylistykę retro na potrzeby całkiem współczesnej opowieści o dojrzewaniu, odpowiedzialności, stracie i żalobie. Dlatego z nastoletnimi bohaterami serialu chętnie utożsamiają się dziś ich rówieśnicy, dostając przy okazji szansę zajrzenia do świata z czasów młodości rodziców. Albo ich marzeń o lepszym życiu: oglądane w Polsce „Stranger Things” są niczym pocztówka z Ameryki, którą w latach 80. poznawaliśmy właśnie dzięki filmom i przywożonym z Zachodu czasopismom.

Serial Dufferów przywraca wspomnienia, lecz również nadaje nowy blask przebojom sprzed lat. Dzięki czwartemu sezonowi na szczyty list przebojów wróciła – po 38 latach! – piosenka Kate Bush „Running Up That Hill”, po finałowym odcinku niezwykle wzrosła zaś popularność klasycznego numeru Metaliki „Master of Puppets”. Zresztą rośnie nie tylko wartość piosenek, które znajdują się na ścieżce dźwiękowej serialu: analitycy rynku szacują, że pojawienie się jakiejś marki odzieży, jedzenia czy sprzętu



© BÉRW. NETFLIX, DISNEY



„Stranger Things”, sezon czwarty

„Stranger Things”.

nostalgia



„Thor: Miłość i Grom”

elektronicznego na ekranie jest warte nawet kilkanaście milionów dolarów. Gdy w jednym z odcinków piosenka puszcza z walkmana ratuje życie jednej z bohaterek, firma Sony zanotowała zyski ponad 700 tys. dol., choć kasetowy walkman został wycofany ze sprzedaży w 2010 r. Tak działa duchologia w praktyce – nostalgia jest ciągle potężnym źródłem dochodów. Najwięcej zyskuje oczywiście produkujący „Stranger Things” streamingowy gigant Netflix: pierwszy odcinek czwartego sezonu pobit wszelkie rekordy popularności, w czasie pierwszego weekendu od premiery był wyświetlany na całym świecie przez blisko 287 mln godzin. Komercyjny sukces poszedł w parze z pozytywnymi opiniami publiczności i krytyków, i przynajmniej na chwilę pozwolił odwrócić uwagę od problemów serwisu: zwolnień, spadającej liczby subskrybentów czy pogarszającej się jakości oryginalnych produkcji. Ale przede wszystkim „Stranger Things” to kolejny dowód, że – przynajmniej w popkulturze – lata 80. XX w. jeszcze przez jakiś czas z nami zostaną.

Dekonstrukcja i rekonstrukcja

To nie twórcy „Stranger Things” wymyślili, że da się zarobić, angażując emocje widzów tęskniących za latami 80. Pierwszy sezon serialu Netflixa miał premierę w 2016 r., ale już wcześniej odniesienia do tej epoki pojawiały się w muzyce (zwłaszcza elektronicznej), modzie, telewizji (zwłaszcza w bardzo udanych serialach „Zawód: Amerykanin” i „Halt and Catch Fire”) czy kinie, które z różnymi efektami próbowało reanimować popularne serie z lat 80.: od „Koszmaru z ulicy Wiązów” po „Szklaną pułapkę”. Ale to premiera pierwszej serii „Stranger Things” sprawiła, że puściły tamy i popkulturę zalała niekończąca się fala nostalgicznych powrotów, reaktywacji i rebootów.

Wcale nie musiało się tak skończyć: tego samego dnia, w którym „Stranger Things” debiutował na Netflixie, do kin trafiła nowa wersja „Pogromców duchów” w reż. Paula Feiga. Oryginał był jedną z najbardziej uwielbianych produkcji lat 80., wyczekiwany reboot okazał się jednak finansową i artystyczną porażką (choć swoje zrobiła tu również negatywna reakcja części fanów, rozczarowanych w pełni żeńską obsadą). Okazało się, że nie wystarczy proste nawiązanie do tego, co kiedyś było popularne (kilka lat wcześniej boleśnie przekonał się o tym Steven Spielberg, kręcąc nieudaną czwartą część przygód Indiany Jonesa). Trzeba dać widzom nie tylko znanych bohaterów, lecz przede wszystkim emocje, za którymi tęsknili.

Serial „Stranger Things” wskazał kierunek, którym poszli następcy. Do estetyki kina lat 80. w pełni świadomie zaczęły nawiązywać produkcje o komiksowych superbohaterach, jak „Strażnicy Galaktyki vol. 2” Jamesa Gunna i „Thor: Ragnarok” Taiki Waititiego (oba z 2017 r.) czy „Wonder Woman 1984” Patty Jenkins (2020), wysokobudżetowe horrory w rodzaju „To” Andy’ego Muschettiego – adaptacja kultowej powieści Stephena Kinga i wreszcie kino science fiction, z tytułami takimi, jak „Ready Player One” Stevena Spielberga, praktycznie w całości zbudowany z kulturowych aluzji. Akcja rozgrywa się bowiem w wirtualnej rzeczywistości gry wideo, w której bohaterowie mogą przybierać postaci dowolnych awatarów, w tym ikon popkultury, co swoją drogą dało Spielbergowi rzadką okazję cytowania samego siebie.

Lata 80. stały się wytrychem do otwierania wielu zamków. Z estetyki tamtej dekady korzystali w wybranych odcinkach twórcy dystopijnego serialu „Czarne lustro”: w uznawanym za jeden z najlepszych w historii serii epizodzie „San Junipero” ta epoka jest symulacją, w której starzejący się bohaterowie mogą funkcjonować w swoich własnych, młodszych wcieleniach. Horror „Censor” (pokazywany również w polskich kinach) w reż. Prano Bailey-Bond, umiejętnie wykorzystując estetykę tanich filmów grozy dystrybuowanych na kasetach wideo (w Wielkiej Brytanii znane były jako *video nasties*), był metaforą patriarchalnego ►

► systemu władzy. Seriale „GLOW” (Netflix) oraz „Physical” (Apple TV+) odwołują się do barwej, kiczowatej estetyki – odpowiednio – kobiecego wrestlingu oraz aerobiku, lecz są zarazem opowieściami o narodzinach nowej fali feminizmu. „Pose” (FX) przyglądał się nowojorskiej kulturze drag queens końca lat 80., jednocześnie poruszając jak najbardziej aktualne problemy afroamerykańskiej i latynoskiej społeczności LGBTQ+. Brytyjski „Bo to grzech” był natomiast kroniką życia kilkorga nieheteronormatywnych przyjaciół, w czasie gdy na Wyspach przybierał na sile kryzys związany z epidemią AIDS. Badaczka Lindsay Ellis mówiła w swoich wideoesejach o „dekonstruktywnej nostalgii”, opartej raczej na krytycznym spojrzeniu na przeszłość niż jej beztrojskiej afirmacji.

Spróbuj pamięciojagód

Większość produkcji traktuje jednak ikonografię lat 80. jako estetyczną matrycę i okazję do nieustającego reanimowania sentymentów. Na ekrany kinowe lub do serwisów streamingowych znów zaczęły wracać popularne franczyzy z epoki: od „Predatora” po „Laleczkę Chucky” i Johna Rambo, od „Dynastii” po „MacGyvera”, zazwyczaj z mizernym skutkiem artystycznym. Choć zdarzały się wyjątki: finałowa trylogia „Gwiezdných wojen”, kończąca sagę o rodzice Skywalkerów, może nie dorównywała oryginałowi, ale skutecznie przyciągnęła do serii nowe pokolenie widzów. Jeszcze lepiej pod tym względem sprawdziły się osadzone w gwiezdnowojennej rzeczywistości seriale produkowane dla serwisu Disney+: „Mandalorianin”, „Księga Boby Fetta” i „Obi-Wan Kenobi”. Także kolejne podejście do „Pogromców duchów”, tym razem noszące podtytuł „Dziedzictwo” (2021), okazało się wreszcie godnym następcą oryginalnej dylogii i przyniosło producentom wymierny zysk (zwłaszcza że film wchodził do kin w trudnym postpandemicznym okresie). Nowa animowana seria o He-Manie – zrealizowana dla Netflixa pod nadzorem popularnego reżysera i wielkiego fana popkultury Kevina Smitha – udowodniła, że są odbiorcy, do których można trafić z poważniejszą, bardziej dojrzałą wersją kultowej kreskówki. Wreszcie długo oczekiwany „Top Gun: Maverick”, sequel jednego z największych hitów z udziałem Toma Cruise’a, okazał się magnesem dla kinowej publiczności, zarabiając do tej pory blisko 1,2 mld dol.

Są wreszcie filmy, które traktują nawiązania do lat 80. jako sposób na puszczenie oka do widzów, budowanie specyficznego poczucia wspólnoty twórcy i widzów, połączonych wspomnieniami i doświadczeniami – nawet jeśli film przeznaczony jest dla pozornie innej widowni. Taika Waititi w najnowszym filmie „Thor: Miłość i Grom” prowadzi akcję w rytm pamiętnych hitów Guns N’ Roses, a końcowe napisy stylizuje na logo zespołów hard-rockowych z epoki. Zaś „Sonic 2. Szybki jak błyskawica”, adaptacja popularnej gry wideo, wprost odwołuje się do kultowych przebojów sprzed plus minus czterech dekad: „Rzykownego interesu” czy „Wykidajły” (choć trzeba uczciwie przyznać, że równie chętnie cytuje zarówno „Czarnoksiężnika z Oz”, jak i „Szybkich i wściekłych”).

Od czasu premiery pierwszego sezonu „Stranger Things” żerowanie na popkulturowej nostalgii przybrało gargantuiczne rozmiary. Twórcy animowanego serialu „South Park”, bezlitośnie szydzącego z wszelkich aspektów kulturalnego i społecznego życia Stanów Zjednoczonych, wymyślili nawet pamięciojagody (member berries), owoce, które pozwalają ludziom uwierzyć, że wszystko, co dobre (również w kulturze masowej), wydarzyło się przed laty, co w efekcie sprawia, że pragną jedynie rebootów i remake’ów dawnych hitów. Krytycznie do retronostalgii odniósł się również brytyjski reżyser Toby Meakins – w jego horrorze „Wybieraj albo umieraj” gra wideo z lat 80. (fikcyjna) jest źródłem cierpienia bohaterów.

Część krytyków uważa, że fala tęsknoty za latami 80. wkrótce przemienie. Wspomniana wcześniej Lindsay Ellis wskazuje, że w popkulturze cykl nostalgiczny trwa ok. 30 lat – powołuje się przy tym m.in. na „Powrót do przyszłości” (1985) i „Dirty Dancing” (1987), które przywoływały wyidealizowane wizje lat 50. i 60. Owe 30 lat to czas potrzebny, by dzieciaki dorosły i zaczęły opowiadać historie, którymi same fascynowały się w młodości. Dziennikarz „New Yorkera” Adam Gopnik, analizując fenomen serialu „Mad Men” o złotych czasach reklamy, sugerował raczej cykle 40-letnie. Tak czy inaczej, wiele wskazuje, że lata 80. wkrótce ponownie staną się przeszłością, choć zapewne nie poddadzą się łatwo – jeszcze w przyszłym roku zobaczymy pewnie nowe części „Indiany Jonesa” i „Pogromców duchów”, w kolejnym czeka nas także finałowy sezon „Stranger Things”.

Ale nawet ten serial przestaje tak łatwo wpisywać się w ramy „ejtisowej” nostalgii. Horror, kino fantastyczne i zjawiska społeczne (takie jak zimnowojenna paranoja czy *satanic panic*, czyli powszechny lęk przed zbrodniami dokonywanymi rzekomo przez wyznawców Szatana) tamtej dekady pozostały paliwem napędowym czwartego sezonu, jednak bracia Dufferowie powoli zmierzają już do kolejnej dekady, cytując choćby „Milczenie owiec” Jonathana Demme’a.

Czekając na koniec historii

Zresztą w popkulturze nawiązania do lat 90. są coraz wyraźniejsze. Akcja komiksowej superprodukcji „Kapitan Marvel” (2019) rozgrywała się w połowie tamtej dekady, podobnie jak retrospektywne sceny serialu „Yellowjackets” oraz znakomity miniserial „Pam i Tommy”, przypominający aferę, jaka wybuchła po ujawnieniu sekstaśmy Pamelii Anderson. Superbohaterski „Batman” (2022) Matta Reevesa wystylizowany został na wczesne filmy Davida Finchera i sprawił, że na listy przebojów po z górą 20 latach wróciła Nirvana z piosenką „Something in the Way”. Odświeżonej, poważniejszej wersji doczekał się serialowy hit epoki „Bajer z Bel-Air”. W serwisach streamingowych pojawiły się nowe przygody bohaterek „Seksu w wielkim mieście”, a także Beavisa i Butt-heada, dwóch nierozgarniętych nastolatków, którzy byli ikonami epoki MTV (pełnometrażowy film „Beavis and Butt-head Do the Universe” nie jest na razie dostępny w Polsce) oraz Chipa i Dale’a w disnejowskiej produkcji „Brygada RR”, będącej kontynuacją uwielbianego serialu z początku lat 90. Na ekrany wrócą bohaterowie „Sprzedawców” Kevina Smitha, wielkiego hitu amerykańskiego kina niezależnego, popularny serial młodzieżowy „Śladkie kłamstewka” już za kilka tygodni doczeka się prequela „Grzech pierworodny”, rozgrywanego się właśnie w ostatniej dekadzie XX w. A rockowy muzyk Rob Zombie rusza na tournée po Stanach Zjednoczonych pod bezpretensjonalnym hasłem „Bawmy się, jakby był 1999”, choć przynajmniej nie trzeba się już w tym przypadku obawiać nieoczekiwanych konsekwencji pluskwy milenijnej.

Rynek zaczyna na to wzmoczenie coraz częściej reagować: amerykański Burger King wprowadził linię opakowań nawiązującą stylistycznie do wzorów sprzed ćwierć wieku, Nintendo w swoim płatnym serwisie zaczęło oferować dostęp do klasycznych gier, z „Super Mario Bros.” na czele, zaś Hasbro wyprodukowało zestaw Play-Doh dla dorosłych inspirowany zapachami z epoki, m.in. aromatem popcornu sprzedawanego w wypożyczalniach kaset wideo. Za jedyne 14 dol. można sobie przypomnieć albo wyobrazić, jak pachniała Ameryka 30 lat temu.

Lata 90. są więc tuż za rogiem. W czasach katastrofy klimatycznej, covidu, wojny w Ukrainie i nadciągającego kryzysu gospodarczego epoka, w której przez krótki czas uwierzyliśmy, że jest szansa na światowy pokój, a Francis Fukuyama obiecywał koniec historii, wydaje się naturalnym kierunkiem ucieczki od rzeczywistości.

JAKUB DEMIAŃCZUK



„Zbrodnie przyszłości” z 2022 r.
z Léą Seydoux i Viggo Mortensenem.

Prowokator i prorok

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Trudno sobie wyobrazić historię kina bez Davida Cronenberga. Po dłuższej przerwie wraca „Zbrodniami przyszłości”, bezlitosną wizją apokalipsy, do której świetnie pasuje miano, jakim często określano jego filmy: sadystyczna pornografia.

Cronenberg to klasyk, wciąż jednak na tyle kontrowersyjny, że niektórzy wolą unikać powrotu do jego wymagającej mocnych nerwów twórczości, by nie tracić resztek dobrego humoru. Kanadyjski reżyser, piewca determinizmu, tropiciel nieświadomego, przeświadczony o destrukcyjnej sile popędów seksualnych, konsekwentnie od pół wieku w kolejnych filmach przekonuje na przykładzie samobójczych działań ludzkości w celu poprawy gatunku,

że zanim spotka nas nieuchronna zagłada, cywilizację czekają przerażająco długie konwulsje. „Nic nie jest prawdą. Wszystko jest dozwolone” – motto Hassana I Sabbaha, średniowiecznego mędrca z Persji, umieszczone w czołówce jednego z jego filmów doskonale odzwierciedla mało przyjemny sposób myślenia ekscentrycznego twórcy.

We wchodzących właśnie do polskich kin „Zbrodniach przyszłości” już w pierwszej scenie matka morduje swoje dziecko. Dusi je poduszką, gdyż

ośmiolatek okazał się genetycznym mutantem (żywi się plastikiem). W innej scenie widzimy mężczyznę zaszywającego sobie oczy i usta, za to – w różnych miejscach – wyrastają mu uszy. Cronenberg przedstawia świat niedalekiej przyszłości, w którym ludzkość zdołała pozbyć się bólu, nauka pokonała wirusy i bakterie. Operacje na żywych organizmach mogą się odbywać w dowolnym miejscu i z udziałem publiczności. Chirurgia stała się sztuką dla sztuki, ludzi pasjonuje tworzenie nowych tkanek ►

► i nieznanych dotąd narządów wewnętrznych. Niekoniecznie w celach naukowo-medycznych, co niektórzy traktują jak wyzwanie.

Ta konceptualna opowieść w stylu wczesnych prac reżysera (scenariusz powstał dwadzieścia lat temu), mówiąca o wysiłku tworzenia w niemoralnym, zdeformowanym świecie niepojętej konsumpcji miała początkowo nosić tytuł „Painkillers”. Ostatecznie reżyser zdecydował, że będzie się nazywała tak samo jak jedno z najwcześniejszych jego dzieł, z 1970 r. Filmy nie są tematycznie ze sobą powiązane, ale jest coś, co je łączy: psychologia nie jest ich najmocniejszą stroną, do tego autor stawia na osobliwą konwencję (długie ujęcia, teatralna scenografia, spowolniona narracja, ponury ton), pozwalającą eksplorować dystopijne wątki oraz kontemplować seks przyszłości, niemający zgoła nic wspólnego z tym, który znamy.

Kręcąc z udziałem gwiazd, Viggo Mortensena, Lei Seydoux i Kristen Stewart, nowe „Zbrodnie przyszłości”, Cronenberg był przekonany, że wywoła nie tylko intelektualny ferment, ale też wstrząs tak wielki, że już po kilku minutach widzowie zaczną masowo uciekać z kina. Zapowiedział to oficjalnie na łamach magazynu „Deadline”, uprzedzając, że ostatnie 20 minut filmu jest przeznaczone dla wyjątkowo twardych widzów. Jedną z osób, które obejrzały go wcześniej, doniosła mu, że doznała ataku paniki. I to jest OK, skomentował reżyser, zarazem dziwiąc się żywiołowej reakcji na pokazie podczas festiwalu w Cannes. „Mam nadzieję, że nie żartujecie” – odpowiedział na wielominutową owację na stojąco.

Moc grozy

Cronenberg traktuje swoje wizje niesłychanie poważnie. – *Jeśli myślimy o niemożliwym i wyobrazimy to sobie, wydaje się, że możemy nad tym zapanować. Ale to błąd. Myślenie daje tylko pozorne złudzenie kontroli. Naszym przeznaczeniem jest biologia. Od początku do końca podlegamy jej prawom. Pragnienie ucieczki przed przeznaczeniem jest jednak bardzo ludzkie. Moi bohaterowie często próbują łamać prawa natury, by ująć przeznaczeniu. To budzi strach. Jednocześnie chcemy wraz z nimi tego doświadczyć. Czasami to po prostu konieczne, bo inaczej nic nie zmienimy – tłumaczy powód zajmowania się osobliwościami.*

Przez pięć dekad wyspecjalizował się w szokowaniu obrazami skrajnej przemocy, straszaniu spiskami, ludzkim ciałem zmieniającym się w ponadgatunkową hybrydę, wymyślaniu



„Nagi lunch” z 1991 r.

monstrów rodem z najczarniejszych snów i koszmarów. Nie dbał przy tym o wysoką jakość efektów specjalnych, co skazywało go, zwłaszcza na początku kariery, na zamknięcie w getcie, razem z nowojorską awangardą, *midnight movie* czy półamatorskim kinem klasy B. W postmodernistycznym body horrorze „Wściekłość” na skutek radykalnego przeszczepu skóry oraz wymiany narządów w klatce piersiowej ofiara wypadku motocyklowego musi się żywić ludzką krwią (gra ją gwiazda porno Marilyn Chambers), a czyni to za pomocą czerwonego żądła w kształcie fallusa wyrastającego pod pachą. W „Wideodromie”, filmie o zniewoleniu człowieka przez media, brzuch szefa telewizyjnej stacji kablowej jak najdosłowniej przekształca się w magnetowid. W rozcięciu przypominającym waginę ląduje oddychająca, tętniąca życiem kasetka wideo, a wyciągnięty z trzewi rewolwer zrasta się z kośćmi i ścięgnami dłoni. Obraz okrzyknięty „Mechaniczną pomarańczą” lat 80. roztacza upiorną wizję przyszłości, w której możliwa jest też interakcja z ekranem telewizora pełniącym rolę siatkówki oka, co skutecznie zaciera granice wyobrażenia i tego, co realne.

Mimo że Cronenbergowi zdarza się nawiązywać do campowej estetyki, a niedopowiedzenia i sugestie zastępować krwawym realizmem, jego filmom daleko do pastiszu czy ironii. Mieszanką ducha groteski i antycznej tragedii zrewolucjonizował gatunek body horroru. Ma wiernych wyznawców, doczekał się też grona ambitnych naśladowców. Jordan Peele, twórca głośnych autorskich horrorów „Uciekaj!” i „To my”, wspominał w wywiadach, że to widowisko SF Cronenberga „Mucha”, o nieudanym eksperymencie z teleportacją, nauczyło go „mocy grozy”. Francuzka Julia Ducournau, odbierając w ubiegłym roku Złotą Palmę za „Titane”, z dumą przyznała, że w jej filmach znaleźć można DNA jego szokujących fantazji. Na czele z „Crash: Niebezpieczne

pożądanie”, futurystycznym dramatem erotycznym o fetyszystach wypadków samochodowych, zrealizowanym na podstawie powieści J.G. Ballarda. Cztery lata temu Cronenberg został uhonorowany prestiżowym Złotym Lwem w Wenecji za całokształt, a we wrześniu otrzyma podobną nagrodę w San Sebastian.

Obryzdlstwa pod rozwagę

Bulwersująca, lecz emocjonalnie zimna, atrakcyjna intelektualnie, ale odpychająca filozofia autora „eXistenZ” i „Pająka” nigdy nie stanowiła łakomego kąska dla masowej widowni, a już na pewno nie dla Hollywood. Kolejne tytuły były pomijane w nominacjach oscarowych, niektóre nie trafiały nawet do amerykańskich kin, tylko od razu do dystrybucji kasetowej albo do sieci. Nieliczne, jak „Martwa strefa” (adaptacja bestsellerowego thrillera Stephen Kinga) czy „Mucha”, zaskakiwały komercyjnym potencjałem, co spowodowało, że w latach 80. reżyser przeprowadził się na krótko do Los Angeles, a Hollywood rozważało powierzenie mu realizacji „Powrotu Jedi”, pierwszego „Top Gun” czy „Siedem” – największych hitów epoki. Cronenberg jednak wolał pozostać przy swoim kinie, a jedyne, czego żałował, to odsunięcia go od produkcji „Pamięci absolutnej” na podstawie opowiadania „Przypomnijmy to panu hurtowo” Philipa K. Dicka, którego uważa za swego ulubionego pisarza. Film, znacznie odbiegający od literackiego oryginału, ostatecznie zrobił za niego Paul Verhoeven.

Jeśli niektórym tytułom Cronenberga udawało się zyskać status kultowych, już to samo w sobie stanowiło sukces. Jednak teraz, na fali ogólnoświatowego kryzysu, galopującej inflacji, widma kolejnej pandemii oraz recesji wrodzony pesymizm Kanadyjczyka nagle jakoś przestaje razić. Kasandryczne proroctwa powtórzone za Donem DeLillo w ekranizacji jego powieści „Cosmopolis” wcale nie wydają się dziś zbyt abstrakcyjne.



„Crash: Niebezpieczne pożądanie” z 1996 r.

Kto wie, czy moda na Cronenberga dopiero się więc nie rozkręca.

Wszelako trzeba uczciwie przyznać, że obrazoburstwo Cronenberga nigdy nie było uznawane za szczególnie atrakcyjne wizualnie. Prawie zawsze otaczała je aura niezręcznej prowokacji wprawiającej publiczność w konsternację, niestety, doświadczonych recenzentów, co to niejedno widzieli, również. Właściwie od samego początku, czyli od 1975 r., kiedy Cronenberg nakręcił swój pełnometrażowy debiut kinowy „Dreszcze” – o pasożyte wyglądającym na krzyżówkę ślimaka ze stolcem i zamieniającym lokatorów montrealskiego wieżowca w oszalałe na punkcie seksu zombie (co odczytano, z dużym opóźnieniem, jako krytykę rewolucji seksualnej) – doradzano mu, by wcześniej dwa razy się zastanowił, nim coś równie obrzydliwego pokaże. Nikogo jednak nie słuchał. Mnożył ekstrema, odmawiał wycinania spornych scen, drażnił strażników moralno-politycznej poprawności wizjami rozpadu, samobójstw, końca świata, jakby obierając sobie za cel testowanie granic wytrzymałości.

Obsesyjnie powracające tematy: dehumanizacji człowieka, zlewania się w paranoiczny sposób tego, co zwierzęce i maszynowe, konsekwencji przesuwania granic płci, transformacji ciała jako metafory procesów chorobowych stosunkowo szybko zapewniły reżyserowi rozgłos wyraziciela współczesnych

lęków. Szerokie uznanie Cronenberg zyskał jednak dopiero dzięki ekranizacji słynnej powieści Williama S. Burroughsa „Nagi lunch”, długo uchodzącej za niemożliwą do sfilmowania. O uzależnionym od narkotyków tępiciele karaluchów i niespełnionym pisarzu, który po zabójstwie swojej żony (również uzależnionej) wkracza do „międzystrefy”, halucynacyjnego stanu, gdzie materializują się jego najczarniejsze wizje (m.in. słynna maszyna do pisania Clark-Nova zmienia się w gigantycznego, groteskowego robaka przemawiającego do bohatera ustami w formie odbytu).

Podróż myślowa

„Myślę, że ateizm jest akceptacją tego, co prawdziwe” – tłumaczył reżyser w wywiadzie rzece „Cronenberg on Cronenberg”. Wychował się w świeckiej rodzinie żydowskiej z klasy średniej, jako nastolatek przeszedł fazę, w której zastanawiał się nad istnieniem Boga, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że koncepcja stwórcy została wymyślona, aby poradzić sobie ze strachem przed śmiercią. „Wszyscy umrzemy, to oznacza koniec wszelkiej świadomości. Nie ma życia pozagrobowego. Nie ma Boga. Co z tym zrobimy? W tym momencie to zaczyna być dla mnie interesujące” – deklarował na łamach „The New York Timesa”.

Jego ojciec Milton (niektóre źródła podają, że chorował na rzadką chorobę kości, powodującą trwałą deformację

szkieletu) był felietonistą lokalnej gazety i pisarzem kryminałów, prowadził też księgarnię. Matka Esther była pianistką w National Ballet of Canada. Cronenberg wychowywał się w atmosferze kultu sztuki, na domowych regałach stało ponad pięć tysięcy tomów. Zainteresował się książkami o roślinach i lepidopterologii. Chciał zostać pisarzem SF. Zmienił decyzję, gdy w dzielnicy Little Italy w Toronto dostrzegł płaczący tłum wychodzący z kina po seansie „La Strady”. Wtedy zrozumiał, że filmy mają większą moc.

Studiował na uniwersytecie w Toronto nauki ścisłe i literaturę angielską; reżyserem postanowił zostać, gdy jego koledzy z roku nakręcili amatorską krótkometrażówkę zainspirowaną poematem T.S. Eliota. Tak im tego pozazdrościł, że w końcu sam odważył się stanąć za kamerą. Nie przeszkadzało mu to, że nie ma dyplomu szkoły filmowej, kierował się pasją i ambicjami. Tematem kręconych na czarno-białej taśmie 16 mm pionierskich prac były m.in. sesja psychoterapeutyczna, telepatia oraz choroby skóry. W 1971 r. odbył swoją pierwszą zamorską podróż. Do Cannes, żeby zbadać teren.

Powszechnie kojarzony z horrorem cielesnym Cronenberg bywa też subtelniejszy. Zajmując się rozmaitymi atawizmami nauczył się w ciągu minionych dwóch dekad unikać skrajności. „Historia przemocy”, „Wschodnie obietnice”, „Mapy gwiazd”, a zwłaszcza „Niebezpieczna metoda”, poświęcona rywalizacji Freuda i Junga, udowodniły, że jest dojrzałym twórcą umiejętnie operującym emocjami. Nie dotyczy to oczywiście „Zbrodni przyszłości”, horroru, który w gotyckim kostiumie opowiada o poświęceniu, jakiego wymaga nieograniczona osobista ekspresja. Léa Seydoux pytana, czym jeszcze jest ten film, stwierdziła, że to metafora tego, co znaczy być artystą: czy procesowi tworzenia musi towarzyszyć ból.

Jak wielki ból odczuwa kanadyjski reżyser, realizując swoje filmy? Wiele osób zastanawiało się, skąd w Cronenbergu takie pokłady nihilizmu? Dlaczego tak dobrze przystosowana do życia osoba jak on tworzy tak wstrząsające wizje? On sam mówi o swojej pracy jak o zaproszeniu do podróży w nieznanne. „Nie reżyseruję, by kogokolwiek obrazić. Za każdym razem wyruszam w nieco inną podróż myślową. Pewne rzeczy mnie niepokoją, niektóre wprowadzają w zakłopotanie, inne niespodziewanie zachwycają. Tak powstaje film” – tłumaczył w „New Yorkerze”.

Warto wybrać się z nim w tę podróż. Żeby poczuć to samo albo nie.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



Claude Lévi-Strauss, prekursor strukturalizmu – według Roszkowskiego źródła relatywizmu.



Pink Floyd (na fot. Roger Waters, były członek zespołu) – „muzyczny orędownik destrukcji”.

Kity z hitu

Historia i terażniejszość ma od września zastąpić w szkołach średnich wiedzę o społeczeństwie. Podręcznik „Historia i terażniejszość 1945–1979” prof. Wojciecha Roszkowskiego został właśnie dopuszczony do użytku szkolnego. Książka ma charakter wybitnie indoktrynacyjny, o czym świadczą też fragmenty poświęcone kulturze.

MIROŚLAW PĘCZAK



Brigitte Bardot jako symbol „rewolucji seksualnej [która] podkopywała fundamenty życia rodzinnego na Zachodzie”.

Trzeba jednak zacząć nie od kultury w sensie ścisłym, ale od ideologii, która jest tematem jednego z początkowych rozdziałów („Ideologie i nazizm”). Dowiadujemy się, że ideologia jest „uproszczoną wersją filozofii na potrzeby różnych programów politycznych”. Jej cechą wyróżniającą ma być utopijność („usiłuje przekształcać świat na podstawie nierealnych kryteriów”). Autor wymienia też ideologie „najbardziej popularne obecnie”. Są to: socjalizm, liberalizm, feminizm, ideologia gender i – uwaga – współczesna chadecja. Od razu wiadomo, czego autor nie lubi i co w niemal całej dalszej części ponad 500-stronicowego wywodu stanowić będzie negatywny układ odniesienia dla ideologii, której zwolennikiem jest sam Wojciech Roszkowski.

Otóż jego ideologią jest szczególnie pojęty konserwatyzm, odrzucający wywodzącą się z tradycji oświeceniowej postawę krytyczną, za to oparty na przekonaniu o decydującej roli religii, a w zasadzie jednego wyznania (katolicyzmu) w rozstrzygnięciach zarówno moralnych, jak i poznawczych, zaś w dalszej instancji także politycznych. Jest to konserwatyzm szczególnie, bo mający niewiele wspólnego ze współczesnym konserwatyzmem europejskim, za to nader zbieżny z duchem sławetnego przedwojennego dzieła dydaktycznego ks. Mariana Pirożyńskiego „Co czytać? Poradnik dla czytających książki”, w którym autor piętnował szkodliwe dla zdrowia moralnego przykłady utworów literackich. Ta właśnie perspektywa rzędzi obecną w książce Roszkowskiego oceną przemian kultury XX w.

W owej ocenie najważniejsze wydają się dwie dychotomie: lewica – prawica oraz ateizm – chrześcijaństwo. Dobrze widziane są postaci twórców, którzy deklarowali swoją religijność. Na przykład angielski pisarz Gilbert K. Chesterton, który „przeszedł konwersję na katolicyzm”, a „swoją drogę do poznania wiary opisał w monumentalnym dziele »Ortodoksja«”. Albo francuska piosenkarka Edith Piaf, która „mimo trudnego, burzliwego życia nigdy nie straciła wiary w Boga” i „niezwykłą estymą darzyła św. Teresę z Lisieux”. Jakikolwiek twórca (pisarz, malarz, reżyser) traci, jeśli ulokuje się po lewej stronie osi poglądów politycznych. Przy czym niekoniecznie decyduje twórczość, bo ważniejsze okazują się deklaracje i komentarze dotyczące bieżącej w danej chwili polityki. Z tego powodu pod pręgierzem stają np. Jean-Paul Sartre czy George Bernard Shaw, którym faktycznie zdarzało się wypowiadać osobliwe opinie o rewolucji bolszewickiej i Związku Radzieckim, jednak warto podkreślić, że ten piętnujący Sartre’a i Shawa fragment książki Roszkowskiego ilustruje fotografia Jeana-Claude’a Junckera, niedawnego przewodniczącego Komisji Europejskiej, z podpisem: „Jean-Claude Juncker uważa Marksa – prekursora zbrodniczego systemu komunistycznego – za... wybitnego myśliciela”.

Roszkowski piętnuje w ten sposób „pożytecznych idiotów» optujących za bolszewizmem”. Oprócz wymienionych fanami bolszewizmu mieli być: Pablo Picasso, Ernest Hemingway, Romain Rolland, Thomas Mann, Pablo Neruda. Na tej samej nutce Roszkowski oznajmia, że w USA komuniści „wkręcili się do przemysłu filmowego, a więc do światowej propagandy”. Swoją drogą ciekawy jest ten znak równości między amerykańskim przemysłem filmowym a „światową propagandą”. Możliwe, że autor „Historii i teraźniejszości” inspirował się w tym wypadku radziecką myślą filmoznawczą, która w czasach stalinowskich oficjalnie uznawała, że główną funkcją kina jako takiego jest właśnie funkcja propagandowa. Idąc tym śladem Roszkowski przekonuje, że powojenne sukcesy kina hollywoodzkiego kryły w sobie odzew na powszechne na Zachodzie pragnienie „powrotu do normalności”, co było charakterystyczne dla całego ówczesnego przemysłu rozrywkowego, który wraz ze wzrostem konsumpcji eliminował z pola uwagi „problemy egzystencjalne”.

Roszkowski ma wiele słów krytyki wobec zachodniej kultury późnych lat 40. i 50. Zarzuca zatem wspomnianemu wcześniej Sartre’owi (nie zapominając opatrzyć jego nazwisko epitetem „przyjaciel bolszewików”), że proponował „iluzoryczne poczucie sensu życia”. Podobnie zresztą jak Hemingway („*nota bene* – zaznacza Roszkowski – skompromitowany współpracą z wywiadem sowieckim w czasie wojny domowej w Hiszpanii”). Nie koniec na tym, bo jeszcze „w powieściach przedstawiano brak komunikacji między ludźmi, w sztukach Eugène’a Ionesco lub Samuela Becketta bohaterowie zachowywali się jak automaty bez uczuć”. Dostaje się Alberto Moravii i Françoise Sagan, że przedmiotem namysłu czynili nudę, a w dodatku w powieści „Witaj smutku” Sagan z nudów uprawia się miłość. Autor podręcznika grzmi: „Określenie »uprawianie miłości« oznaczało *de facto* oderwanie seksu od głębokiego uczuć”.

Roszkowski wytyka zachodnim twórcom jednocześnie: ateizm, admirację komunizmu i pesymizm. Przypomnijmy sobie, co w latach 1948–56 publicyści „Trybuny Ludu”, powtarzający argumenty propagandystów radzieckich, zarzucali polskimi pisarzom przedwojennym i tym współczesnym, którzy nie dość entuzjastycznie przedstawiali Polskę pod rządami władzy ludowej. Otóż: religianctwo, admirację kapitalizmu i pesymizm. Czasem dochodził do tego jeszcze formalizm, ale tak czy siak

zbieżność struktur myślenia „Trybuny Ludu” i Roszkowskiego daje do myślenia. Ciekawe jest zwłaszcza piętnowanie pesymizmu, nader częste w książce Roszkowskiego i charakterystyczne również dla partyjnej (PZPR-owskiej) publicystyki okresu PRL, która starała się zwalczać pesymizm i zblazowanie nie tylko u nielubianych artystów, ale i u młodzieży: najpierw u bikińiarzy, potem u „bananowców” i rodzimych hipisów, a jeszcze później u punków. Roszkowski zdaje się przyjmować ten punkt widzenia, ale twórco go rozwija i osadza na gruncie konserwatywnego rygoryzmu pedagogicznego. Najlepszą tego ilustracją są fragmenty podręcznika odnoszące się do kontrkultury i kultury młodzieżowej lat 60. i 70.

Lata 60. ubiegłego stulecia to w książce Roszkowskiego istne pandemium. Rewolucja obyczajowa, podważanie wartości własnej kultury, początki zgubnej poprawności politycznej, realizacja hasła „sex, drugs and rock’n’roll” i w ogóle rewolta młodzieżowa, która, choć doraźnie przegrała, wniosła do kultury Zachodu do dziś działający mechanizm destrukcji. Akapit umieszczony w książce obok zdjęcia pięknej, rozneglizowanej Brigitte Bardot informuje, że od lat 60. XX w. „rewolucja seksualna podkopywała fundamenty życia rodzinnego na Zachodzie. Z czasem codzienną praktyką stały się rozwody i współżycie bez zobowiązań. Wraz z postępem medycznym i ofensywą ideologii *gender* wiek XXI przyniósł dalszy rozkład instytucji rodziny”.

Roszkowski, podobnie jak inni prawnicy intelektualni organizujący dziś front wojny kulturowej w Polsce, za najbardziej spektakularny przejaw choroby podkopującej fundamenty kultury Zachodu w ubiegłym stuleciu uważa muzykę (głównie rockową), stanowiącą element buntu młodzieżowego. Przed laty Ryszard Legutko w polemice z Ireneuszem Krzemińskim potraktował zachodnią rebelię młodzieżową z lat 60. jako wybryk rozpuszczonych przez dobrobyt smarkaczy, którym lenistwo umysłowe nie pozwalało oprzeć się wpływowi politycznych wrogów Zachodu. Johna Lennona zaś z powodu jego anarchistyczno-lewicowych („Power to the People”) i feministycznych („Woman Is the Nigger of the World”) piosenek nazwał najgłupszym z Beatlesów (w domyśle: inni też byli głupi, ale trochę mniej). Teraz prof. Roszkowski rozprawia się z „transgresywnym” rockiem tamtej epoki (chodzi m.in. o takich wykonawców, jak The Doors, The Rolling Stones, Jimi Hendrix, Janis Joplin) i pisze: „Stale przesuwano granicę wrażliwości w muzyce rockowej, w której popularność zdobywały zespoły grające coraz głośniej (...), ale co gorsza zaczęto manipulować warstwą tekstową, używając coraz bardziej dosadnych słów”. Wszystko miało się zacząć od „katastroficznej pieśni ludowej” Boba Dylana „Times, They Are A-Changin’” zapowiadającej rewoltę, zaś swoją późną i najbardziej zdegenerowaną postać (już w latach 70.) znalazło w „modzie *punk*”. O tym, że subkulturowe szaleństwa młodzieży winny być traktowane jako przejaw głębokiego kryzysu także w politycznym kontekście, ma świadczyć zestawienie dwóch fotografii (418 strona podręcznika) z podpisem: „Sfrustrowana dobrobytem i posiłkująca się używkami niemiecka młodzież punkowa przy Rybiej Fontannie na placu Mariackim w Monachium (zdjęcie górne) i młodzi kubańscy żołnierze na wojnie w Angoli (zdjęcie dolne) wspierający militarnie tamtejszy komunistyczny Ludowy Ruch Wyzwolenia Angoli (MPLA)”. Muzycznym orędownikiem destrukcji oprócz zrewoltowanego rocka lat 60. i punka lat 70. jest także zespół Pink Floyd, głównie za sprawą piosenki „We Don’t Need No Education”, bo jej słowa nawołują do buntu dzieci przeciw nauczycielom.

Wszelako nie wszystko, co rockowe, trzeba potępiać, bo przecież „oprócz prymitywnych i wulgarnych nurtów ▶

► punkowych rozkwit przeżywał rock symfoniczny, dużo jednak ambitniejszy. Warto wymienić zespoły: Yes, Emerson, Lake and Palmer, King Crimson lub muzyka Mike'a Oldfielda, a z polskich zespołów: Budkę Suflera, SBB, Exodus, Riverside, a nawet Skaldów (płyta „Krywań, Krywań”). Najwyraźniej chodzi o to, by muzyka nie podważała „uleżącego i ucukrowanego” kanonu kultury.

Jak wiadomo, stałym motywem prawicowej publicystyki społeczno-kulturalnej w dzisiejszej Polsce jest zło relatywizmu. Na łamach takich czasopism, jak „Frona”, „Arcana”, „Christianitas”, a także prasy „rodzinnomaryjnej” i kościelnej („Nasz Dziennik”, „Niedziela”) publikuje się regularnie artykuły oskarżające wszelkiego rodzaju relatywizm (zarówno moralny, jak i kulturowy) o wprowadzanie chaosu aksjologicznego i podważanie prawdy obiektywnej (czyli de facto objawionej). Ten temat pojawia się także w wydanej trzy lata temu książce Wojciecha Roszkowskiego „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej”, a teraz w jego „Historii i terażniejszości”. Zło relatywizmu prowadzi człowieka Zachodu do wątpliwości w wartości własnej kultury – głosi Roszkowski w swoim podręczniku. Zazwyczaj prawicowa publicystyka i hierarchowie kościelni, tacy jak abp Jędraszewski, za kolebkę relatywizmu uznają inspirowany marksizmem (sic!) postmodernizm. Roszkowski odkrywa jeszcze inne źródło tego „zбочenia intelektualnego” – mianowicie strukturalizm – i pisze, że to „prekursor tego kierunku”, czyli twórca antropologii strukturalnej Claude Lévi-Strauss „ukazując bogactwo życia ludów egzotycznych (...) zaszczerpił Zachodowi wątpliwość w wartości jego własnej kultury”. Spośród antropologów uznaniem Roszkowskiego cieszy się za to szerzej nieznany Joseph D. Unwin, „autor odkrywczego dzieła »Seks i kultura«, w którym udowadniał, że upadek moralny, w tym dominacja seksu w życiu człowieka i całego społeczeństwa, jest zawsze zapowiedzią upadku cywilizacji”. Dodajmy, że rzucone dzieło, opublikowane w Wielkiej Brytanii w 1934 r., zostało niedawno wydane po polsku przez oficynę Biały Kruk, tę samą, która wydała „Historię i terażniejszość 1945–1979”.

Na tle zdegenerowanego Zachodu kultura PRL staje się – o dziwo – przynajmniej w niektórych swoich przejawach całkiem do przyjęcia. Godna pochwały jest choćby literacka twórczość po „odwilży” października 1956 („Zły” Tyrmanda, opowiadania Hłaski i Nowakowskiego, w pozytywnym kontekście wymieniani są jeszcze Jerzy Andrzejewski, Maria Dąbrowska, Tadeusz Różewicz, Stanisław Lem, „milczący w czasach stalinowskich” Zbigniew Herbert czy „broniący tradycyjnych wartości” Jerzy Szaniawski). Przychylnie patrzy autor podręcznika na renesans jazzu, choć – jak się zdaje – głównie dlatego, że nie lubili go komuniści. Wspomina też o „polskiej szkole filmowej” (Wajda, Munk), przypominając jednak, iż rozwijała się „zawsze w granicach tolerowanych przez cenzurę”.

Dowiadujemy się również, że „władza komunistyczna od początku lubiła awangardę, ponieważ ta nie była dla niej groźna z uwagi na ograniczony zakres odbiorców oraz trudną, często niezrozumiałą formę”. Spora w tym przesada – władze PRL nie tyle lubiły, ile tolerowały awangardę, i nie od początku, ale po 1956 r. To wszakże drobiazgi. Ważniejsze jest co innego. Oto uczniowie szkół średnich otrzymują podręcznik, który ma im zaszczerpić nieufność do zgniełego Zachodu, niechęć do co bardziej śmiałych poszukiwań artystycznych i – ogólnie – nienawiść do kultury kwestionującej dogmaty i autorytety. Tym sposobem ofensywa populistycznej prawicy w wojnie kulturowej wypowiedzianej tendencjom liberalnym czyni swoim przyczółkiem polskie szkoły.

MIROSLAW PĘCZAK

Krwawiące serce dyrektora

Po 25 latach z TR Warszawa odejście twórcy jego marki i dyrektor artystyczny reżyser **Grzegorz Jarzyna**. Na żądanie zespołu aktorskiego. I w tym przypadku naprawdę można mówić o końcu pewnej epoki.

ANETA KYZIOŁ

Zdecydowałem o zakończeniu swojej pracy na stanowisku zastępcy dyrektora ds. artystycznych z chwilą wyboru nowej dyrekcji teatru” – ogłosił Grzegorz Jarzyna na konferencji prasowej zwołanej przez dyrektorę TR Warszawa Natalię Dziejuszycką 4 lipca. Dodając, że nie wystartuje także w planowanym na wrzesień konkursie na nową dyrekcję. Zaskoczenie było spore, bo wcześniej, podobnie jak Dziejuszycka, odrzucał zarzuty zespołu aktorskiego i wezwania do ustąpienia. „Ja jestem gwarantem tego fenomenu” – ogłaszał w „Newsweeku”. Teraz, po – jak wyznał – rozmowie z flamandzkim reżyserem Lukiem Percevałem, któremu TR Warszawa zawdzięcza swój ostatni sukces, „3Siostry” Czechowa, i który ma tu znów reżyserować w 2024 r., zmienia ton: „Moim celem jest ratowanie instytucji, którą współtworzyło wiele osób na przestrzeni 25 lat”.

Konflikt w TR Warszawa, teatrze ważnym i emblematycznym dla polskich przemian po 1989 r., ujrzał światło dzienne 20 czerwca, gdy zespół aktorski wysłał do mediów oświadczenie, w którym alarmował: „W ciągu ostatnich dwóch lat zespół naszego teatru opuściło około 30 osób. Osoby odchodzące z pracy opisywały się w większości jako osoby przemęczone napięciami, zastraszone i wypalone psychicznie. Deklarowały, że »mają już dosyć!«. Aktorzy, stając w obronie kolegów i koleżanek z innych działów i pionów, kwestionowali sens korporacyjnego stylu zarządzania teatrem, informowali o spektaklach odwoływanych z powodu braku obsługi technicznej i utracie poczucia bezpieczeństwa. To przestał być nasz dom – podsumowywali. „Stan ten jest efektem szkodliwego i niekompetentnego prowadzenia zespołu przez dyrekcję TR Warszawa” – pisali. Z początkiem roku złożyli wotum nieufności wobec dyrekcji, uchwalone przez Komisję Zakładową OZZ IP, do której należą 51 z 84 pracowników teatru: „Rozmowy i próby mediacji zakończyły się fiaskiem”. Podobnie jak prowadzone od kwietnia ubiegłego roku rozmowy na temat problemów w teatrze z warszawskim Biurem Kultury.



Kiedy sprawa stała się publiczna, ratusz ogłosił zamiar rozpisania konkursu, który ma zostać rozstrzygnięty z końcem roku, a nowa dyrekcja ma zacząć pracę we wrześniu 2023 r. Czyli po wygaśnięciu kontraktu dyrektorskiego Natalii Dzeduszyckiej, której w konflikcie z zespołem bronią wyniki finansowe teatru.

Zespół nie kryje rozczarowania takim rozwiązaniem, pojawiają się obawy, że z TR Warszawa odejdą kolejne osoby, i ze sceny, która rozpoczynała nową erę w polskim teatrze, pozostanie tylko sztyl. A wszystko to w momencie, gdy budowa nowej siedziby na prestiżowym pl. Defilad (do 2028 r. miasto zamierza wydać na nią co najmniej 289 mln zł) z mozołem zalicza kolejne etapy.

Aktorzy swój protest widzą szeroko: „Chcemy, żeby nasz gest był przykładem szerszego zjawiska. Zmian, które zaczynają dotyczyć instytucje kultury, w tym teatry. Zmian, które dają pracownikom prawo głosu i przekonanie, że ten głos może być usłyszany, że mamy zarówno obowiązki, jak i prawa”. Mówią o tykającej bombie w teatrze, która właśnie wybuchła. I jeśli spojrzeć na całą historię TR Warszawa i samego Grzegorza Jarzyny, to właściwie nie powinniśmy być zdziwieni, że wybuchła właśnie tam i właśnie teraz.

Przewrót styczniowy

Z tym stanem na czele przemian to nie metafora. Początek nowego, postkomunistycznego teatru w Polsce – postmodernistycznego, nasiąkniętego popkulturowymi odniesieniami, filmową estetyką i codziennością, podejmującego nieobecna u nas szerzej tematykę mniejszości seksualnych czy pułapek kapitalizmu – ma konkretną datę. Dzień 18 stycznia 1997 r. określa się mianem przewrotu styczniowego. Tego wieczoru odbyły się w Warszawie dwie premiery będące kwintesencją nowego stylu: „Bzika tropikalnego” w reż. Grzegorza Jarzyny w Teatrze Rozmaitości i „Elektry” w reż. Krzysztofa Warlikowskiego w Teatrze Dramatycznym. Warlikowski osadził antyczny dramat w realiach toczącej się wtedy na Bałkanach wojny, a Jarzyna zderzył dramaty

Witkacego („Mister Price” i „Nowe Wyzwolenie”) z estetyką filmów Quentina Tarantino i motywami z „Urodzonych morderców” Olivera Stone’a, nasączył erotyką, narkotycznymi wizjami i egzotyką Dalekiego Wschodu. Do okłasków wyszedł w masce Demona, przywiezionej z wycieczki na Bali, i wykonał przed zaskoczoną widownią taniec triumfu.

W kolejnym roku jako 30-latek został najmłodszym dyrektorem artystycznym teatru w kraju, a jego kolejne spektakle: krakowska „Iwona, księżniczka Burgunda” z Magdaleną Cielecką w tytułowej roli, zapowiadające modę na brutalistów „Niezidentyfikowane szczątki ludzkie i prawdziwa natura miłości” Brada Frasera z Teatru Dramatycznego, a przede wszystkim wystawiony w Rozmaitościach w 1999 r. „Magnetyzm serca” według „Ślubów panieńskich” Aleksandra Fredry przyciągały energią, wyobraźnią i poczuciem obcowania z nowym. Nawet jeśli z perspektywy czasu wydają się już zapowiadać efekciarski rys, silnie obecny w twórczości Jarzyny. To ostatnie przedstawienie miało temperaturę koncertu rockowego, z wirującymi aktorami, epokami i konwencjami.

POLITYKA przyznała w tym czasie reżyserowi Paszport „za odwagę i inwencję w poszukiwaniu nowych środków wyrazu w teatrze, za błyskotliwe przedstawienia, z których każde staje się głośnym wydarzeniem artystycznym”. Ale spektakle Jarzyny były na przełomie wieków fenomenami tyleż artystycznymi, co społecznymi. Rozmaitości, z charyzmatycznym zespołem aktorskim na pokładzie, chciały być czymś więcej niż teatrem, chciały być miejscem cool, w którym rozmowa na ważne tematy łączy się z atmosferą jak w klubach, gdzie w tamtym czasie bawiła się młoda „warszawka”.

Moment wyczerpania

Tworzący Teatr Rozmaitości Jarzyna i Warlikowski stali się czołowymi przedstawicielami pokolenia reżyserów ochrzczonych mianem „ojcobójców”, od impetu, z jakim weszli na sceny i z marszu objęli rząd dusz. Z czasem w tej grupie pojawili ▶

► się „specjalizacje”: Anna Augustynowicz miała swoją wrażliwość i precyzję w czytaniu wystawianych tekstów, Piotr Cieplak – wyrażaną nowoczesnymi środkami duchowość chrześcijańską, Krzysztof Warlikowski – temat Innego, mniejszości seksualnych i historii polsko-żydowskiej. Zaś Grzegorz Jarzyna, urodzony w 1968 r. w Chorzowie, stał się przedstawicielem swojej generacji i kronikarzem jej życia duchowego. Na dobre i – jak się miało okazać – na złe. Od ekscytacji lat 90., gdy młodzi przybywali nabuzowani na podbój stolicy, zaczęli kariery w globalnych korporacjach, awansowali, podróżowali po świecie, pojawiały się wielkie pieniądze, władza i wielkie pokusy. Po późniejsze rozczarowanie, wypalenie, poczucie niespełnienia, ale też bezradność wobec upływającego czasu i zmian społecznych.

Jarzyna mniej interesowała się zbiorowością, skupiał się na jednostce. Kiedy w grudniu 2001 r. Krzysztof Warlikowski wystawił „Oczyszczonych” Sarah Kane – przełomowy spektakl, opowiadany drastycznymi obrazami, wielogłosowy poemat o miłości, także homoseksualnej, z pamiętną rolą Stanisławy Celińskiej w peniarze jako tancerki w peep show – Jarzyna trzy miesiące później sięgnął po inny tekst Brytyjki: „4.48 Psychosis”. Postawił na miłosny monolog samobójczyni, studium depresji i samotności, z wybitną rolą Cieleckiej i pozostającą w pamięci projekcją na ścianie płynących kolumn cyfr, rodem z „Matrixa”.

Wielką zasługą Jarzyny jest odkrycie dla teatru Doroty Maślowskiej. Autorka „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną” swój pierwszy dramat – od razu świetny – „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku” napisała w 2006 r. na zamówienie TR Warszawa (nazwę Teatr Rozmaitości zmieniono w 2003 r.). Podobnie jak drugi, czyli genialne „Między nami dobrze jest” z 2008 r. Wystawione przez Jarzynę rok później było porywającym tragikomicznym studium alienacji i samotności. I wpisywało się tematycznie w ciąg przedstawień reżysera, ze zrealizowanym w 2006 r. „Giovannim” według Mozarta i Moliera, z Andrzejem Chyrą w roli znudzonego uwodziciela, i wystawionym w 2011 r. „Nosferatu”, z wiedeńskim aktorem Wolfgangiem Michaeliem jako wampirem samobójcą, który był w istocie rozbuchaną wizualnie, snutą w mgłach i poświatach opowieścią o depresji. Jarzyna mówił potem w POLITYCE: „To jest smutny spektakl. Wychodził z poczucia kondycji: naszej, mojej, z obserwacji Warszawy. Że jest jakiś moment wyczerpania energii z lat 90.”

Energia z bunkra

Stopniowo wyczerpywała się też energia miejsca. TR Warszawa działa w bardzo specyficznym przestrzeni, w podziemiach kamienicy na Marszałkowskiej 8, mających strukturę i urok schronu, a może jeszcze bardziej bunkra. W pierwszych latach surowość wnętrza i podziemne usytuowanie działały na korzyść teatru, który miał ambicje przełamywać schematy, być blisko życia i podejmować kontrowersyjne tematy (na przełomie wieków zresztą stał się za to celem cenzorskich ataków prawniczych partii).

Gdy jednak teatr wszedł do mainstreamu, aktorzy dorobili się statusu gwiazd, a reżyserzy rywalizowali na coraz bardziej rozbuchane inscenizacje, ciasna scena i licząca 160 krzesel widownia stały się obciążeniem. A od strony ekonomicznej wręcz przekleństwem, bo przy tak małej widowni, nawet permanentnie wyprzedanej, każdy zagrany spektakl trzeba zapisać po stronie kosztów, nie przychodów.

Jarzyna i Warlikowski bardzo szybko zaczęli więc grać swoje spektakle poza siedzibą, w wynajmowanych, większych salach. Najdalej poszedł w tym Jarzyna, zapraszając widzów na pokaz swojego „2007: Macbeth”, monumentalnego, osadzonego

w realiach bazy wojskowej w Iraku, z hukiem śmigłowców i skrzeczeniem krótkofalówek, do pofabrycznej hali w nieczynnych zakładach Waryńskiego na warszawskiej Woli. Warlikowski w 2008 r. przeniósł się, z gwiazdorską częścią zespołu, do nowej, jasnej i przestronnej siedziby w dawnej bazie MPO na Mokotowie, gdzie stworzą Nowy Teatr.

W 2003 r., kiedy siedziba przy Marszałkowskiej miała przejść remont, w miasto ruszył cały teatr. Przedstawienia były grane w nieczynnym biurówcu, w klubie czy w barze azjatyckim na Dworcu Centralnym. Remont jednak nie doszedł do skutku, bo miastu nie udało się przejąć na własność kamienicy, do której pojawiły się roszczenia spadkobierców. Ta sprawa wróci dekadę później, gdy Jarzyna, domagając się zwiększonego finansowania dla teatru i gwarancji siedziby, przez rok nie podpisywał kontraktu dyrektorskiego. Ostatecznie miasto zwiększyło budżet teatru, dodatkowe środki obiecało Ministerstwo Kultury i pojawił się plan budowy nowej siedziby na pl. Defilad. Miała być gotowa w 2020 r.

Bezduzna korporacja

Ta zapowiedź wywołała kolejny kryzys. TR Warszawa, przygotowując się do przejścia na większą scenę i widownię, zaczął wynajmować halę w studiach ATM na obrzeżach Warszawy. Jak pokazał przeprowadzony w 2016 r. audyt, dyrektorzy znacznie przeszacowali entuzjazm teatromanów dla dalekich wycieczek, teatr wpadł w długi, przy okazji stwierdzono też szereg innych nieprawidłowości i ujawniono wysokość honorarium Jarzyny. Najdroższym spektaklem w tamtym czasie mieli być „Męczennicy” Mariusa von Mayenburga, dość często wtedy wystawiana sztuka o nastolatce terroryzującej szkołę swoją religijnością. Inszenizacja w TR Warszawa kosztowała prawie pół miliona złotych, z czego honorarium Jarzyny – 106 tys. (teatr utrzymywał, że suma została zawyżona o 20 proc.). A przecież Grzegorz Jarzyna pobierał w tym czasie także pensję dyrektorską.

Wszystko to mocno zachwiało pozycją reżysera w środowisku teatralnym, tym bardziej że od dawna nie jest też w najlepszej formie twórczej, kolejne spektakle – „G.E.N”, „Inni ludzie”, „2020: Burza” – próbowały podnosić ważne kwestie, ale nie były w stanie ich udźwignąć. Zaś ostatnie sukcesy TR Warszawa są zasługą zagranicznych gwiazd: Kornéla Mundruczó („Cząstki kobiety”) i Luka Percevala („3Siostry”).

Jarzyna pozostał na stanowisku szefa artystycznego teatru, ale obowiązki dyrektorki naczelnej, mającej uzdrowić finanse teatru, objęła Natalia Dzieduszycka. Dziś wiemy, że – jak w tym dowcipie – operacja się powiodła, tylko pacjent (prawie) zmarł.

Dzisiejsze aktorskie votum nieufności wobec dyrekcji to także przejaw momentu dziejowego. Podejmowane na fali szeroko pojętej akcji #MeToo rozliczenia z dziedzictwem lat 90. trwają na wielu polach (ostatnio najbardziej widoczne są w mediach). Beneficjenci tamtych przemian, przez lata będący uosobieniem sukcesu, dziś stają się twarzami patologii. Aktorzy nie zarzucają Jarzynie molestowania czy ciężkiego mobbingu, ale już manipulację tak, a przede wszystkim bierność wobec zwalniania kolejnych wartościowych, długoletnich pracowników i zamieniania domu pracy twórczej w bezduzną korporację.

Jego wiadomości do aktorów, z frazą „moje serce krwawi”, zostały przyjęte z mieszkanką smutku i ironii. „Jako zespół aktorski TR Warszawa, angażujemy się w poszukiwanie rozwiązań, dzięki którym możliwa będzie odbudowa zespołu, stworzenie satysfakcjonującego artystycznie programu i bezpiecznej, partnerskiej instytucji” – napisali w oświadczeniu.

ANETA KYZIOŁ

Mea pulpa



© LESZEK ZYCH

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Wydawało się, że puchar za najśmieszniejszy rozwód mają pewny Kasia Cichopek i Marcin Hakiel, a tutaj taki finisz. Maffashion i Sebastian Fabijański. On się publicznie tłumaczy, a ona się publicznie odcina. Jak w kinie porno. Fabuła marna, ale wszystko dokładnie widać.

Etiennette Wiśniewska idzie w ślady ojca – oznajmiają media. Ma nową fryzurę w kolorze fioletowym. Trudno. Przy takim potencjale prokreacyjnym Michała polski show-biznes nie ma szans na jakość.

Edyta Herbuś poprowadzi w TVP nową edycję programu „You Can Dance – Nowa generacja 2”. Edyta lubi na Instagramie zamieszczać koturnowe refleksje oraz egzaltowane deklaracje. Właśnie się sama o nie potknęła.

Zoom TV ruszyła z programem śniadaniowym pt. „Poranny rogal”. Prowadzą go m.in. Jacek Kawalec z Krzysztofem Skibą, Sławomir z żoną, Kasia Zielińska z siostrą oraz Kasia Pakosińska z mężem. Ja obejrzałem z trudem.

Jaś Kapela wyrównał bilans swoich walk na Prime Show MMA 2. Tym razem publicysta przegrał z poetą i piosenkarzem Konradem Skolimowskim. Jaś przed walką przebrał się za księdza, co już w 2. rundzie ułatwiło mu kontakt z Jezusem.

Patryk Vega nakręcił autobiografię pt. „Niewidzialna wojna”. Nareszcie. Po przyjrzeniu się wszystkim możliwym patologiom w naszej ojczyźnie, a następnie po zekranizowaniu ich i zmontowaniu w dwa tygodnie, Patryk postanowił wziąć na celownik ostatnią.

Tomasz Lis nareszcie sprzedał swoją wилę w Konstancinie. Podobno 504 m kw. za 5 mln euro. Siedem pokoi, basen i garaż. Ze zdjęć budynku ewidentnie wynika, że ktoś mobbingował architekta.

Radek Majdan wrzucił do sieci zdjęcie ze swoim synkiem. Uwagę oglądających przykuły jego nie do końca białe skarpety. Napisali o tym wszyscy. Gdyby głupota redaktorów serwisów plotkarskich mogła

latać, mielibyśmy najlepszy system antyrakietowy na świecie.

Trwają prace nad ustaleniem, czy Sebastian Fabijański szantażował Rafalalę, czy Rafalala szantażowała Sebastiana. A pomyśleć, że jeszcze sto lat temu celebrytą był Ignacy Paderewski. Gdzie popełniliśmy błąd?

Warto było być lizusem. Aleksander Sikora, konferansjer tysiąclecia, poprowadzi w miejsce Marka Sierockiego program „Szansa na sukces”. Widziałem Sikorę parę razy na antenie. Tamtych szans nie wykorzystał.

Andrzej Duda radzi, aby zacisnąć zęby i być optymistą. Mateusz Morawiecki radzi, aby ocieplić domy, jeszcze kiedy jest ciepło. Przemysław Czarnek radzi,

że można uniknąć drożyzny, jedząc mniej i taniej. Albo u kogoś. Jeśli słyszysz dziwne głosy w głowie, radzę ci jedno. Nie powtarzaj tego głośno.

Na Festiwalu Życia w Kokotku restaurator Modest Amaro wyznał, że zamknął restauracje w Zakopanem i Warszawie, sprzedał dom i teraz będzie żył stylem Maryi. Trzymam kciuki, chociaż w tej sytuacji to ciężko będzie załatwić mel-dunek u cieśli.

Kiedy wydawało się, że wiemy już wszystko i że Sebastian Fabijański zdradzał Maffashion w trudny do płciowego określenia sposób, okazało się, że to ona zdradzała go pierwsza w sposób jak najbardziej klasyczny. Pamiętajcie związek Marilyn Monroe i Arthura Millera? Tutaj mamy dwie Marilyn Monroe.



© SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Polsat pokaże nowy program „Doda. 12 kroków do miłości”, w którym piosenkarka **Dorota Doda Rabczewska** będzie szukać męża. Jest dużo prawdy w tym powiedzeniu, że jak mężczyzna jest nieszczęśliwy, to szuka żony. A jak jest szczęśliwy, to go żona szuka.



Iluzja bezpieczeństwa

Covid raczej nie odszedł, ale za to wróciło coś, co mogło nie wrócić już nigdy, czyli koncerty. Słuchanie muzyki jest dla mnie jedną z najważniejszych czynności w życiu, dlatego bardzo cieszę się na to, że jednak mogę znowu stać w zbitych, gęstych tłumach, nie widząc prawie nic i słysząc niewiele, cieszyć się z obecności ulubionego zespołu lub artysty. Ta radość jest tak naprawdę iluzoryczną radością z działającego na powrót społeczeństwa. W końcu skoro możemy stać ściśnięci na małej przestrzeni, to znaczy, że wszystko jednak jakoś tam jest w porządku, prawda? Pandemia wchodzi w trzeci rok, dzień jazdy autem od nas ma miejsce największy konflikt zbrojny dzisiejszego świata, dolar jest prawie trzy razy droższy niż dwanaście lat temu, złotówka jest warta tyle co nic, planeta się przegrzewa, ale nie jest tak źle, wciąż możemy być razem na większym lub mniejszym gigu i nie dawać się stratować, próbując przy okazji nagrywać oddaloną o kilometr scenę na telefon. Nie, moje uwagi nie są cyniczne. To po prostu stwierdzenie faktu. Mamy coś jeszcze poza umartwianiem się i czekaniem na zupełny krach wszystkiego dookoła.

Chcąc nawdychać się tego wiatru nadziei, nakupiłem sobie biletów na koncerty i zacząłem na nie chodzić, z różnym skutkiem. Jednym z koncertów był spóźniony o dwa lata z powodów covidowych występ Guns N' Roses. Weterani amerykańskiego hard rocka zaszczylicili swoją obecnością największą polską salę koncertową, czyli Stadion Narodowy. Powód, dla którego tam poszedłem, jest dosyć prosty – Guns byli moim ukochanym zespołem w wieku lat mniej więcej dziesięciu, gdy na satelicie fruwał teledysk do piosenki „You Could Be Mine” z fragmentami filmu „Terminator 2”. Moim wielkim idolem był wówczas Arnold Schwarzenegger, ale szybko stał się nim również Axl Rose. Muzyka rockowa zadziałała wtedy na mój dziesięcioletni mózg jak porażenie prądem. Guns N' Roses, tak jak Nirvana i Metallica, sprawiali, że zaczynałem za każdym razem kompulsywnie biegać po mieszkaniu. Być może kontakt z tą muzyką sprawił, że wyrosłem na człowieka trudnego, nie lubiącego władzy i kompromisów. Ta dziecięca miłość mogła wynikać też z tego, że jednak łatwiej w tym wieku było mi upodobnić się do Rose'a – pomazanie sobie ręk długopisem w „podobne” do Rose'owych tatuaże było prostsze niż wypracowanie mięśni podobnych do tych, które miał Schwarzenegger.

To supersprawa, spełniać swoje dziecięce marzenia polecam każdemu. Guns N' Roses zaczęli punktualnie, ku mojemu zdziwieniu, bo pierwsze takty „Welcome to the Jungle” usłyszałem jeszcze w uberze stojącym w korku pod stadionem. Piosenkę słycać było dość wyraźnie, ale wciąż nie mogłem jej przegapić – wybiegłem z auta i rozpocząłem straceńczy bieg dookoła stadionu. Po dwóch okrążeniach byłem cały mokry, pięć kilo lżejszy, znalazłem w końcu odpowiednie dla mojego biletu wejście. Utwór wciąż trwał, gdy bliski zawalu serca wmieszałem się w tłum. Sprawdziłem setlistę w internecie, spóźniłem się o cztery piosenki. Oczywiście zacząłem od razu płuć

sobie w brodę, jednak niepotrzebnie. Guns N' Roses dopiero się rozkręcili.

Należy tutaj wspomnieć, że Guns

si po wieloletnich perturbacjach wrócili w końcu do zbliżonego do oryginalnego składu. Na łono formacji powrócili oryginalny gitarzysta Slash, znany z fenomenalnych solówek i czarnego cylindra, oraz basista Duff McKagan, którego prężna sylwetka jest obecnie chodzącą reklamą trzeźwości (w swojej autobiografii „It's so Easy” McKagan wyznaje, że przed trzydziestymi urodzinami z powodu nadkonsumpcji alkoholu pękła mu trzustka). Obecnie jednak panowie wszyscy są dość grzeczni, nawet Axl Rose, który obecnie wyglądem przypomina nie rockowego półboga, a panią woźną w szkole połączoną z parodystą Elvisa. Koncert był z utworu na utwór coraz lepszy, chociaż akustyka Stadionu Narodowego jest mniej więcej na poziomie modlińskiego pikniku lotniczego. Znam dobrze dorobek Guns N' Roses, ale paru wykonywanych na koncercie utworów nie kojarzyłem. Znowu, musiałem zajrzeć do setlisty, aby zrozumieć, że jednak je znam, tylko szczegóły kompozycji rozpuściły się w akustyce tej założonej na Warszawę betonowej czapki, którą jest nasz najpiękniejszy stadion.

Koncert trwał prawie cztery godziny. Biorąc pod uwagę, że średnia wieku w zespole to pięćdziesiąt parę lat, koncert stał się wydarzeniem jeszcze bardziej pokrzepiającym i budującym. Po trzech godzinach niektórzy już wąpili i wracali do domu, ja twardo stałem do końca, pochłonięty widowiskiem i wspomnieniami. Stadion Narodowy zamienił się w ogromną magdalenkę. Nawet Axl Rose wydał się jakiś taki trochę młodszy. Życie robiło się gładkie, pozbawione trosk i kantów, wygładzone.

Ten czar trwał nawet wtedy, gdy okazało się, że podróż do domu w kilkudziesięciotysięcznym, wylewającym się ze stadionu PGE tłumie może zająć najpierw dwie godziny, a stacja metra przeżywa obłędnie mniej więcej takie jak w horrorach o zombie George'a Romero.

Tak, o tym są koncerty. O iluzji wspólnoty i bezpieczeństwa. Oczywiście jest to tylko iluzja. Parę tygodni później widzowie Open'era (na którego nie pojechałem, nie byłem aż tak rozmiłowany w tłumie i rozgrzany koncertowo) przeżyli koszmara, gdy w główny wieczer festiwalu zarządono ewakuację z powodu gwałtownej burzy i tornada. Nie wystąpiły dwie największe gwiazdy imprezy, Dua Lipa i Megan Thee Stallion, a zdezorientowani ludzie próbowali przeczekać katastrofę na pobliskich parkingach i polu namiotowym. Koncerty wróciły, ale kruche, niepewne, na glinianych nogach, i już nawet one nie są w stanie zapewnić nam tego poczucia, że może jednak nie jest tak źle, że wszystko jest w porządku, chociaż na chwilę.

JAKUB ŻULCZYK

Jakub Żulczyk (ur. 1983 r.) – pisarz i scenarzysta, autor m.in. „Wzgórza Psów” i „Informacji Zwrotnej”. Współautor seriali „Belfer”, „Ślepnąc od światła” i „Warszawianka”. Z Juliuszem Strachotą prowadzi podcast „Co pać po odwyku”.



Marudne wakacje

W tym roku wypoczywamy na kocu utkanym z poczucia winy i czarnowidztwa obrębionym szlaczkiem z wyhaftowanymi literkami układającymi się w „ja, ja, ja”. Wakacyjnym leitmotiwem mediów społecznościowych jest zdjęcie z rajskiej destinacji, a pod nim mrok. Bo jak tu cieszyć się wyjazdem, skoro trwa wojna w Ukrainie, ceny skoczyły, a imię „Władimir” myli się freudowsko z „Adolf”.

Przeglądamy media społecznościowe. Ktoś wrzuca palmy lub Palermo, a pod spodem bije się w piersi, że tam pojechał. Zapewnia, że mocząc nogi w Adriatyku, myślamy jest wciąż za naszą wschodnią granicą, śledzi wzrost cen paliw, nawet gdy siedzi w samolocie. Pijąc prosecco w malowniczej kafejce na jednej z europejskich starówek, obowiązkowo czyta wszystko to, co klasycy i klasyczki napisali o banalności zła. Dzięki temu dostajemy garść przestróg, że będzie gorzej, mroczniejszej, biedniejszej. Być może nie da się tak często latać, wypoczywać czy – o zgrozo! – brodzić w falach ciepłych mórz. Niby wakacje, a w głowie znój.

Jeśli to ma pomóc utrzymać popularność u inteligentnych, ale słabiej zarabiających fanów, to wątpimy, czy ta strategia zadziała. Kogoś, kto kisi się przez całe lato w M-2 z mężem i teściem, post z palmami raczej rozjuszy. Natomiast ci, którym wyjechać się udało i próbują teraz odpocząć, wkurzą się jeszcze bardziej. Bo zbierali cały rok na wczasy i teraz chcą z nich skorzystać, a nie brać sobie na kark dodatkowo cudze poczucie winy, skoro ich własne i tak dymi w tle. Tymi kilkoma dniami na plaży usiłują je trochę przytłumić, w czym przeszkadzają znakomitości gładzące, że mają super, choć tak naprawdę są zmaltretowane psychicznie. „Putin nie będzie nam psuć all inclusive”, zdają się mówić i trudno się z nimi nie zgodzić – tylko czemu wmawiają wszystkim, że cierpią?

Inny wpis z serii „co robię w lipcu”: wieczór poetycki w ukraińskim schronie, na festiwalu Schulza w Drohobyczu. Surowe cegły przystrojone artystycznym zdjęciem, przy prowizorycznym stole nakrytym obrusem siedzi Marcin Sendecki i czyta wiersze. Nad nim stoi Jacek Podsiadło i oświetla mu kartki latarką. Dwóch wspaniałych polskich poetów w czasie ostatecznym. Oto odpowiedź, po co człowiekowi literatura – żeby wykrawać nią normalność w okrucieństwie. Żeby starać się zrozumieć lub w niezrozumieniu być przynajmniej razem. Monika Sznajderman, jadąc na ten festiwal, sfotografowała zwierzęta na polu. Ot, wiejska sielanka, chmury, zielona trawa. „Krowy pod wielkim ukraińskim niebem. Aż trudno uwierzyć w tę straszną wojnę”. Codziennosc toczy się, niezależnie od tego, co wokół. Podobny kadr uchwycono w czasie powstania warszawskiego – kobieta wypasa zwierzęta, a gdzieś daleko, na horyzoncie, płonie miasto. Łatwo porównać to do „Campo di Fiori” Miłosza, ale to nie jest przecież opowieść o bezduszności w obliczu zagłady. To historia bitwy o życie.

Oczywiście w tym wszystkim są i sytuacje kuriozalne. Powtarza się bowiem scenariusz z pierwszych miesięcy

pandemii. Ci, których na to stać, wyjeżdżają przecześcić trudne czasy w letniej posiadłości. Pewna francuska pisarka naraziła się srogo czytelnikom, nadając ze swej rezydencji westchnienia o katastroficznym zabarwieniu, gęsto podlane nostalgiją. Wyśmiano ją, wytykając, że jak się ma taki metraż i taki widok za oknem, to siedzi się cicho i nie macha fotkami przed nosem tym, którzy tkwią całą rodziną w dwóch pokojach, bo działa to na nich jak czerwona płachta na byka. Podobnie teraz – znakomitości tkwią w szpagacie, pomiędzy tym, że im dobrze, czym bardzo chcą się pochwalić, a lękiem, że jak posiadzą cicho, to stracą fanów.

Dobra wiadomość jest taka, że wakacje to czas, kiedy można się trochę schować i po prostu wypocząć, fani wybaczą. Warto też iść za przykładem bogaczy z Francji – ale nie tych świeżo wzbogaconych, tylko tzw. starych pieniędzy. Ci ostatni, mając więcej niż dobre warunki życia, w takich razach jak pandemia czy wojna nie zawracają głowy ludziom, którzy żyją od pensji do pensji. Sprawdza się też dobrze rada pewnej psycholożki, autorki książek o życiu. „Buck up!”, czyli weź się w garść, wypocznij, nie marudź i daj odetchnąć innym. To bezcenna wskazówka Beverly Hofstadter, matki fizyka Leonarda Hofstadtera, której udzieliła synowi w serialu „Teoria Wielkiego Wybuchu”.

Bo do czego nam ten odpoczynek? Do naładowania baterii, do resetu, do bez troski. Kilka lat temu krążyły ironiczne obrazki, w których potępiano wszystko, co nie było „walką dla sprawy” – nowy film, imprezę, występ w telewizji – bo przecież „konstytucja płonie”. Absurdalne i trochę śmieszne było to ganień i nawoływanie z marsową miną, że nie możesz się zająć czymś, co przynosi ulgę, bo jest to niestosowne w obliczu upadku demokracji. Na samej serioznosci daleko się nie ujedzie, nawet płonąc oburzeniem, i to najświętszym.

W pewnym sensie to słuszny ruch – uświadomienie sobie własnego przywileju. Skoro przeglądam oferty tanich linii lotniczych, a nie siedzę w schronie, to być może zaczynam pojmować istotę nierówności losowych i społecznych. Natomiast trącając fałszem pograżanie się w poczuciu winy nikomu nie pomoże. Za to energia, którą zyskamy dzięki wypoczynkowi, może się potem przydać w konkretnym działaniu.

Jadąc na wakacje, zapakujmy kostium albo koszyk do zbierania grzybów, kredki lub szorty, w których będziemy chodzić (nie zważając na cellulitis). Weźmy książki, a jeśli trzeba, to i poradniki, jak przestać się martwić, choć na chwilę. Zostawmy poczucie winy, czarne scenariusze, całe to bratanie-się-przez-narzekań. Bo z marudnych wakacji wrócimy wymęczeni, ciągnąc za sobą rzeszę zdołowanych followersów. Choć czarnowidztwo w Polsce bywa cenione, to jest zaraźliwe i w czasie urlopu nie ma sensu truć się w jego oparach. Nabierajmy sił, przydadzą się.

GRAŻYNA PLEBANEK, SYLWIA CHUTNIK

Brodaty i w sukience



Widać, że częścią kampanii wyborczej PiS stanie się wyszydzanie osób transpłciowych. Sygnał

do nagonki dał swoimi paskudnymi wypowiedziami sam Jarosław Kaczyński. Jego kpiny streścić można jednym słowem „fanaberia”. Płeć jest czymś obiektywnym i nie można jej sobie dowolnie przypisywać i zmieniać wedle własnych deklaracji bądź widzimisię – takim argumentem podstemplowane są szyderstwa. Niestety, również w środowiskach progresywnych sprawa wyważenia pomiędzy subiektywnymi i obiektywnymi warunkami tożsamości płciowej nie jest dostatecznie przemyślana. Jednakże ani kpina, ani święty oburzeniem tego nie załatwimy. Potrzebny jest poważny namysł i poważne traktowanie praw mężczyzn i kobiet nie tylko do deklarowania własnej płci, lecz również do wydawania sądów na temat płci innych osób. Przemysłenie tego i znalezienie społecznego kompromisu jest żywotnym interesem osób transpłciowych. Gdyby taki konsens w Polsce istniał, Kaczyński niczego by swoimi dowcipasami nie mógł ugrać.

Owszem, płeć to nie tylko kwestia deklaracji, lecz i faktów. Takim faktem może być trwały stan psychiczny – poczucie bycia kobietą czy mężczyzną. Jednakże gdy ktoś tylko ogłasza, że takie poczucie ma i nie robi nic więcej, aby to uwiarygodnić, nie mamy obowiązku z miejsca tej osobie wierzyć. Prawo do niedowierzania należy do najbardziej podstawowych praw człowieka, bo wynika wprost z wolności. Nie można zmuszać nikogo, aby w sytuacji silnego dysonansu poznawczego, widząc osobę z biustem i bez zarostu, natychmiast uznał, że widzi mężczyznę. Każdemu wolno mówić, że widzi to, co widzi, a jeśli sprawy mają się inaczej, niż to się na pozór wydaje, trzeba go (ją) przekonać, wyjaśniając, co i jak.

Każda osoba „trans” ma prawo do publicznego uznania jej deklarowanej płci, lecz inni mają prawo zachować przez jakiś czas pewien sceptycyzm i nie wierzyć na słowo, że poczucie, jakie ma osoba deklarująca inną, niż się wydaje, płeć, jest silne i trwałe. Właśnie temu upewnieniu się służą prawne procedury tranzycji, które bynajmniej nie ograniczają się do skwitowania przez sąd zwykłego oświadczenia woli. Trzeba poczynić pewien wysiłek, aby przekonać otoczenie, że nowo zadeklarowana płeć to fakt, a nie kaprys. Tego wymaga szacunek dla innych, dla ich odczuć i poznawczej integralności, a także szacunek dla innych osób „trans”, które w większości nie chciałyby czysto subiektywnego, a więc lekkiego traktowania tożsamości płciowej.

Gdybym ja włożył sukienkę i powiedział, że teraz jestem Jasią, uznano by, że sobie kpię. Gdybym jednak nawet i sukienki nie włożył, lecz z brodą i w garniturze zażądał od kolegów i przełożonych, aby mówili mi pani Janino, uznano by to za niedorzeczne. Jednakże gdybym zaczął stopniowo inaczej się ubierać i poinformował otoczenie, że nie jestem tym, za kogo mnie brali,

to zapewne w ciągu kilku miesięcy uzyskałbym społeczną akceptację. Licząc się z innymi, dając im czas na przywyknięcie, a przede wszystkim pokazując, że czynię pewien wy-

silek, aby wejść w świat kobiet, sam zyskałbym szacunek. Zmiana tożsamości to też proces społeczny, w którym łączą się czynniki subiektywne (poczucie, deklaracje) i obiektywne (pewne cechy bądź fakty determinujące przynależność do danej grupy). Czasami daje się te czynniki ze sobą zespolić, a czasem nie. Jeśli osoba o alabastrowej skórze, identyfikując się z kulturą czarnej Afryki, ogłosi, że jest czarnoskóra, to nic z tego nie będzie. Po prostu na razie nie uznajemy czegoś takiego jak „psychiczna czarnoskorość”, choć w przyszłości może się to zmienić. Za to gdy ktoś bez korzeni żydowskich będzie chciał zostać Żydem, to dzięki długotrwałemu zaangażowaniu w sprawy żydowskie albo judaizm może to osiągnąć.

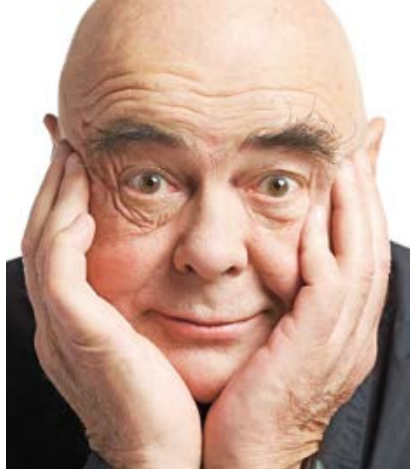
† W interesie osób „trans” jest bardzo poważne traktowanie kwestii tożsamości, a to wyklucza same odczucia.

‡ Tożsamość to poważna sprawa i nie ma jej ot tak, na zawołanie. Trzeba spełnić pewne warunki. Na szczęście mężczyźni i kobiety tworzą wspólnoty tak luźne, że te warunki nie są zbyt trudne. Współczesne kobiety najczęściej mogą się nawet pogodzić z tym, że kobietą będzie ktoś, kto ma męskie narządy. Lecz jeśli któraś nie będzie jednak w stanie tego zrobić, bo jej się to „w głowie nie mieści”, to cóż, tolerancja nakazuje uznać jej prawo do tego. To prawo jest tak samo ważne jak prawo osoby „trans” do uznania jej oświadczeń w kwestii własnej płci. Tak to już jest w życiu, że nasze prawa czasami kolidują ze sobą. Wtedy trzeba się trochę od siebie oddzielić albo poszukać kompromisu.

† Najgorsze, co może się przydarzyć osobom transpłciowym, to społeczna opinia, że są chimeryczne i rozszczeniowe, a gdy ktoś ma względem nich wątpliwości, to wręcz agresywnie. W interesie osób „trans” jest bardzo poważne traktowanie kwestii tożsamości, a to wyklucza redukcję jej tylko do odczuć. Czy ktoś, kto wygląda jak mężczyzna, lecz przed tygodniem kazał się zwracać do siebie jak do kobiety, rozmyśli się i zażąda dziś, abyśmy znów uznawali w nim mężczyznę, ma pełne prawo tak postąpić? Czy zmieniając deklarację o własnej płci, nie okazuje nam lekceważenia? A czy nie okazuje lekceważenia innym osobom transpłciowym, które długo dojrzewają do decyzji o zadeklarowaniu innej płci i czynią wysiłki, aby swoją tożsamość zmanifestować i potwierdzić, a nie tylko ogłosić?

Przecież tożsamość to nie to samo co odczucie albo swobodny akces. Nie ma sklepu z tożsamościami, a za to są wspólnoty, do których można się przyłączać na pewnych warunkach. Nawet gdy te wspólnoty są bardzo inkluzywne, to zazwyczaj jakieś warunki akcesji istnieją. Trzeba się cieszyć, że można dziś zmienić płeć w sensie społecznym i prawnym. Nie byłoby to w ogóle możliwe, gdyby zmiana płci była czymś całkowicie dowolnym, a przez to trywialnym.

JAN HARTMAN



Kraj Rad

No i zamknęło się koło historii. Znów mamy Kraj Rad. Jeden radzi zacisnąć zęby, drugi – ocieplić dom. Kupujcie taniej i jedzcie mniej, kolację najlepiej poprzedniego dnia – zaleca kolejny. Jeszcze inny podsuwa pomysł: odstawić samochód i przesiąść się na rower. Zimą jak znalazł. Ruch na świeżym powietrzu to zdrowie, a nawet Ministerstwo Zdrowia z Adamem Niedzielskim na czele. On też nam radzi. Bądźcie spokojni, monitorujemy nową falę koronawirusa. Na razie darmowe testy są zbyt cenne, cierpliwie czekajmy. Resort sugeruje, by każdy miał maseczkę w kieszeni, bo może będzie musiał do apteki albo do lekarza... Ale wszystko wskazuje, że nie będzie musiał. Dwuletnie kolejki do specjalistów, jak były, tak są, po cichu zamyka się programy bezpłatnych badań przesiewowych – choćby na raka piersi. Mogliby dbać o zdrowie ludzi, chuchać na nich i dmuchać, skoro zamierzają ich okradać przez następne cztery lata. A tu tylko sprzedawcy oscypków oraz byli handlarze bronią przestępują z nogi na nóżkę i czekają, aż zaczną zacierać rączki. A, jeszcze jedno. Napisałem „na świeżym powietrzu”, bo tak się dawno temu mówiło. Dziś to raczej ruch we mgłę palonych szmat i plastiku. O węglu nie wspominam – wiadomo, że go nie będzie. Jakoś nam te pokłady na 200 lat (jak zapewniał prezydent) szybko się rozpuściły w konkurencji z importem z Rosji. Że nie wspomnę o nieodpowiedzialnym traktowaniu przez rząd rozwoju energii odnawialnej w Polsce.

W naszym Kraju Rad ludzi splanawia się rzeką kłamstw i wirami szyderstwa. Oto siermiężny zarządca z Nowogrodzkiej na jednym ze spotkań PiS dostaje zapisane w dostarczonym przez organizatorów notesiku pytanie od 12-latki. Czy może mi pan wyjaśnić, jak to jest z tą inflacją? Zarządca stojący za mównicą odpowiada bez wahania: To będzie tylko taki mały epizodzik z twojego

dzieciństwa, o którym szybko zapomnisz. Skąd on to wie? Czy go to w ogóle interesuje, kim jest dziewczynka i jej rodzice? W jakich warunkach żyje? Jakie ma marzenia?

Trochę ludzkiego ciepła warto by włączyć w tę rozmowę, której zresztą nie było. Bo ten człowiek z nikim nie rozmawia. Jest tragicznym pępkiem swojego brzucha.

Kobieta z Sopotu spotkała na molo cyrkowego promcę inflacji Adama Glapińskiego, który wraz z żoną Katarzyną wdychał jod. Poskarżyła się, że ma trudności ze spłatą kredytu. Odpowiedź, jak sobie radzić, przyszła błyskawicznie: Ma pani cztery miesiące wakacji, a potem inflacja zacznie spadać. A w ogóle to zwycię pani wygranej w totolotka – dodała pani Katarzyna. Ale ja się pytam, jak dzisiaj prowadzić swój biznes – nie ustępowała kobieta. Najlepiej spytać o to Putina – z uśmiechem poradziła żona prezesa NBP. W tym momencie jod przestał się wydobywać z morza, a wszystkie mewy z krzykiem odleciały do Niemiec, bo nie mogły tego słuchać.

Apowinny. Nie wiedzą, że czasy przyjaźni z NRD dawno minęły i teraz mamy Arkadiusza Mularczyka z Instytutem Strat Wojennych? Symbolicznie, bo 1 września o brzasku, Niemcy usłyszą pukanie do drzwi. Kto tam? Polska. Poseł Mularczyk ze wstępny raportem na temat reparacji za drugą wojnę światową. Ustaliliśmy zaliczkę w wysokości „konserwatywnej i ostrożnej” – 850 mld dol. O! I to jest mocne postawienie sprawy, a nie jałmużna wrzucona przez UE w ramach KPO, czyli 58 mld euro. W dodatku za jakąś wymyśloną praworządność. Jeśli wy, Niemcy, się nie ugniecie, to przyjedzie do was sam Kaczyński, a wtedy usłyszycie: Koniec tego dobrego.

Własna lekkość bytu odbiera rozum przedstawicielom Polskiej Zjednoczonej Prawicy Rządzącej (PZPR).

STANISŁAW TYM

REKLAMA



POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki

POLITYKI

Lipcowe numery w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl



Kabaret elita



Jarosław Kaczyński obiecał Polakom stworzenie nowej elity, która zastąpi skompromitowaną elitę III RP. Małgorzata Jacyna-Witt, szefowa klubu

PiS w sejmiku województwa zachodniopomorskiego, ogłosiła właśnie w mediach społecznościowych, że jest członkiem tej elity, gdyż dobrze się jej powodzi, zamiast pospolitych sportów uprawia golfa i w przeciwieństwie do haratającej w gałę pseudoelity z PO nie ma żadnych kompleksów, z wyjątkiem kompleksu wyższości.

Coming out zachwyconej sobą radnej wstrząsnął opinią publiczną. Pojawiło się pytanie, co z tworzeniem nowej elity poszło nie tak, skoro jej członkiem jest ktoś taki jak Jacyna-Witt?

– To, co ta pani mówi, to dno i żenada, ale początki zawsze są trudne – uspokaja kierownik rządowej grupy badawczej powołanej do opracowania podstawowych założeń i celów nowej polskiej elity. – Nie jest tajemnicą, że materiał, który mamy do dyspozycji, nie jest niestety najwyższej jakości i nie wytrzymuje obciążeń. To ludzie wierni, ale prości, często bardzo skromnie wykształceni. Gdy nagle dowiadują się, że będą rządzili najważniejszymi instytucjami państwa, bywa, że ujawniają się u nich zachowania niepożądane.

– Jakże?

– Przemoc domowa, znęcanie się nad współmałżonkiem, pijackie awantury, przywłaszczanie mienia i ostra megalomania. A w przypadku nowej elity sędziowskiej z nadania ministra Ziobry także niebywa-

łe chamstwo i prostactwo połączone z mobbingiem i działalnością hejterską w internecie.

– Jak na tym tle wypada kariera Bartłomieja Misiewicza, który do polityki wszedł z przytupem, ale długo w niej nie wytrzymał?

– To raczej polityka nie wytrzymała, bo nie była na kogoś takiego przygotowana. Zresztą prezes PiS również. Misiewicz szokował, bo na niczym się nie znał, mimo to wydawał polecenia generałom, upokarzał oficerów i był szarą eminencją w MON.

Przygotował w ten sposób grunt dla takich przedstawicieli nowej elity, jak prezes Obajtek, sędzia Przyłębska, poseł Mejza czy wspomniana Jacyna-Witt, których arogancja, brak kompetencji i nowobogackie manieri nikogo już nie szokują. To już nie są prymitywni misiewiczze, ale osoby grające w golfa, kupujące zabytkowe pałace, posiadłości i – jak posłanka Gosiewska – przyzwyczajone do spożywania kawioru nawet podczas taniego urlopu pod namiotem. Oczywiście, jak ktoś nie lubi golfa i kawioru, trudno. Z tego, co wiem, pan Bąkiewicz i jego współpracownicy do golfa nie mają przekonania, wolą swojski bejsbol i podobno są w tym dobrzy. Taka elita też jest potrzebna, dlatego minister Gliški chętnie finansuje aktywność Bąkiewicza, musimy tylko przypilnować, żeby Bąkiewicz nie popełnił błędu radnej Jacyny-Witt i tym swoim bejsbolem za bardzo nie chwalił się w mediach.

SŁAWOMIR MIZERSKI

Max Skorwider



© MAX SKORWIDER

Max Skorwider



POLITYKA z podkastem historycznym

Już 20 lipca na: polityka.pl/podkasty pojawi się premierowy odcinek podkastu „POLITYKA o historii”. Gospodarzami rozmów będą Agnieszka Krzemińska, dziennikarka działu naukowego naszego tygodnika oraz portalu projektpulsar.pl, a także (od jesieni) dr hab. Marcin Zaremba, historyk i juror Nagród Historycznych POLITYKI. Punktem wyjścia będą „Pomocniki Historyczne”, ale pojawią się także rozmowy o ważnych książkach i debatach historycznych. Wraz z zaproszonymi gośćmi – głównie historykami archeologami, kulturoznawcami, historykami sztuki, lingwistami i innymi badaczami przeszłości – prowadzący będą podróżować po różnych epokach i miejscach na globie.

Zaczynamy od historii Chińczyków – pretekstem jest wznowienie „Pomocnika Historycznego POLITYKI” na ten właśnie temat (wydanie trafiło już do kiosków). Przewodnikiem jest dr hab. prof. SWPS Marcin Jacoby, sinolog, tłumacz, historyk sztuki, literaturoznawca, a także autor książek o Chinach i Korei. Ponieważ Chiny odgrywają coraz większą rolę na arenie międzynarodowej i w światowej gospodarce, uzupełnienie wiedzy na temat korzeni tej niezwyklej cywilizacji to nie tylko fascynująca opowieść z zupełnie innego świata, ale także sposób na zrozumienie ich fenomenu.



Wciąż rozwijanej ofercie podkastowej POLITYKI są także: „Temat tygodnia”, prowadzony przed redaktora naczelnego Polityki.pl Łukasza Lipińskiego, oraz rozmowy i recenzje naszych dziennikarzy kulturalnych („Kultura na weekend”, „Podkast Seryjny”).

Podkasty POLITYKI można znaleźć na naszej stronie internetowej polityka.pl/podkasty, ale także na Spotify.com, Apple Podcasts i Google Podcasts.



Kto skraca, ten błądzi

Mój list dotyczący wykładników płci w języku naturalnym, którego fragment opublikowano w numerze 29 POLITYKI, traktowałam jako uzupełniający głos w dyskusji, a nie jako krytykę poglądów pani prof. Jolanty Szpyry-Kozłowskiej. (...) Tymczasem w jej odpowiedzi została przedstawiona jako skrajna konserwatyстка i przypisano mi przekonania wręcz antifeministyczne, a ja chciałam tylko pokazać, że wykładniki rodzaju w języku polskim to problem skomplikowany, determinowany przez różne czynniki, a nie tylko przez płęć, o czym w dyskusjach często się zapomnia. Jednak ta główna część mojej wypowiedzi (...) została w druku pominięta. (...) Na podstawie opublikowanych fragmentów mojego listu ani nie można poznać mojego stanowiska (...), ani ocenić zasadności oceny mojej osoby jako językoznawcy.

PROF. BOŻENNA BOJAR

Od redakcji: Bardzo przepraszamy Panią Profesor oraz czytelników, że w wyniku błędu redakcyjnego w opublikowanym fragmencie listu zabrakło adnotacji, że jest to niepełna wersja nadesłanego tekstu, a także nie zaznaczono skrótów. Nie było naszą intencją przeinaczenie słów Pani Profesor.

Dominikowa była kobietą

Panie Chutnik i Plebanek w swoim felietonie „Przemieniony, niewyleczony” (POLITYKA 28) w zapale feministycznym popełniły błąd, pisząc, że w „Chłopach” Reymonta ojciec sprzedaje córkę bogatemu gospodarzowi. Tymczasem w „Chłopach” to matka (wdowa) Dominikowa oddaje w ręce starego Boryny swoją córkę Jagnę. A zatem to kobieta kobiecie zgotowała taki los.

J. TERESIŃSKI, BYDGOSZCZ

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że zastrzeżiliście Państwo ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (*Pierwszy Zastępca*),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (*wydania cyfrowe*)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (*asystent*),
tel. 22 451-60-39;

Mahwina Dzedzic (*redaktor działu Opinie*)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jedrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZYSTY

Mariusz Janicki (*kier.*),
Anna Dąbrowska, Marek Henzler,
Rafał Kalukin, Adam Krzemiński,
Paweł Reszka, Ewa Siedlecka,
Adam Szostkiewicz, Wiesław Władysław,
Jacek Żakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (*kier.*),
Martyna Bunda (*z-ca kier.*),
Ewa Wilk (*koment.*),
Joanna Cieśla, Juliusz Świeliuch,
Edyta Gietka, Marcin Kołodziejczyk,
Violetta Krasnowska, Wojciech Markiewicz,
Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Paweł Tamowski (*kier.*),
Joanna Solska (*z-ca kier.*),
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRAJACZNY

Witold Pawłowski (*kier.*),
Łukasz Wójcik (*z-ca kier.*),
Marek Ostrowski (*koment.*),
Artur Domosławski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winiecki
współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (*kier.*),
Aneta Kyzioł (*z-ca kier.*),
Jakub Demiańczuk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarcman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKTPULSAR.PL

Karol Jałochowski (*kier.*),
Katarzyna Czarnačka (*z-ca kier.*),
Marcin Rotkiewicz (*red. prow.*),
Edwin Bendyk (*koment.*),
Agnieszka Krzemińska,
Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORYCZNY

Marian Turski (*kier.*),
Tomasz Targanski

STALI FELIETONISCI

Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Daniel Passent, Stanisław Tym

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Zofia Leśniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (*kier.*),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (*dyr.*)
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (*sześć serwisu*),
Zbigniew Pendel (*z-ca*),
Aleksandra Żelazińska (*z-ca, media społecznościowe*), tel. 22 451-87-88

WYDANIA CYFROWE

Anna Dobrowolska (*red. prow.*)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (*kier.*)
DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (*kier.*)
KOREKTA Zofia Kozik (*kier.*)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89,
Jadwiga Kucharczyk (*dyr.*)
Halina Cibor (*gl. księgową*)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (*dyr.*), tel. 22 451-61-85
Anita Brzostowska (*z-ca dyr.*)

DYSTRYBUCJA

Marcin Paśnicki (*kier.*),
tel. 22 451-61-92

PROMOCJA

Dominika Nowak-Kajtowska,
tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT

Piotr Filipowicz (*kier.*)

BIURO REKLAMY

RECEPCJA tel. 22 451-61-36,
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (*dyr.*),
Julian Sobiech (*reklama cyfrowa*)

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU

POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.klep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszuk-Radzko,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-75-80,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGŻ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione. Przedruki: Maciej Domagala, tel. 22 451-61-25, e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK 

PBC 

PRINTED IN POLAND


www.izbaprasy.pl





W atomie najbardziej fascynujące jest to, czego nie można zobaczyć. To, czego nie widać,

JULIUSZ ĆWIELUCH

FOTOGRAFIE MAGA ĆWIELUCH

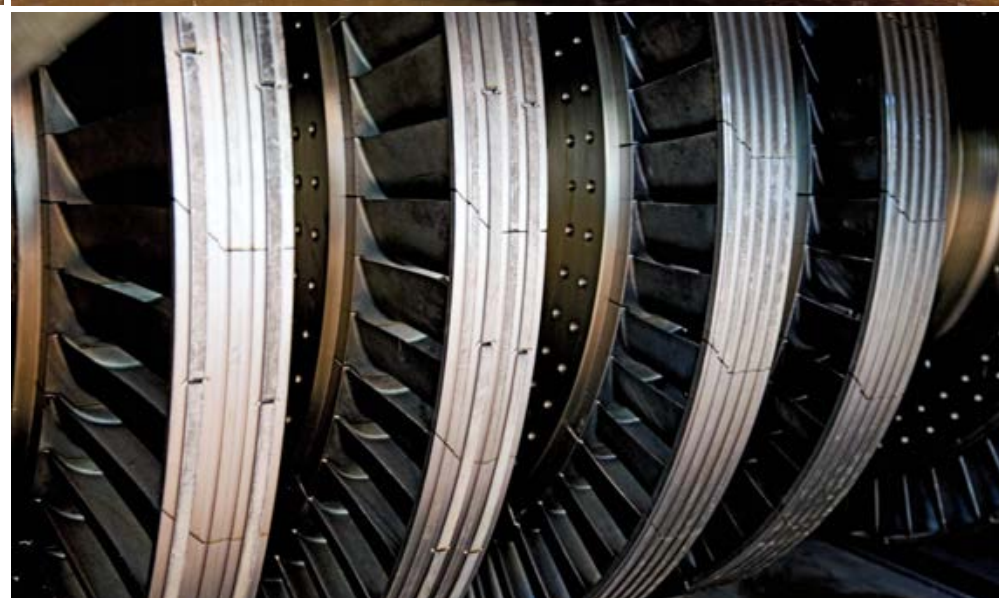
Czeski orgazm, polska

Jeśli w elektrowni jądrowej grozi ci jakaś śmierć, to chyba z nudów. W ciągu tych kilku godzin, które trzeba tam spędzić, jak bumerang wracają wszystkie nieodrobione prace domowe z fizyki, ziewanie na matmie i miganie się od odpowiedzi na chemii. Jeśli byłeś dobry przynajmniej z wufu, to masz szczęście, bo taka elektrownia to jednak kawał placu. Budynki trzeba stawiać z odpowiednim dystansem, żeby w razie awarii minimalizować ryzyko. Chociaż stop. W czasie oprowadzania po elektrowni nie usłyszysz słowa awaria. Co najwyżej – zdarzenie specjalne.

Jednak im bardziej będą bolały nogi, tym bardziej poczujesz, jak fascynujące staje się to miejsce.

Bliźnięta, ale nie jednojajowe

Czeski Temelin i polski Żarnowiec to industrialne bliźnięta. Podobna technologia – reaktory wodno-ciśnieniowe typu WWER (radzieckie, ale nowszej generacji niż RBMK używane w Czarnobylu). Ten sam czas realizacji i te same realia geopolityczne. Bliźniacze założenia – po cztery reaktory w każdej z elektrowni. I podobne perturbacje, zwłaszcza po katastrofie w Czarnobylu i upadku demoludów. ►



wzbudza też najczęściej lęków.

impotencja

U góry: **chłodnie kominowe** czeskiej elektrowni jądrowej Temelin. W środku jest jak w saunie parowej.

Obok: **elementy wyposażenia** ważą do kilkuset ton.



Kontenery ze użytym paliwem jądrowym w hali składowania odpadów radioaktywnych.

► I tu podobieństwa się kończą. Polacy gotową w niemal 40 proc. Elektrownię Jądrową w Żarnowcu przemianowali na Elektrownię Jądrową Żarnowiec w Budowie w Likwidacji. Ciężko coś budować i likwidować jednocześnie. Wygrało likwidowanie. I to tak skuteczne, że nieistniejącą już Elektrownię Jądrową w Żarnowcu najlepiej zwiedzać wirtualnie. Dobrym przewodnikiem po tym projekcie jest jeden z rozdziałów w książce „Atom dla klimatu” Urszuli Kuczyńskiej. Kuczyńska sama posiłkuje się przewodnikami. W tym rozdziale oprowadza ją inż. Władysław Kiełbasa, jeden z budowniczych elektrowni Żarnowiec. A później pewnie dwóch kolejnych, bo władze PRL miały ambitny plan postawienia trzech elektrowni: EJ Żarnowiec, EJ Warta w Klempiczu koło Wronek i EJ Kujawy w niesprecyzowanym do 1989 r. miejscu. W sumie osiem reaktorów, bo – jak pisze Kuczyńska – komuniści widzieli, że po 2000 r. „rozwój energetyki jądrowej w Polsce będzie konieczny ze względu na kurczące się zasoby krajowego węgla i ograniczenia środowiskowe, w tym klimatyczne”. O tym, że bez atomu Polska nie zepnie ekonomii i ochrony środowiska, komuniści mówili opozycji też w czasie prac w podstolikach w trakcie obrad Okrągłego Stołu. Okazało się, że nowi nie słuchali.

Z danych, do których dotarła Kuczyńska, wynika, że „nakłady nieuniknione do poniesienia nawet w wypadku zarzucenia budowy oszacowano na 35 proc. budżetu zaplanowanego dla całej EJ Żarnowiec, czyli około 440 mln dol. Podczas gdy w tych samych dokumentach nakłady konieczne do dokończenia dwóch żarnowieckich reaktorów obliczono na 300 mln dol. i 400 mln rubli” (dwóch reaktorów, bo projekt był już po cięciach).

Nawet to nie uratowało Żarnowca. Do tych kwot doliczyć trzeba jeszcze 770 mln dol., które już wydano, m.in. na gotowe elementy reaktorów, nieściągnięte nawet do Polski. W sumie grubo ponad miliard dolarów dosłownie wywalony w błoto.

Kiedy Polacy dorzynali swoją energetykę atomową, Czesi szli pod prąd. W czasach transformacji, kiedy i im na wszystko brakowało pieniędzy, obiekt stał zakonserwowany. W 1993 r. premier Vaclav Klaus pociągnął budowę i naród hasłem „Czesi dumni ze swojego atomu”. Ludzie mu uwierzyli, bo Klaus grał na dumie narodowej, ale i rozsądku. Obiecywał też czyste powietrze. Zwłaszcza tym z północy kraju, którzy dusili się od wycieków z przestarzałych elektrowni węglowych. Trzeba przyznać, że Czesi dali rządzącym spory kredyt zaufania. Kosztorys z planowanych w 1981 r. 35 mld koron rozdęty został do 70 mld i ciągle puchł. Ostatecznie został przekroczony trzykrotnie.

Klaus, który pod koniec lat 90. nie był już premierem, ale przewodniczącym niższej izby parlamentu, do końca walczył o swoje atomowe dziedzictwo. Złośliwi mówili, że motywowała go przede wszystkim żona Livia, która zasiadała w radzie nadzorczej spółki, która budowała elektrownię. Ale Klaus się nie zrażał. – To jest cudo, to jest cudo techniki – piał z zachwytu nad ciągle nieoddaną do użytku elektrownią. W lipcu 2000 r. pierwszy reaktor w Temelinie wypełniony został paliwem jądrowym. Rozruchowi elektrowni towarzyszyły media z każdej półki. Również tej nieco niższej. Przepytywany przez bulwarowych dziennikarzy inżynier wyznał, że koledzy niemal się przepychają, żeby trafić na ten dzień, kiedy uruchomiona zostanie reakcja łańcuchowa i elektrownia zacznie produkować prąd. „Bo to jest jak



Urządzenia temelińskiej elektrowni są stale monitorowane.

pierwszy seks – zwierzał się żurnalistom – to prawdziwy atomowy orgazm”. Ostatecznie do atomowego orgazmu w Temelinie doszło na trzy dni przed Bożym Narodzeniem 2000 r.

Katastrofa, ale tylko modelowa

Wyjazd do Temelina to taka wyprawa zastępcza. Skoro nie ma Żarnowca, to zobaczymy, jaki mógłby być. Zdaje się, że byłby brzydki. Budowniczcy elektrowni jądrowych jakoś niespecjalnie przykładają wagę do ich wyglądu. Tylko Niemcy, którzy właśnie dorzynają swoje trzy ostatnie działające elektrownie, próbowali tchnąć w nie jakiś pierwiastek harmonii. Bloki reaktorów zwieńczali zgrabnymi kopułkami. A całość w ramach możliwości obsadzali lasami, żeby atomówki nie kłuły w oczy.

Czeski Temelin stoi w szczerym polu. Nad okolicą dominuje czterema wielkimi chłodniami kominowymi. A budynki reaktorów wyglądają jak silosy na zboże, co akurat komponuje się z rolniczą okolicą. Najbliższym sąsiadem elektrowni jest cmentarz – pozostałość po wiosce, którą poświęcono pod budowę elektrowni. Z Niemiec Czesi skopiowali systemy zabezpieczające bezawaryjną pracę reaktora radzieckiej konstrukcji. I punktualność. Nawet jeśli przyjechało się wcześniej, to trudno.

Z nudów pozostaje odwiedzić Wysoký Hrádek (Wysoki Zamek), który nie jest ani wysoki, ani nie wygląda jak zamek, co najwyżej pałacyk. Ale ma tę zaletę, że został przerobiony na Centrum Informacyjne EJ Temelin. Większość zwiedzających elektrownię zaczyna od tego miejsca, żeby w ogóle zrozumieć, co będą oglądać, a czego nie i dlaczego. Głównym klientem są jednak szkolne wycieczki. Przelewająca się przez obiekt młodzież na personelu

nie robi już wrażenia. Nawet kiedy przy zgromadzonych na pierwszym piętrze ekspozycjach uruchamia się alarmujące wycie. – *Spokojnie, nic się nie dzieje. To tylko dzieci rozwalają nam reaktor* – mówi pani w recepcji.

Reaktor, pomniejszony do małego modelu, testowała grupa urwisów z Austrii. Chłopcy tak długo podkręcali parametry symulatora, aż ciśnienie w zbiorniku reaktora przekroczyło krytyczne parametry i nastąpiło automatyczne opuszczenie prętów hamujących reakcję łańcuchową. W Czarnobyli taka sztuczka się nie udała i świat do dziś ma atomową czkawkę. Ale chłopcy są młodzi, bez pamięci, wiedzy ani traumy. Z wywołanej awarii byli wyjątkowo zadowoleni.

Zaufany palec

Personel elektrowni w Temelinie łączy w sobie czeski luz z niemieckim porządkiem. Na wejście trzeba czekać do dokładnie wyznaczonej godziny. Ale pierwszym punktem wizyty jest lunch w zakładowej stołówce. W menu m.in. piwo. Tyle że bezalkoholowe.

Potem trzeba przejść serię procedur, które autoryzują wejście i wskazują strefy, które można odwiedzić. Niektórych – jak strowni i pomieszczeń bloków reaktora – odwiedzać już nie można. Po 24 lutego legitymujących się rosyjskim i białoruskim paszportem obowiązuje całkowity zakaz wstępu na teren elektrowni. Co komplikuje sprawę nawet samym Czechom. Tak się składa, że paliwo do reaktora kupowali od Rosjan. Ludzie z biura prasowego nie są specjalnie rozmowni w tej kwestii. W czeskiej prasie też pojawiły się o to pytania. Oficjalne źródła uspokajały, ►



Pozostałości po budowie Elektrowni Jądrowej w Żarnowcu.

► że operator ma wystarczająco duże zapasy, żeby na bieżąco wymieniać paliwo. Co roku z wnętrza reaktora wyciągnąć trzeba ponad 20 ton pastylek ze wzbogacanym uranem. I załadowywać nowe. – *I takie zapasy są, nie ma się co martwić. Wszystko jest bezpieczne* – przekonują Czesi.

Bezpieczeństwo to słowo, które w czasie tej wizyty odmieniane będzie przez wszystkie przypadki. Filarem bezpieczeństwa w Temelinie jest... procedura zaufanego palca. Sprowadza się do tego, że każdy wchodzący na teren elektrowni musi się poddać skanowaniu wskazującego palca. Można odmówić, ale wtedy nicy z wycieczki. A później na wejściu do każdego obiektu znajduje się śluz, którą da się pokonać, jedynie skanując odcisk swojego palca. Skanować należy również tymczasową przepustkę. Ogólnie dużo skanowania i czekania przed bramkami. A następnie dużo chodzenia, bo odległości pomiędzy budynkami są duże. Pracownicy mogą je pokonywać samochodami albo rowerami. Gościom pozostaje relaksujący spacer. I właściwie swego rodzaju rozczarowanie, bo kto był już w konwencjonalnej elektrowni, dużo więcej nie zobaczy. Wytwarzana przez reaktor para kierowana jest na takie same turbiny jak w elektrowniach węglowych czy gazowych.

Największą różnicą jest paliwo i kocioł, czyli reaktor. O którym oprowadzający mówią z uniesieniem, że powstaje z jednego kawałka i zaledwie kilka firm na świecie potrafi go wyprodukować. A właściwie odkuć, bo tak właściwie to kowalska robota. Tyle że liczona w mikronach i zajmująca od 600 do 700 dni pracy technologicznej. Zbiornik reaktora to zmora logistyków. Nie dość, że waży od 550 do 700 ton w zależności od typu, to nie mieści

się nawet w skrajni torowiska. Ile się da, transportować go trzeba wodą, a później rozbierać kilometry przeszkód drogowych, żeby dojechał na miejsce.

Z paliwem też nie ma lekko. Transporty są utajnione. Realizowane głównie koleją, dlatego każda elektrownia musi mieć boczną kolejową. W Temelinie paliwo jądrowe można dostać w postaci reklamowego gadżetu. Małe walce wielkości paznokcia, w kolorze grafitowym. Kształt i kolor zbliżony do oryginału. Reszta to już imitacja tych właściwych z uranu wzbogacanego izotopem 235, który jest kluczowy dla pracy reaktora. Zamiast realnych doznań pozostaje opowieść rzecznika elektrowni Petra Šulera, który o uranowych pastylkach mówi z uniesieniem: – *Jedna malutka pastylka, a daje tyle energii co spalanie 1,6 tony węgla brunatnego*. Šuler uranowe pastylki potrafi jeszcze przeliczać na węgiel kamienny – 880 kg, ropę – 600 litrów, a nawet drzewo. Tyle że z drzewem zapomniał, ile to będzie, ale ogólnie dużo. – *Atom to siła, to potęga* – mówi Šuler i z emocji lekko unosi się na stopach, jakby ta siła i energia udzieliła się i jemu. Trzymając się wyliczanek, dodaje, że paliwo zużyte do produkcji energii, którą jeden człowiek zużyje w ciągu całego życia, zmieścić się może w puszcze po napoju gazowanym. I to jest wstęp do kolejnego punktu na mapie, czyli wizyty w hali składowania odpadów.

Dżungla w chłodni

W hali składowania odpadów radioaktywnych trzeba naprawdę dobrze panować nad mimiką i dbać o to, by nie zdradzić się ziewnięciem. Gorzej ma tylko człowiek, który siedzi



© LUKASZ DEINAROWICZ/FORUM

stawia je nad morzem, bo woda morska to najlepsze i najtańsze chłodziwo. Czesi takiego luksusu nie mieli. Wodę ciągną z rzeki. A chłodniami wspomagają proces studzenia wody. W środku mniej więcej jak w saunie parowej. Tyle że takiej o średnicy podstawy 100 m i wysokości 150 m. Gęsta para powoduje, że widoczność w środku spada do kilku metrów. Na samej górze nie widać właściwie nic poza gęstym szarym obłokiem z małą jaśniejszą plamką, czyli słońcem. Niezwykłość tego miejsca udziela się wszystkim. Nawet Šuler wychodzi z roli rzecznika i pokrzykuje, że jest jak w dżungli. Nigdy nie byłem w dżungli. I sam nie wiem, czy chciałbym tam być dłużej.

Druga korekta trzeciego planu

Ostatnie słowo w Temelinie wygłosił do nas dyrektor elektrowni. Zaczął od tego, że na kursie operatorów reaktora jądrowego szkolił się razem z dwoma Polakami, którzy mieli pracować w Żarnowcu. Nieźle im szło. Może też zostaliby dyrektorami, gdyby nie zlikwidowano im prawie wybudowanej elektrowni.

Trudno powiedzieć, czy w tej historii jest więcej troski, czy czeskiej kpiny. Ale nawet jeśli pan dyrektor kpił, to miał do tego prawo. W kwestii energetyki jądrowej Polacy mają wyjątkowe osiągnięcia. Pół wieku budowania bez wybudowania. Wydanie kilku miliardów bez efektu. Dwa niezrealizowane rządowe programy budowy elektrowni jądrowej. Kilkakrotne otwieranie i zamykanie wydziałów naukowych, które szkolić miały specjalistów. Czy choćby ostatnio – dwa konkurencyjne pomysły na energetykę jądrową w ramach jednego rządu. Katastrofa polskiego programu jądrowego odbywa się bez ofiar w ludziach, co jest jedyną jego zaletą. Każda władza w Polsce o atomie przypominała sobie, kiedy już traciła wigor i decyzyjność.

Tak samo było z PiS, który w tej kwestii po prostu zmarnował pierwsze pięć lat rządzenia. Dopiero 16 października 2020 r. uchwałą nr 141 reaktywowano pozostawiony przez poprzedników Program polskiej energetyki jądrowej. Plany są ambitne. Zresztą nie ma innego wyjścia. 70 proc. energii w Polsce produkowane jest ciągle z węgla. A to oznacza, że rachunki za prąd z roku na rok będą wyższe, bo za ten brudny płacić trzeba więcej. 6 lipca MWh pobiła historyczny rekord – 2500 zł. Cena obowiązywała przez kilka godzin i była przedsmakiem tego, co może nas niebawem czekać. – *Średnie ceny są na poziomie 1500 zł za MWh i ciągle rosną. Rok temu ta sama MWh kosztowała 350 zł* – mówi Wojciech Kukuła, prawnik z fundacji ClientEarth. Analitycy straszą, że ceny będą rosły lawinowo. – *Zwłaszcza w Polsce, gdzie do każdej MWh wyprodukowanej z węgla musimy dopłacić na dziś 400 zł opłaty za emisję CO₂* – dodaje Wojciech Kukuła. Atom nie tylko pozbawiony jest opłat, ale odpada również ryzyko szantażu energetycznego.

Kiedy sąsiedzi inwestowali w atom, w Polsce stawiano kolejne bloki węglowe. Dziś słabość rządzących do węgla odczuwamy w rachunkach. Słowacy z atomu mają już połowę wyprodukowanego prądu. Podobnie jak Ukraińcy i docelowo Węgrzy oraz Czesi. Tyle że w Polsce ambitne plany realizowane są w mało ambitny sposób. W to, że zgodnie z Programem pierwszy reaktor w Polsce zacznie pracować w 2033 r., nie wierzy już chyba nikt.

Wstępna lokalizacja w nadmorskim Choczewie nie ma jeszcze żadnej infrastruktury. A mówimy o inwestycji, którą Polski Instytut Ekonomiczny szacował wstępnie na 105 mld zł. Ceny sprzed roku to już przeszłość. Dziś szacunki sięgają 120 mld. Takiej inwestycji w Polsce jeszcze nie było. I jak podkreślają sceptycy, chyba nie będzie, bo jeszcze żaden rząd nie podjął strategicznej decyzji na kilka miesięcy przed wyborami.

JULIUSZ ĆWIELUCH, FOTOGRAFIE MAGA ĆWIELUCH

po drugiej stronie kamer, które w trybie ciągłym monitorują obiekt. Na co dzień nikt tu nie wchodzi. Nikt nie pracuje. Pięć razy w roku do magazynu wstawiany jest kolejny kontener ze zużytym paliwem. I to cały ruch.

Ale nawet na to trzeba było czekać 10 lat. Najpierw zużyte paliwo stabilizowało się w basenie koło reaktora. Dopiero kiedy osiągnęło odpowiednią temperaturę, można je było ładować do kontenerów. Duże, jaskrawe, z jakimiś antenkami na pokrywie. Znacznie atrakcyjniej wypadały na filmach, które wyświetlali w Centrum Informacyjnym. Tam zbiorniki wysadzali, podpalali, a nawet taranowali rozpędzonymi lokomotywami. I według lektora nadal nie straciły szczelności. Jeśli jest w nich coś wyjątkowego, to głównie cena, która jest tak wygórowana, że aż objęta tajemnicą handlową. W ciągu 30 lat w hali stanąć mają 152 kontenery. Następnie zgromadzone paliwo sprzedane zostanie do Francji, Wielkiej Brytanii, Rosji albo Indii, które specjalizują się w utylizacji takich odpadów. A nawet próbują je recyklingować, co podobno kosztuje fortunę. 4 proc. najbardziej skażonego materiału mozolnie oddzielić trzeba od całej reszty, a następnie zatopić w specjalnym szkłe. Wielkie szklane krążki wyglądają jak dojrzałe awaria serów. A może to umysł szuka dobrych skojarzeń, żeby przelamać lęk.

Korzystając z czeskiej gościnności, wspinamy się również do wnętrza chłodni kominowej. Chłodzenie reaktora to najbardziej wrażliwy element procesu, co wiadomo już z samych seriali o awariach w elektrowniach jądrowych. Dlatego kto może,

Dlaczego rosyjskie elity nie buntują się przeciw Putinowi, chociaż wojna skomplikowała im życie? W portalu Nowaja Gazeta. Europe wypowiedzi się baszkirski politolog i polityk Abbas Galljamow: „Dlatego, że się boją. Przecie dwa dziesięciolecia obserwowali, jak Putin rozprawia się ze swoimi wrogami. (...) Choć, oczywiście, gdy tylko poczują, że zachwiał się w sposób wystarczający, by można uznać ryzyko za akceptowalne, coś zrobią. Bo główne przyczyny, dla których elity są lojalne wobec władcy, to stabilność i przewidywalność. (...) Do tej pory istniał żelazny porządek: przestrzegaj reguł gry ustanowionych przez Putina i wszystko będzie u ciebie OK. A teraz staje się jasne, że jeśli będziesz grał według jego reguł, spadnie na ciebie mnóstwo kłopotów. Przecież cała ich życiowa strategia była taka – zarabiamy w Rosji, a potem stopniowo przenosimy się na Zachód. Kto jej nie przestrzegał – uchodził za dziwaka. I nagle, z godziny na godzinę, ten model się zawalił. Pozytywna podstawa lojalności przestała istnieć. Został tylko strach”.

W magazynie „Rzeczpospolitej” Joanna Kluzik-Rostkowska, która zna Jarosława Kaczyńskiego od ponad 30 lat, wyznaje: „Gdy zobaczyłam Jarosława Kaczyńskiego wyśmiewającego się z osób transpłciowych, pomyślałam, jak długą drogę przeszedł, dochodząc do takiej nienawiści i opowiadania krzywdzących bredni. Choć nasze drogi polityczne rozeszły się dawno temu, to na poziomie osobistej relacji długo darzyłam go sympatią. Dziś widzę absolutnie innego człowieka, pełnego złości, nierozumiejącego świata, powtarzającego za koniunkturalnym, dość marnym otoczeniem jakieś farmazony. Dziś nie wiem, kim jest”. Pytanie, czy on sam wie.

Na pewno wie Stanisław Karczewski. Senator PiS, jak informuje „Gazeta Wyborcza”, uspokajał lud podczas wizyty w Grójcu: „Oczywiście jest inflacja, była

pandemia covid, teraz wojna w Ukrainie. Ale mamy wspaniałego polityka, Jarosława Kaczyńskiego, który zawsze jest krok do przodu od innych, lidera, który jest z ludźmi, jest dla Polski”. A potem, cały na czarno, wszedł prezes.

Onastrojach społecznych pisze dla se.pl Tomasz Walczak: „Bez wątplenia inflacja i rosnące ceny energii zrobią nam wszystkim jesień średniowiecza, a najbardziej jej doświadczyć politycy PiS. Coraz bardziej widać, że kojarzona z prosperity partia zaczyna być partią biedy i wybaczą jej to tylko najtwardsi zwolennicy. Jak sądzę, katastrofie politycznej PiS nie pomogą ani ciągłe ataki na Donalda Tuska, ani straszenie przez Kaczyńskiego osobami transpłciowymi, którym próbuje odwrócić uwagę od realnych problemów. Nikt już jednak tego nie kupuje, bo czym są pisowskie obsesje wobec drożyzny?”.

Autor notki w „Przeglądzie” ironizuje: „Zasługi Michała Dworczyka, szefa kancelarii premiera, w ujawnianiu machlojek władzy są tak wielkie, że gdy już PiS straci władzę, akurat ten minister powinien mieć obniżoną karę. Nikt lepiej od niego nie kompromituje premiera, prezes Trybunału Konstytucyjnego, ministrów i partii władzy”. Kompromituje, kompromituje, a sondaże wskazują, że oni wszyscy wciąż nie dość skompromitowani.

Henryk Martenka z „Angory” wziął na cel wiecowe wystąpienie Donalda Tuska: „Romantyczna i anachroniczna symbioza [Kościoła i państwa] ciągle legitymizuje chromy stan rzeczy, coraz bardziej katastrofalny dla Kościoła i destrukcyjny dla państwa. Dowiódł tego ostatnio Donald Tusk, wołając na jakimś parteitagu, by nikt, kto w Boga wierzy, nie głosował na PiS! To ryzykowny pomysł na wybory – dowodzi postępującej degrengolady polskiej demokracji, ale też braku programowego

pomysłu. Opierać motywację wyborczą na religijności? Dzielić ludzi ze względu na wyznanie? Nie budzi to zażenowania liderów opozycji? Wszak to cofa ich mentalnie o stulecie... Za chwilę pojawi się kolejny polityk, który wezwie do poparcia swej kamaryli każdego, kto uważa, że Polska jest tylko dla Polaków. I to białych!”. Już się pojawił i to nie jeden.

Redaktor naczelny „Sieci” Jacek Karnowski znalazł rozwiązanie wszystkich problemów Polski i Polaków we współczesnym świecie. To autarkia: „Polegajmy na sobie. Na własnej armii, własnych kopalniach, własnej produkcji rolnej. Nie nabierajmy się na ideologiczne mody, bo świat nie przestał być miejscem skrajnie niebezpiecznym. Zwłaszcza tu, w Polsce, kraju frontowym, kraju, od którego tak wiele zależy w całej Europie”. Gdyby głupota bolała, redaktor strasznie by cierpiał.

Za to szef „Do Rzeczy” Paweł Lisicki traci cierpliwość i wytyka: „Wygłąda na to, że niepowodzenia własne premier nauczył się doskonale przenosić na innych. Za Polski Ład, który był jego sztandarowym projektem, zapłacił minister finansów Tadeusz Kościński. W ramach odcinania się od samego siebie premier niedawno zresztą Polski Ład skrytykował. Za brak pieniędzy z Brukseli ma być teraz odpowiedzialny Zbigniew Ziobro, a nie ci, którzy kompromis (?) wynegocjowali. Rozumiem, że jeśli pieniądze dalej do Polski nie popłyną, to znajdą się inni winni: na końcu będzie to zapewne tłumacz, który źle przetłumaczył warunki porozumienia. Do pewnego stopnia to zręczna taktyka. Pytanie: Na jak długo?”. Co najmniej do wyborów.

Jakub Pacan, przedstawiając w „Tygodniku Solidarność” zadania czekające członków PiS przed wyborami, sięga po odważną metaforykę: „Syndrom tłustych kotów to mentalnie stan niebezpieczny, trudno go przełamać, bo wielu z działaczy partyjnych po tylu latach bycia w zadowoleniu znowu będzie musiało wychodzić na ulice i tracić twarz dla partii, wyklócać się z przeciwnikami i odpowiadać na czarny PR. A ulica dość szybko i nieraz w sposób niegrzeczny weryfikuje poziom własnej bańki politycznej i medialnej. Ulicą trzeba się pobrudzić, zetrzeć kilka par butów w czasie kampanii, przyjąć do wiadomości trudną prawdę i wchłonąć w siebie cały basen emocjonalnych wymiocin. Na koniec trzeba to wszystko jeszcze znieść i wyjść zwycięsko”. Ulica (czyli uczestnicy spotkań) przedstawiająca tłustym kotom trudną prawdę i brudzącą ich zalewem wymiocin, które muszą wchłonąć – zaiste interesująca wizja nadchodzącej kampanii PiS.

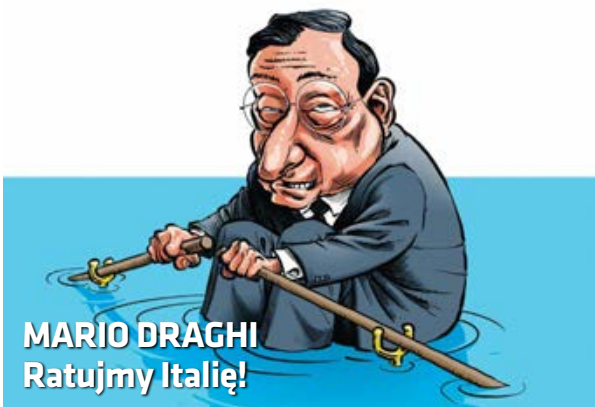
Jan Koza



Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata



UMIERAĆ ZA SUWAŁKI?
Miękkie podbrzusze NATO



MARIO DRAGHI
Ratujmy Italię!



MITCH MCCONNELL
Dać Trumpowi sądy

• DDT: BROŃ NA PUTINA • CZŁOWIEK, KTÓRY KRĘCIŁ TRUMPSEM

Istnieje od 1965 **FORUM** NAJCIĘKAWSZE HISTORIE ŚWIATA MAJĄCE 29 LIPCA PIĄTEK WYDANIE

Upadek Borisa

nr 15 (15-28.07.2022)
Cena 10,99 zł (w tym 8% VAT)

WOJNA GRECKO-TURECKA

Pod flagą biało-niebieską

PRYWATNA PRZESTRZEŃ

Kosmos na sprzedaż

FILIPINY DLA RODZINY

Marcos, syn Marcosa

EMERYT SUPER MARIO

Włochy wiszą na włosku

OD KHMERÓW DO HUNÓW

Tak się rządzą

w Kambodży

ZWROT MOŁDAWII

Mniej Sojuza,

więcej Unii

PROFESURA NA ŻEBRACH

Lubisz książki?

To je zjedź!

WIANKI I HULANKI

Co się święci na św. Jana

UWIERZ W COACHA

Nie tresura,

lecz chęć szczerą

NIEHALO

Czy smartfony

psują nam pamięć?

GADY KONTRA SSAKI

Triumf mleka nad jajem



Najnowsze **FORUM** już w sprzedaży!



NICK CAVE AND THE BAD SEEDS LIVE 2022

7.08.22 Gliwice, Arena Gliwice

8.08.22 Gdańsk/Sopot, ERGO ARENA

bilety: alterart.pl

PROMOTOR:
ALTER ART

PATRONAT MEDIALNY:
ANTYRADIO ● **onet** **ams**

GLIWICE
Przyszłość jest tu.